

Max Brand

Tajemniczy znak

Spis treści

I. KSIĄŻĘ.....	3
II. KLAUDIA.....	5
III. PYTANIA.....	8
IV. DOWÓD.....	12
V. ZNAK.....	16
VI. DOCHODZENIE.....	19
VII. PIERWSZA OFIARA.....	23
VIII. SŁOWA ANSONA.....	26
IX. CZARNA TORBA.....	28
X. ZIEMSKI KONIEC.....	32
XI. GOŚCIE.....	35
XII. POSZLAKI.....	38
XIII. PROCH DO PROCHU.....	41
XIV. ZAPROSZENIE.....	44
XV. BŁYSK REWOLWERÓW.....	48
XVI. W DOLINĘ!.....	51
XVII. BRAK PORTRETU.....	54
XVIII. WARUNKI.....	57
XIX. JEST CHARLIE!.....	62
XX. NIESPODZIANKA.....	64
XXI. POŚCIG.....	68
XXII. ZAKŁADNIK.....	71
XXIII. UCIECZKA.....	74
XXIV. TORTURA.....	77
XXV. ORCHARDOWIE.....	80
XXVI. STRACH.....	83
XXVII. ZGRAJA.....	87
XXVIII. DAR BENSONA.....	90
XXIX. NOWY PRZYBYSZ.....	93
XXX. BOCZNA ŚCIEŻKA.....	96
XXXI. PUŁAPKA.....	100
XXXII. UJEŹDŹACZ.....	102
XXXIII. OPowieŚĆ NIEZNAJOMEGO.....	106
XXXIV. RUMAK.....	110
XXXV. KSIĄŻĘ NA KONIU.....	112
XXXVI. NA PODSŁUCHACH.....	115
XXXVII. SZERYF.....	117
XXXVIII. DZIKI SKOK.....	121
XXXIX. NADZIEJA SCORPIA.....	125
XL. NOWY PLAN.....	129
XLI. JASKINIA LWÓW.....	132
XLII. KAPITULACJA.....	135

I. KSIĄŻĘ

Stałem na werandzie zajazdu w Monte Verde. Przyjechałem dopiero na Zachód i ciekaw byłem ludzi i obyczajów. Wtedy to ujrzałem pierwszy raz „księcia Charlie“.

Przyglądałem się towarzystwu bacznie, lecz od niechcienia, bo słyszałem, że tutejsi ludzie tego nie lubią. Groźnie wyglądali - w ciężkich pasach, przy rewolwerach. Wszystkich zlustrowałem butów na wysokich obcasach z łyżkowatymi ostrogami, do szerokoskrzydłych kapeluszy. Kilku ściągnęło z kopalni i naturalnie byli ubrani odmiennie. Mieli buty do marszu, nie do konnej, jazdy; miękkie, pilśniowe kapelusze i jak najgrubsze flanelowe koszule-. Na ogół byli hałaśliwsi od kowbojów, choć w istocie tacy sami jak oni. Ogromni, rośli, muskularni, nosili na twarzach piętno bohaterstwa i zarazem niskich skłonności. Dziwię się teraz, że nie od razu dostrzegłem księcia Charlie. Faktem jest, że dopiero bieg wydarzeń wyodrębnił go z grupy.

Na chwilę przed wybuchem awantury zwróciłem oczy na Dexterska Dolinę, przesłoniętą błękitnymi cieniami wieczoru. Miasta Dexter nie było już widać, tylko szyby okien grały jeszcze kolorowymi odbłaskami zachodzącego słońca. Uroczą to była dolina, prawdziwe wytchnienie dla wzroku, przy tym bogata w dary natury.. Dnem ciągnęły się urodzajne, orne pola, bokami bagniste łąki, upstrzone bydłem; zbocza ciemniały borami, których jeszcze nie tknęła siekiera. Na widok tych wspaniałości wybuchało w sercu uwielbienie dla ojczyzny. Dolina stanowiła sama w sobie małe królestwo, oddzielną prowincję. Rzeka, płynąca środkiem, mogła dostarczyć energii elektrycznej na wszelkie potrzeby, nawet z fabryką nie byłoby kłopotu. Patrzyłem z zachwytem, z uniesieniem, z radością... Mówiłem sobie“, że przyjechałem dla zdrowia, ale zostanę na stałe i tutaj się dorobię.

Ledwie to pomyślałem, zrobił się harmider. Usłyszałem za sobą głośne przekleństwo i odwróciłem się. Ze schodów zlatywał człowiek jakiś...! Runął na ziemię i z rozpędu potoczył się pod nogi mułom. Miłe bydłęta chciały mu okazać współczucie zębami i kopytami, ale się rzucił w bok.

Zerwałem się z krzesła. Nieokrzesane bractwo, zamiast się zatrwożyć, ryknęło śmiechem.- Kiedy jednak poszkodowany podniósł się i ujrano jego twarz, wszyscy pożałowali tego śmiechu. Mnie, choć nie wiedziałem, kto to był, ciarki przeszły. Tacy walczą na ringu, albo lepiej

Jeszcze, łamię kości bez Żadnych reguł. Ten miał w twarzy coś z buldoga, szczęki tępe i potężne, nos - można powiedzieć - w zarodku. Czerwony ze wściekłości, stanął obok schodków, chwiejąc się na nogach, jak człowiek, miotany furją.

- Kto to zrobił? Kto mi podstawił nogę? - wrzasnął.

Nikt nie odpowiedział. Według mnie nikt mu nie podstawił nogi. Któż by się odważył zaczepić taką potęgę? Nie otrzymując odpowiedzi, wbiegł na werandę... Rozległo się klaśnięcie. Jestem przekonany, że nie wybierał ofiary. Jemu było wszystko jedno: zacząć z wielkim czy z małym.

Po prostu trzasnął w najbliższą twarz.

Widzowie odsunęli się, żeby móc lepiej widzieć walkę, jeżeliby doszło do walki. Zobaczyłem zaczepionego, Był to właśnie książę Charlie. Zdumiałem się, że go wcześniej nie wyróżniłem z tłumu, tak niezwykle miał powierzchowność. Sądząc po smagłej cerze, czarnych, jedwabistych włosach i ogromnych, przepaścistych oczach, mógł uchodzić za Meksykanina. Wzrostu średniego, twarz miał niepiękną, kości policzkowe wystające, jak u Indianina, usta szerokie i nos nazbyt orli. Najwięcej mnie uderzyła nieuchwytna dystynkcja, jaka była od jego postaci, dumny wyraz ust, obojętny spokój czarnych oczu, osada głowy i, wbrew nieładnym rysom, jakaś staranność osobista, jakaś dbałość o siebie. Ten człowiek, nadawał się, pomimo swej młodości, na wodza armii.

Napastnik musiał ważyć więcej od niego o dobre sześćdziesiąt funtów. Ja jednak od pierwszego wejrzenia wziąłem stronę siłacza. Czułem, że mu jego siła nie pomoże. Robiło mi się zimno. Czułem coś - dziwnego!

Młodzieniec ani się nie zachwiał od ciosu, ani nie odskoczył. Stał spokojnie. Nie zdejmując oczu z twarzy „buldoga“, wyjął chustkę z kieszeni na piersiach, wytarł starannie skaleczone usta i zakrwawioną brodę i zwilżył wargi.

- Tyś mi podstawił nogę! - wrzasnął znów siłacz. - Zbiję cię na kwaśne jabłko. Łeb ci rozwałę. Coś za jeden?

Książę Charlie, wcale nie przestraszony tą gwałtowną zaczepką, patrzył w niego swymi niezglębionymi oczyma.

- Jestem Charles Dexter - oznajmił spokojnym, śpiewnym głosem.

- Dexter? Dexter? - powtórzył atleta i ryknął wielkim śmiechem. - Dexter z Dexterskiej Doliny? Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Zataczał się ze śmiechu. Gdy wreszcie umilkł, książę Charlie rzekł:

- Tak, jestem ostatni z rodu.

On się nie śmiał, mówiąc to, możecie mi wierzyć. „Buldog“ raptem zmarkotniał, jakby mu kto pogroził rewolwerem. Spojrzał po obecnych z przestachem.

- Chłopcy, on się podaje za Dextera z Doliny. Wszyscy przecie wiedzą, że Dexterów już nie ma.

- Jak wrócisz - ozwał się książę Charlie - to ci powiem coś więcej o sobie.

- Jak to wrócę? Dokąd mam iść - nasrożył się „buldog“.

- Pójdiesz po rewolwer, którego dziś zapomniałeś wziąć. Będę tu czekał, to pogadamy.

Było to powiedziane tak spokojnie, że w pierwszej chwili nie połąpałem się, o co chodzi. Książę chciał zapłacić za policzek kulą, ot, co! Inni od razu zrozumieli, w czym rzecz i popatrzeli na siebie wymownie.

Moment był, co tu gadać, straszny. Obecni, choć obyci z rewolwerami, zdumieli się zimnej krwi księcia Charlie tak samo, jak ja. O, szatańska zgrozo! młokos domagał się śmiertelnej rozprawy tak obojętnie, jakby prosił o szklanek wody.

Silacz cofnął się i zacisnął pięści. Domyślałem się, że nie wściekłość w nim wrzała. Mruczając coś, zniknął za drzwiami. Słyszeliśmy, jak szedł ciężko na górę. Weranda czekała w milczeniu. Jeżeli się ktoś odezwał, to nerwowym szeptem. Jeden Dexter był spokojny. Nawet zaczął się przechadzać przed drzwiami. Miał zręczne ruchy. Ubrany był w szare flanelowe ubranie i getry. W butonierce tkwił niebieski, dziki kwiatek, krawat był starannie zawiązany. Po chodzie, wąskich biodrach i barczystych ramionach poznałem, że to także atleta z treningu lub z natury. Bo tacy rodzą się czasami gotowi.

Robię te uwagi dlatego, że o jego przeszłości nie dowiedziałem się niczego. Inni też pewnie nie wiedzieli nic więcej nad to, że był synem Charlesa Dextera Drugiego.

Tzekając, księżę Charlie zapalił papierosa. Oczywiście miał z lekka rozmarzone. Co by u innego uszło za fanfaronadę, u niego było naturalne. Zachciało mu się palić, więc palił. Nasze podniecenie nic go nie obchodziło. Nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

Kiedyż wreszcie rozlegną się kroki tamtego? Kiedy? Kiedy? Co tak długo nie wraca?

Zza werandy wyszedł młody chłopak i zawołał do któregoś z zebranych:

- Jay Burgess dostał bzika. Widziałem, jak spuścił się z okna po linie!

Jay Burgess to był właśnie „buldog“. Oczywiście rzecz, zląkł się że na rewolwery Dexterowi nie sprostą. Wszyscy głęboko odetchnęli, a mnie tylko mignął w oczach szary kształt w biegu, niby wielkie kocisko i zeskoczył z werandy. Dexter nadal czekał. W tej chwili usłyszeliśmy szybki tętent kopyt.

Księżę Charlie wzruszył ramionami i zaciągnął się dymem.

II. KLAUDIA

Tłum, jak już powiedziałem, składał się z samych junaków. Jakkolwiek dopiero przybyłem w te strony, stwierdziłem, że twardzi mężczyźni tu przeważają. Później przekonałem się, że mieszkańcy Monte Verde byli z tej samej hartowanej stali co osadnicy z Dexterskiej Doliny. A jednak to co zaszło, zrobiło na nich równie wielkie wrażenie, jak na mnie.

Dexter z Dexterskiej Doliny! Niesłychane! Jay Burgess stchórzył! Niebawale!

Wróciłem honor „buldogowi“, gdy się przyjrzałem księciu, ale co ja mogłem wiedzieć o tych sprawach? Przeżyłem czterdzieści pięć lat, a nie zdarzyło mi się strzelić z rewolweru. Dozorując robotników przy budowie mostu w Charitonie, kupiłem rewolwer i nosiłem go, z głupią ostentacją, ale obchodzić się z nim nie umiałem. Niech się więc nikt nie dziwi, że usprawiedliwiałem tchórzów, stroniących od tej broni. (Tutejsza banda zabijaków inaczej sądziła te rzeczy. Spodziewałem się, że Burgessowi dostanie się niejedno brzydkie przezwisko. Tymczasem, ku memu zdziwieniu, nie padło ani jedno słowo. Skończyło się na szeptach.

Czyżby uważali za oczywiste, że Dexterowi nikt nie dotrzyma placu? Cisza nie trwała długo. Z głębi zajazdu wyszła prędkim krokiem młoda dziewczyna. Puszczone drzwi zatrzasnęły się za nią z hałasem. Widziałem ją już przedtem. Była to Klaudia Laffitter, siostrzenica gospodyni, stworzenie tak urocze, że nawet mnie, staremu kawalerowi, zakreśliło się w głowie. Nie klasyczna uroda, nie! Człowiek dojrzały przestaje cenić lalki i statuy. Za to szuka w kobiecie serca i charakteru. Klaudia miała jedno i drugie. Trzymała się prosto i stapała elastycznie, jak Indianka. Twarz miała opaloną, rumieńce, spojrzenie chłopca, obejście naturalne, męskie, co jednak, w moim mniemaniu, jeszcze podkreślało jej kobiecość.

Szła prosto do młodzieńca, który nazywał się Dexterem.

- To ty masz być Charlie Dexter? - rąbnęła bez ceremonii.

Księżę Charlie uniósł kapelusza i złożył przed nią prawdziwie wersalski ukłon, dziwny w tym pierwotnym otoczeniu, wśród nieokrzesanych zawadiaków, na tle ogromnych gór i rozległej doliny. ^

- Tak. Jestem Charles Dexter. Zmierzyła go od stóp do głów.

- A jakże! Dexter! Taki mały? Opowiadano mi o tym rodzie. Wszyscy Dexterowie byli dużego wzrostu. Ty wcale nie wyglądasz na Dextera. Charliego znałam, będąc dzieckiem!

To było więcej niż otwartość, to była brutalność. Szczere oczy i odwaga mają to do siebie, że osłabiają nawet tak wyzywające słowa.

- Ja także cię znałam. Nazywałaś mnie księciem Charlie'm, a w złości: czarnym diabłem. Lubiałaś dokuczać, panienko!

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką ciekawością przysłuchiwałam się tej rozmowie. Niektórzy przygryzali usta z podniecenia. Dziesiątki oczu latały od Dexteta do dziewczyny, której twarz wyrażała niewiarę.

- Mogłeś się tego wszystkiego dowiedzieć. Ludzie nas znali, widzieli nasze zabawy. Zresztą księżę Charlie, mając dwanaście lat, był najpiękniejszym chłopcem w dolinie. Jeżeli ty nim jesteś, to przez te dziesięć lat urósłbyś zaledwie o dwa cale? Śmiesz się podawać za niego?

A jakże - uśmiechnął się. - Wierz mi, że ja nim jestem! Klaudia tupnęła nogą. Twarz jej spłonęła rumieńcem gniewu.

- Nie wierzę ci! - krzyknęła. Charlie skłonił się bez słowa. !

- Ty, zupełnie inny typ! Żaden Dexter...

- Żaden Dexter nie odmówiłby ci słuszności, Klaudio!

Ten jego nadzwyczajny spokój podziałał na nią hamująco. Odstąpiła o krok i mierzyła go wciąż oczami potrząsając głową. Pokazała ręką w dal.

- Jeżeliś ty Dexter, to cała ta dolina jest twoją własnością! Skłonił się, nie przestając się uśmiechać.

- Tak jest. Mam prawo do całej tej doliny. Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- W takim razie Livingstonowie, Crowellowie, Dinmontowie i Bensonowie są tu intruzami.

Charlie powtórzył nazwiska:

- Livingstonowie, Crowellowie, Dinmontowie i Bensonowie; Muirowie, Lodge'owie, Dresserowie i inni są tu intruzami. Gorzej, Klaudio: intruzami i mordercami.

Żachnęła się. Myślałem, że ją przekonał. Ale nie. Znow potrzęsła głową. Nagle stała się nadzwyczajna rzecz. Może zresztą w tej krainie demokratów wcale nie nadzwyczajna. Dziewczyna zwróciła się do nas, do tłumu.

- Słuchajcie, mamy prawo żądać od niego dowodów prawdy, mamy prawo zbadać, czy to rzeczywiście Dexter. Bo jeżeli tak, to ta dolina spłynie krwią, jak przed dziesięciu laty!

Zwróciła znow oczy na groźnego młodzieńca.

- Rozumiesz, że mamy prawo cię pytać?

- Naturalnie. Szanuję wyroki ludzkie.

Tu się uśmiechnął, a mnie strześliło do głowy, że jak na uczciwego człowieka, jest za chłodny, za spokojny, za bardzo opanowany. Nie wiem czemu uważa się, że przestępca umie sobą władać, dość, że to przeświadczenie jest istyktowne. Występek ułatwia kłamanie. Patrząc na domnianego Dextera, mówiłem sobie w duszy:

- Kłamiesz, aż się kurzy. Kłamiesz! Kłamiesz!

Klaudia, zamiast pochwalić jego chętną gotowość, nachmurzyła się jeszcze bardziej.

- A więc dobrze. Do rzeczy. Złożymy mały sąd przysięgłych, kto w nim zasiądzie?

- Czekaj, Klaudio - ozwał się ogromny mężczyzna ze srogą twarzą i ramionami goryla. - Czekaj! Chyba sama jedna nie masz prawa decydować w tej sprawie?

Wykręciła się w jego stronę.

- Jak to nie mam prawa? Możecie wierzyć, że mam.

- Tyle, co inni. Jeżeli ten młody jest naprawdę Dexterem, to wyświetlenie prawdy będzie jednakowo ważne dla nas wszystkich.

- Czy jestem córką Bena Laffittera, czy nie?

- Ano, jesteś. Rozumie się - rzekł goryl, jak się okazało jej wuj, nazwiskiem Jed Raymond.

- Wuju - mówiła donośnie - proszę mi odpowiedzieć na pytanie: czy Ben Laffitter oddał życie za Dexterów w noc zdrady?

- Tak, dziewczeczko. Wiemy jak to było. Ale sąd nad tym gościem należy do starszych głów, niż twoja.

- To oddajcie sprawę prawdziwemu sądowi - powiedziała z goryczą. - Tam się z nim załatwią!

„Wuj Jed“ podniósł ogromną prawicę, trochę brudną, ale mnie się wydało nie wiadomo dlaczego, że to człowiek nieposzlakowanie uczciwy.

- Obejdziemy się bez prawa. Już raz ta sprawa rozstrzygnęła się obywatelsko. Może i teraz sami sobie z nią poradzimy. Mnie się tak zdaje. Zaczniemy od ustanowienia sądu obywatelskiego,

- Dobrze, ale ja też będę w tym sądzie.

- Będiesz, będziesz - rzekł trochę szorstko. - Ciebie wszędzie pełno. Nie wiem nawet, jakbym cię mógł wyprosić. Radziłbym wziąć po dwie osoby z każdej strony i jedną obojętną. Jeżeli na pięć trzy zgodzą się, że ten młodzik to naprawdę Dexter, to już na tym stanie. Ja uznam wyrok.

- Co powiecie, ludzie? Zgadza się? - zapytała nas Klaudia. Odpowiedziały prędkie głosy i czterech sędziów wybrano w mig przez aklamację. Przede wszystkim Klaudię, która na mocy śmierci ojca miała niejako naturalne pierwszeństwo. Ona reprezentowała klan Dexterów. Drugim sędzią z tej strony został Jed Raymond.

Partia, przeciwna Dexterom, wystawiła niejakiego Bullena, rumianego jegomościa w średnim wieku z przydomkiem Dandys, może ze względu na barwny, meksykański strój. Bullenowi sekundował drobny, chudy człowieczyna o błyszczących, spokojnych oczach, lat może pięćdziesięciu, nazwiskiem Marvin Crowell.

Na koniec zaczęto się rozglądać za bezstronnym człowiekiem. Klaudia, spojrzawszy na mnie, rzekła nagle:

- Wszyscy tutejsi są albo za Dexterami, albo przeciwko nim. Ale mamy obcego gościa, nowego w tych stronach. Pan Oliver Dean! Może on nam pomoże?

Księżę Charlie odwrócił się i rzucił im jedno spojrzenie - ostre jak dźgnięcie niewidzialnego rapiera,

- Zgadza się, owszem - rzekłem powoli.

W ten sposób zostałem wciągnięty w okropności, które wywinęły się ze zdarzeń tego dnia.

III. PYTANIA

My sąd, to znaczy: Dandys Pete Bullen, Marvin Crowell, wuj Jed Raymond, Klaudia i ja, weszliśmy do hotelu razem z domniemanym Dexterem. Mieliśmy go wziąć na spytki, razem oskarżać i bronić, a w końcu zasądzić. Sprawa była ciekawa, jednak nie powiem, żebym się cieszył ze swojego w niej udziału. Gdybym mógł był przeczuć, co się stanie za trzy-cztery

miesiące, byłbym zrzekł się zaszczytu z podziękowaniem, spakował manatki i uciekł w świat końmi i koleją. Ale cóż, skąd mogłem wiedzieć, co przyszłość kryje w swym łonie? Byłem trochę podenerwowany i to chyba mogę wziąć z tej odległości za przeczcucie.

Udaliśmy się do niewielkiego pokoiku w rogu zajazdu tak, że okna wychodziły na dwie strony. Zachodnie na Dolinę Dexterska, czyli przedmiot sporu. Drugie, bokiem na góry, wśród których królował Naparstek. Śmieszna to była nazwa dla potężnego olbrzyma, na'krytego czapą śniegu. Na środku pokoiku stał okrągły stół, przy którym obiadowali niekiedy nadliczbowi goście, a wieczorami grano w przyjacielskiego pokera. Na podłodze leżała rogoża podarta ostrogami. Krawędź stołu nosiła ślady kozików roztargnionych kowbojów. Na ścianach wisiały fotografie. Z kolorowego kalendarza patrzyła przesadnie ładna dziewczyna z kilkoma źdźbłami pszenicy w ślicznych ząbkach. Pod podobizną Lincolna szarzał stary, zakurzony wianuszek, z którego połowa liści opadła, ale resztkę pieczołowicie zachowywano. Z drugiej ściany spoglądała wyniosła, znękana twarz Waszyngtona, w której sąsiedztwie szalony jeździec wstrzymywał konia, walącego się niemal w tył. Wspominam o tych błahych szczegółach dlatego, że mi się wbiły w pamięć. Wtedy zwróciłem głównie uwagę na sufit, bo go nam pokazano wśród śmiechu. Dokładnie na środku sufitu widniał wyraźny odcisk ludzkiej stopy. Skąd ona się tam wzięła, nie zgadnę, a nikt mnie w tym względzie nie oświecił. Gdyśmy zasiedli wokół stołu Jed Raymond rzekł:

- Zaczynamy, przyjaciele. Dexter niech będzie łaskaw usiąść z tamtej strony, żebyśmy go dobrze widzieli.

O mało się nie roześmiałem z tej dziecięcej prostoty. Dexter uśmiechał się otwarcie.

- Oczywiście. Musicie widzieć, jak będę bladł i czerwieniał, gdy mnie przyłapiecie na kłamstwie.

Obszedł stół i usiadł wesoło na wskazanym miejscu, na wpt.. 1 obu okien. Mnie miał po prawej ręce, Raymonda po lewej, Klaudię na wprost siebie:

- Więc powiadasz, mój synu - rzekł wuj Jed - żeś ty Dexter, Charles Dexter?

- Tak jest - powiedział młodzieniec, przy czym skinął głową, a raczej skłonił się. Miał zwyczaj pochylać się w przód od pasa. Twarz miał pełną powagi, tylko w oczach grały światełka, to zapalając się, to gasnąc.

- Dlaczego pozwalasz, żebyśmy cię badali? Dlaczego nie okażesz wprost swoich dowodów policji? Jeżeli władze by ci uwierzyły, to my tym łatwiej.

- A, więc uważacie, że powinienem jechać z moimi pretensjami do miasta? Do Dexteru? Tam Livingston jest szeryfem, a Benson sędzią. Jakże oni uznaliby najprawdziwsze moje dowody, kiedy prawdziwość ich odjęłaby im majątki?

Rzecz była oczywista, lecz „książę“ mówił dalej:

- Powinniście rozumieć, dlaczego przed wami chcę udowodnić, kim jestem. Jeżeli uznacie moją tożsamość, przynajmniej połowa miejscowej ludności opowie się po mojej stronie. Nie mam co do tego wątpliwości.

- I wojna znów rozgorzeje! - wtrącił stary Marvin Crowell, siedzący po prawej ręce Klaudii.

Pretendent do imienia Dexterów spojrział na niego z ukłonem, jak to on.

Crowell podskoczył na krześle.

- Do licha, młodzieńcze, czy ty aby nie szukasz sposobności do awantury?

- Tak jak wasz brat, Manly, gdy zabił Jeffersona Dextera, mego ojca? - zapytał młodzieniec.

Powiedział to spokojnie, lecz same słowa były jak uderzenie w twarz. Crowell na chwilę oniemiał i zapomniał języka w gębie.

- Nieprawda! - wrzasnął. - Wszyscy wiedzą, że Manuel Scorpio go zabił.

- Wiadomo mi, że Manuel Scorpio zamordował kilku członków mego rodu - rzekł książe Charlie - ale ojca mego nie zabił.

- Skąd ta pewność? Twoje słowo nam nie wystarczy - zauważył Dandys Pete, bawiąc się srebrnym guzem na rękawie spencerka.

- Moje własne oczy patrzyły na ten mord!

- Gdzie wtedy byłeś?

- Stałem w drzwiach mleczarni...

- Zaraz! Zaraz! - zabrał głos wuj Jed, który od samego początku wrogo się ustosunkował do księcia.

- W jakiej to było porze dnia?

- Kwadrans po trzeciej nad ranem.

- Co robiłeś w drzwiach mleczarni o tak wczesnej godzinie?

- Poszedłem po...

- Minutę - wtrąciła Klaudia, jak mi się wydało nazbyt gwałtownie. - Możemy rozwikłać tę sprawę w prostszy sposób. Jeżeli on Charlie Dexter, to Dolina jego...

- Nawet jeżeli on Dexter, to Dolina nie jego - stanowczo oświadczył Crowell. - Nie ma dowodu, że nadanie dexterowskie...

- O tym szkoda gadać - przerwała Klaudia. - Dajcie spokój, panie Crowell. Wiecie, że jeżeli on Dexter, to tylu ludzi opowie się za nim, że część rodowych włości wróci w jego ręce. A nawet część będzie się liczyć na miliony.

- My przemieniliśmy pastwiska w ogrody - mówił Crowell. - Nie oddamy mu nic, najmniejszej części!

- Panie Crowell - nie wytrzymałem - pan nie prokurator, tylko członek sądu obywatelskiego.

Moja uwaga, zważywszy na gorycz Crowella, była tak słuszna, że nie otrzymałem na nią odpowiedzi. Myślałem, że książkę kiwnie mi choć głową, ale on spojrział obojętnie i zwrócił oczy w inną stronę.

Przyznam się, że mnie to dotknęło. Powiedziałem sobie, że młody nicpoń zgrywa się, ale był to dla mnie pierwszy dowód jego stalowych nerwów.

Klaudia mówiła dalej:

- Ciągłe sobie przerywamy. Postarajmy się coś wyświecić. Ja postawię swoje pytania, a po mnie następni. Reszta milczy. Nie ma się co rozwodzić nad wagą nazwiska Dexterów. To nazwisko ma wagę - milionów dolarów. Zresztą ma ono wagę wyższą nad pieniądze - samo w sobie!

Przy tych słowach podrzuciła głową i głos jej mocno zadźwięczał. Najwidoczniej żywiła dla tego rodu głębokie uwielbienie. Zwróciła się do księcia:

- Jak dawno opuściłeś Dexterska Dolinę?

- W noc xdrady Manuela Scorpio.

- Dokąd się udałeś?

- O! od tego czasu kilka razy zmieniłem miejsce pobytu.

- Ostatnio gdzie byłeś?

- Ostatnie cztery lata - w kolegium.

- Wiedziałeś o swoim pochodzeniu i prawach do dziedzictwa Dexterów.

- No, jakże?

- I pomimo to przez dziesięć lat siedziałeś cicho?

Był to zarzut tak ważki, że wyciągnąłem szyję, żeby dobrze słyszeć odpowiedź i zarazem widzieć twarz Dextera, który wcale nie zmieszany, odpowiedział ochotnie:

- Czekałem aż dorosnę. Gdybym wrócił wcześniej, Scorpio czy inny wróg sprzątnąłby mnie, jak nic.

Na to Klaudia z krzykiem:

- Scorpio nie żyje! Utopili go tej nocy w rzece i wszyscy o tym wiedzą.

- Nie ma dowodu, że umarł.

- Od tej nocy przepadł bez wieści,

- Nie dawał znaku życia. Naturalnie. Prawdopodobnie ukrywa się pod przybranym nazwiskiem. Byłby szalony, gdyby tu zaglądał. Miał tylu wrogów!

- O! - wtrącił Jed Raymond. - I jakich wrogów!

Pokiwał głową. Twarz miał srogą. Zaprzagnąłem dowiedzieć się więcej o tym Manuele Scorpio.

- Dziwię się... - mówiła Klaudia. - To czekanie przez dziesięć lat, hm! Wszystkich to musi dziwić. Czy ci kto towarzyszył w ucieczce, czy chcesz w nas wmówić, że jako dwunastoletni dzieciak sam uszedłeś w świat?

- Towarzyszył mi kowboj, Phil Anson,

- Tak, Phil zniknął! - wtrącił wuj Jed z nagłym błyskiem oczu. Zaczynał wierzyć.

- Zniknął - potwierdził Crowell. - Pewnie spotkało go to samo, co Scorpia. Rzeka uniosła trupy na strawę dla ryb. Tak, tak, Phil Anson najprędzej zniknął w wodzie!

- Zaraz on tu będzie, to z nim pomówicie - rzekł Dexter. – Już nawet powinien być.

IV. DOWÓD

Dotąd dowody identyczności młodzieńca wydawały mi się kruche i nieuchwytne, ale wiadomość, że ma przybyć człowiek, który uwiózł go z Doliny przed dziesięciu laty i przypuszczalnie widywał się z nim przez ten czas, rzuciła na sprawę ciepłe, jasne światło.

Klaudia krzyknęła:

- Dlaczegoś tego od razu nie powiedział?

- I on zmienił się przez te lata - sucho odrzekł Dexter. - I od niego pewnie zażądacie dowodów tożsamości. Nawet jeżeli uwierzycie, że to naprawdę Phil Anson, to czyż wam nie przyjdzie m myśl, że go przekupiłem? O, nie, Anson nie wystarczy.

Ta spokojna, logiczna przemowa, to prędkie uprzedzenie zarzutów opozycji uczyniło na nas wszystkich jeszcze silniejsze wrażenie, niż wiadomość o Ansonie. Bullen i Marvin Crowell, którzy specjalnie nie życzyli sobie zwycięstwa księcia, patrzyli gniewnie w stół.

- Dowodów będzie trzeba nie byle jakich. Opowiedz, co robiłeś w noc zdrady, jakieś to nazwał?

- Odpowiem na wszelkie pytania,

- O której poszedłeś spać owej nocy?

- Wcale się nie kładłem.

- Mówi, że się nie kładł spać - mamrotał Crowell, patrząc złowieszczo po obecnych.

- Byłem na nogach całą noc.
 - Jakże to? Dwunastoletni chłopcy nie bawią się po nocach!
 - Nie chciało mi się spać.
 - Może opileś się kawy, co? - szyderczo pytał Bullen.
 - Nie. Bałem się.
 - Bałeś się? Czego? W wielkim domu ojca, wśród licznej służby? Czego ty się mogłeś bać?
 - Bałem się, bo w przeddzień znaleźli mego krewnego, Marshalla Dextera, nieżywego, ze znakiem na czole.
- „Sąd“ poruszył się niespokojnie. Mnie chodziły po plecach zimne dreszcze.
- Jakież to był znak? - chłodnym, opanowanym głosem zapytała Klaudia.
 - Widziałem go... - Dexter pochylił się w przód. - Coś w rodzaju niezgrabnej litery „M“ z przedłużoną w dół ostatnią kreską, zamiast zakrętasa. Marshall miał ją wypisaną na czole węglem drzewnym czy czymś takim.
 - Mów dalej!
 - Rano, po tym mordzie, znaleźliśmy ten sam znak na drzwiach domu i na drzwiach pokoi sypialnych.
 - Na wszystkich drzwiach? - z niedowierzaniem wykrzyknął Raymond.
 - Nie, tylko na drzwiach od sypialni - na moich i ojca. Zupełnie ten sam znak. Dlatego się bałem. Czuliśmy z ojcem, że zabójca Marshalla dybie na życie ojca i moje.
- Drżałem, słuchając.
- Dowiedzieliście się, co oznaczała ta litera? - zagadnął Bullen.
 - Zastanawialiśmy się, czy nie mamy wroga lub znajomego, którego nazwisko zaczynałoby się na „M“, ale nie mogliśmy sobie przypomnieć nikogo.
 - Nikogo?
 - Mieliśmy kowboja, Maxwella. Ojciec jednak stanowczo powiedział, że to uczciwy człowiek. Jestem przekonany, że się nie omylił.
 - Więc nie doszliście sensu tego znaku?
 - Owszem. W końcu ojciec zgadł,
 - Mów!

- W wieczór zdrady jedliśmy wieczerzę we dwóch. Nagle ojciec ożywił się i kazał mi iść po encyklopedię. Szukał, szukał, wreszcie doszedł do wyrazu „znak“. Były tam różne astronomiczne rysunki. Jeden mi pokazał. „Tego właśnie szukałem, Charlie“ - powiada do mnie.

- W domu nazywali cię najczęściej „Koziołkiem“ - przerwała Klaudia.

- Ojciec mnie tak nazywał, gdy był w dobrym humorze. Poza tym wołał na mnie: Charlie, a nawet Charles. Otóż znak konstelacji Skorpion, inaczej Niedźwiadek był prawie taki sam, jak owa litera, pozostawiona na czole biednego Marshalla i na naszych drzwiach.

- Co na to powiedział ojciec? - zapytała Klaudia, nachylając się nad stołem. - Czy wykombinował coś?

- O, tak. Parę razy powiedział na głos: „Skorpion! Skorpion! Ten morderca daje nam do zrozumienia, że nienawidzi nas jak skorpion, że zabije nas po ciemku jak skorpion zabija, że zginiemy tak, jak biedny Marshall. „Skorpion! Skorpion! Nagle wykrzyknął: „Po łacinie scorpio! Na Boga!“

- Naturalnie pomyśleliście o Manuelu Scorpio?

- Oczywiście.

- Powiedz, jak on wyglądał, ten Manuel Scorpio?

- Dobrze. Pamiętam go doskonale. Był szczupły, drobnej budowy. Po nazwisku sądząc, musiał mieć w sobie krew meksykańską, ale skórę miał białą. Mówił doskonale po angielsku, prawie bez gwary. Ruchy miał zwinne, kocie, stąpał cicho, jak kot. Był dobrym kowbojem i towarzysze lubili go, bo grał na akordeonie i śpiewał - meksykańskie piosenki, kowbojskie i inne.

- Co was skłoniło do przypuszczenia, że Scorpio nienawidził Dexterów?

- Zdarzenie sprzed lat. Był wtedy chłopcem. Ojciec podejrzewał go o kradzież konia, ale nie chciał aresztować. Tego nigdy nie robił. Kazał go przywiązać do słupa i okropnie obić batem.

- Widziałeś tę egzekucję?

- Widziałem. Ty także. Przyglądaliśmy się razem.

Klaudia drgnęła.

- Staliśmy w drzwiach spichlerza i trzymaliśmy się za ręce. Pamiętasz, jakieś się trzęśli? Bat świszczał. Ojciec wymyślał - był wściekły - Manuel krzyczał wniebogłosy. Widzieliśmy, jak zemdłał. Głowa opadła mu na piersi.

Klaudia zakryła twarz dłońmi.

- Nigdy tego nie zapomnę!

No, więc - ciągnął książkę Chaiilie (nawiasem mówiąc nazwaliśmy go tym mianem później) - po chłóście twój ojciec powiedział mojemu, że powinien Manuela odprawić. Ojciec nie zgodził się. Uważał, że chłopak po karze zacznie życie na czysto. Po jakimś czasie okazało się, że Manuel nie ukradł konia.

- No i...? - ostro rzekła Klaudia. Oczy jej gorzały.

- Ojciec dał mu - właściwie cisnął pięćdziesiąt dolarów i myślał, że wszystko w porządku. Jednak w tę noc, gdy owo śmiertelne „M“ wziął za znak Scorpia, przypomniał sobie o tej chłóście i zląkł się, że może Manuel nie zapomniał swojej krzywdy.

- To dlaczego twój ojciec nie zabezpieczył się przed nim?

- O, pomyślał o tym. Zawołał Scorpia do biblioteki. Słuchałem pod drzwiami. Lubiłem Manuela i nie chciałem, żeby mu ojciec zrobił coś złego. Byłem przekonany, że taki młody chłopiec nie mógł zamordować Marshalla.

- Co dalej? - zniecierpliwiła się Klaudia. Nam wszystkim dech zapierało z ciekawości.

- Ojciec o tym mordzie z nim nie mówił. Powiedział tylko, że miał go na oku, że jest bardzo zadowolony z jego sprawowania, że chce mu podarować, kawał dobrej ziemi nad rzeką, żeby mógł założyć własne gospodarstwo i ożenić się z ładną Rositą. Manuel dziękował ze łzami w głosie. Byłem pewny, że on nie ma nic na sumieniu. Ojciec również. Ale omylił się. Jakże się omylił! Bo okazało się, że to był znak Scorpia, to „M“ na czole zabitego i na naszych drzwiach.

- Tak - rzekł Raymond - i my przekonaliśmy się o tym - ponieważ!

- Mów dalej, mów dalej - nagliła Klaudia.

- Położyłem się, ale strach nie dał mi spać. Powiedziałem sobie, że jestem tchórz. Byłem głupi i dziecinny, ale postanowiłem wstać i przejść się po ciemku dla wypróbowania swojej odwagi. Zszedłem więc na dół.

- Czy po drodze nic nie zauważyłeś?

- Nie, tylko mi została w pamięci tarcza zegara w sieni. Mignęła mi w mroku, jak ludzka twarz, O mało nie pobiegłem z powrotem do swego pokoju, ale jakoś nad sobą zapanowałem. Wyszedłem na podwórze. Od południa zawiewał lekki wiatr i czuby drzew nachylały się ku północy. Zachciało mi się pójść do mleczarni i napić się maślanki. W budynku było ciemno i chłodno. Pijąc, słuchałem szmeru wody, kapiącej z kranu lodowni. Nagle gdzieś trzasnęły drzwi i wybuchła wrzawa. Ze strachu upuściłem szklanekę z maślanką. Skoczyłem do drzwi. Ojciec stał na bocznych schodach domu w nocnej koszuli a przed nim, niżej, Manly Crowell...

- Kłamstwo! - krzyknął Crowell, usłyszawszy imię brata.

Dexter długo na niego patrzył i choć nic nie mówił, milczenie jego było wymowniejsze od grzmiących słów. Nie widziałem dobrze jego twarzy, bo siedziałem z boku, ale Marvin Crowell widział. Musiała to być w tej chwili straszna twarz, skoro zbladł.

- Nagle - ciągnął Dexter, nie odrywając od niego oczu - nagle Manly Crowell dobył rewolweru i wypalił. Ojciec wyciągnął ręce, jakby chciał się uchwycić powietrza, zleciał ze schodów i z głuchym odgłosem runął na ziemię...

V. ZNAK

W tym miejscu opowiadania pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Klaudia splotła ręce jakimś dziwnym gestem, jakby i ona uwierzyła, że ten młodzieniec jest prawdziwym Dexterem, prawym właścicielem bogatej doliny... Miały z tego wyniknąć nieszczęścia dla wielu ludzi! Gdybym był przeczuł, jakie, byłbym uciekł z Monte Verde bez straty czasu.

- I co dalej? - zapytał Raymond.

- Oszałamem z trwogi... Zaraz po tym strzale wybuchła strzelanina z drugiej strony domu. Dały się słyszeć krzyki, wrzaski... Nad ogólną wrzawę wydzierał się głos kobiety, która wyła, jakby ją zarzynano. Ruszyłem na oślep ku domowi, lecz nim zdążyłem dopaść do drzwi, z ciemności wyskoczył wysoki człowiek i chwycił mnie za rękę. Był to kowboj, Phil Anson. „Ty tu nie masz co robić, mały!” - zawołał. Popędził do stajni, ciągnąc mnie za sobą. Osiodłaliśmy dwa konia, kazał mi z sobą jechać... Byłem prawie nieprzytomny. Mówił coś o zdradzie, o Manuelu... Gnałszy całą noc. Rano wychnęliśmy u ujścia doliny. W południe dogoniła nas wieść, że Manuel Scorpio, wspomagany przez dzierżawców ojca, którzy uważali, że mają takie samo prawo do tej ziemi, jak on, wyrzucił w nocy cały ród Dexterów. O mnie opowiadano, że zostałem rzucony do rzeki. Scorpio miał również utonąć. Ben Laffitter zginął, broniąc moich.

Tu Dexter zwrócił na Klaudię swe wielkie czarne oczy. Dziewczyna drżała. Ja miałem dreszcze.

Spojrzałem na opozycję, na Crowella i Bullena. Byli zafrasowani i nieswoi. Nic dziwnego. Trzeba by okropnego niedowiarka, żeby odrzucić spowiedź Dextera, jako bujdy. Właśnie przed zajazdem rozjegli się tętent koni i zaskrzypiały hamulce.

- Poczta - oznajmił Raymond. - Pójdę zobaczyć, czy Anson przyjechał, to bym go przyprowadził.

- Bardzo się zmienił - rzekł Dexter. - On... Lepiej ja po niego pójde.

- Ty lepiej po niego pójdziesz? - zakrzyczał wuj Jed. - Akurat!. Znałem Phila Ansona, że rodzzonego brata nie sposób lepiej znać. Poznałbym go, choćby się postarzał o tysiąc lat!

Dexter, jakby trochę zaniepokojony, nie powiedział już nic, tylko się rozsiadł w krześle. Raymond wyszedł i wrócił za chwilę w towarzystwie wysokiego człowieka w średnim wieku, ubranego po miejsku, a nie w szarym sombrero, o szerokich skrzydłach i wysokiej głowce. Tak się noszą kowboje, gdy jadą w odwiedzin na Wschód.

Przybyły nie robił wrażenia człowieka normalnego. Powłóczył lewą nogą a lewą rękę miał na pół bezwładną, jak po niezupełnie wyleczonym paraliżu. Uśmiechał się przy tym gorzko do siebie typowym uśmiechem kaleki, którego pogarda dla życia jest tak wielka, że nie da się zamknąć w słowach.

Jeszcze za drzwiami Raymond wielkim głosem powtarzał jego. nazwisko. Niewątpliwie poznał go od pierwszego wejrzenia. Weszli do pokoju ramię w ramię i wuj Jed zapytał:

- Phil, znasz ty tego młodzika?

Mówiąc to, pokazał na Dextera. Anson, nie patrząc na niego, lecz na Raymonda, odpowiedział:

- Byłem z nim dziesięć lat.

- Więc, jak on się nazywa?

- Charles Dexter.

Uwierzyłem. Uwierzyłem na amen. Wychudzona, żółta twarz Ansona dawała poznać, że ten człowiek niedługo już będzie popasał na tym świecie. Słowa jego wydały mi się wiarygodne, jak przysięga na łożu śmierci.

Raymond obszedł stół i przyjaźnie uścisnął Dextera za rękę.

- Nie chciałem uwierzyć, ale musiałem. Wiesz, że znałem twego ojca, że walczyłem w obronie waszej rodziny... Wyniosłem się z Dexterskiej Doliny przed mordercami. Siedziałem tutaj w Monte Verde, jak jastrząb na grzędzie, czekając na możliwość powrotu. I oto godzina wybiła!

Dexter podziękował mu spokojnie. Teraz zdawał się niewiele sobie robić z opinii Raymonda i nas pozostałych. Więcej się niepokoił o Ansona. Ze wzruszającą troskliwością przyniósł mu krzesło, pomógł usiąść i, nachylony nad nim, z ręką wspartą lekko na jego ramieniu, pytał, jak się czuje. Anson tylko chrząknął w odpowiedzi i zaniósł się gwałtownym kaszlem. Z wysiłku pobladł i twarz jego okryła się potem. Dexter, stojąc obok, marszczył się i przygryzał usta.

- Może się czego napijesz?

- Do diabła z tym! - odparł Anson. - Głównie picie tak mi dogodziło. Nic mi nie jest i...

Kludia wstała i wypadła z pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Wróciła ze szklanką wody, przy czym zatrzęsnęła drzwiami. Anson wziął wodę, dziękując jej oczami. Miał w sobie godność człowieka, który skończył z życiem. Czegoś podobnego nie spotkałem, w życiu ani przedtem, ani potem. Ale miałem mu trochę za złe jego cynizm i drwiny. To psuło wrażenie.

Raymond rzekł niespodziewanie:

- No, sąsiedzi, uważam, żeście dosyć usłyszeli. Chciałbym usłyszeć wasze zdanie, czy to Charles Dexter, czy nie.

- Charles Dexter! - zawołała Kludia, głośno i radośnie. Podeszła do niego, ujęła go za rękę. - Musiałam opierać się przekonaniu, żeś ty naprawdę Charlie. Tyle od tego zależy. Musiałam się opierać.

- Naturalnie, Klaudio - odpowiedział łagodnie. - Musiałaś się opierać. Rozumiałem to doskonale!

- Ja powiem od siebie - ryknął Raymond - że uwierzyłem w jego prawdomówność dziesięć minut temu. On prawy Dexter. Ma oczy Dexterów. Skórę co prawda śniadą, ale to nic. Matka była smagła. Pamiętam, że mały Charlie nie był wcale biały. To Dexter. Głowę dam, że to Dexter.

- Dla mnie nie Dexter - ponuro rzekł Bullen Dandys.

- Słyszałeś wszystko! - wrzasnął Raymond. - Czegóż ci więcej potrzeba?

- Słyszałem gładkie słowa i tyle. Mógł się trochę wyuczyć na pamięć, trochę zmyślić. To nie są dowody.

- Ci co nie chcą uwierzyć, nie dadzą się przekonać - rzekł Raymond. - Wy, Crowell, co powiecie? Wyście powinni mieć więcej rozumu od Bullena!

- Ja powiem to samo, co on. To nie Dexter. Już raz powiedziałem, że za mały. No, i za czarny: cera, oczy... Taki on Dexter, jak ja.

- Głupcze! - wrzasnął Raymond.

- Powoli, wuju - ozwał się pretendent. - Nie chcemy tu żadnej bójki.

- To jasne jak dwa a dwa - cztery - upierał się wuj Jed. - Co wy powiecie, panie Dean? - zwrócił się na koniec do mnie, obcego przybysza.

W trakcie rozprawy prawie się nie odzywałem. I teraz nie pragnąłem zabrać głosu. Zamknąłem oczy i zajrzałem w głąb duszy.

Zeznania młodzieńca, jak też przybycie Ansona zdawały się mocno świadczyć o prawdzie. Przeciwko jego roszczeniom świadczyła głównie romantyczna natura sprawy. Nie chciało się wierzyć, że coś podobnego mogło się stać w rzeczywistym życiu. Mówiłem sobie, że to ostatecznie nic takiego, że Anson nie puszczał chłopca tak długo z obawy o jego życie. Jeżeli to był faktycznie Dexter, to życie jego naprawdę nie było wiele warte. Mądre towarzystwo ubezpieczeniowe nie zgodziłoby się ubezpieczyć go nawet na trzy tygodnie. Z mego punktu widzenia przeciwko Dexterowi przemawiała jedynie bajkowa atmosfera całej sprawy. Może poza tym odrobina wrodzonego mi sceptycyzmu, którego nie mogłem zanalizować.

W tej sytuacji, nie mogłem uczciwie opowiedzieć się przeciwko niemu. Włożono na mnie poważny obowiązek. Przypadek kazał mi rozstrzygać między dwoma obozami. Gdybym głosował przeciwko niemu, opinia publiczna potępiłaby go na tej podstawie, że był sądzony sprawiedliwie przez swoich. Gdybym stanął przy nim, ogromna większość tych dzielnych górali uznałaby go za prawego Dextera. A wtedy Dexterska Dolina buchnęłaby ogniem walki.

Rozważałem rzecz przez trzy minuty, długie, ciężkie minuty. W końcu otworzyłem oczy i spojrzałem ostatni raz badawczo na młodzieńca. Wytrzymał mój wzrok spokojnie, bez pozy. Skinąłem głową.

- Jesteś Charles Dexter.

Klaudia, piejąc triumfalnie, zaklaskała w ręce. Wuj Jed wydał okrzyk radości.

Za to dwaj opozycjoniści patrzyli na mnie groźnie i uroczyście.

- Obcy człowieku - rzekł Bullen - wdepnąłeś w mrowisko. Uważaj, żeby cię mrówki nie zżarły!

Anson zaczął się śmiać niespodziewanie.

- Nie ślepy, rozeznaj światło od ciemności. Wy, Bullen, idźcie na ulicę poszczekiwać razem z psami.

I znów się zaśmiał.

- Zapamiętam to sobie, i ciebie nie zapomnę - warknął Bullen.

- Nie zapomnij i niech cię diabli! - odpalił Anson.

- Chodź, Dandys - ozwał się stary hultaj Crowell, drabisko podobne do łasicy. - Zabierajmy się. Nic tu po nas.

Wziął Bullena pod ramię i ruszyli ku drzwiom. Desater i Klaudia ustąpili im z drogi. Młodzieniec przez cały ten czas, gdy ważyły się jego losy, nie powiedział jednego radosnego słowa. Podziwiałem jego spokój. W tej chwili dałbym mu o dziesięć lat więcej, niż miał.

Crowell i Bullen byli już obok drzwi, gdy pierwszy z nich wydał wrzask głośny, przeraźliwy. Wrzask, który zadzwonił mi w uszach. Wrzask, który zahuczał mi w głowie.

Wszyscy odwrócili się z przestraszeniem. Crowell stał ze sztywno wyciągniętą ręką.

To, co on zobaczył, i myśmy zobaczyli. Ślepy by zobaczył. Włosy mi stanęły na głowie.

Na środku widniał duży, z rozmachem nakreślony znak, podobny do litery „M“, na końcu przedłużony w dół, bez zwykłego zakrętasa. Znak czarny, pewnie zrobiony węglem drzewnym - znak Scorpii.

VI. DOCHODZENIE

Widok ten podziałał na nas szczególnie, na każdego inaczej. Przez dłuższą chwilę nie mogłem ani dobrać głosu, ani poruszyć się. Bullen kłął. Crowell cofał się, póki nie wyrzynał plecami o ścianę. Wuj Jed Raymond, łapiąc powietrze ustami jak ryba, podrzucał na ręce scyzoryk z rękojeścią z masy perłowej. Klaudia z krzykiem chwyciła się krzesła. Dexter, ledwie rzuciwszy okiem na złowrogi znak, zabawiał się badawczym patrzeniem po twarzach. Anson, niepamiętny na swoje drwiny, przeważał się w krzesło i zemdlał.

To nas otrzeźwiło. W szklance była jeszcze trochę wody, więc mu spryskano twarz. Otworzyłem szerzej okno od zachodu. Inni też się krzątali.

Dexter, klęcząc na jednym kolanie obok krzesła Ansona, trzymał go za rękę. Widocznie badał puls. Patrząc mu przy tym w twarz surowo, jakby mówił sobie, że przecież ten człowiek nie umarł... Gdzieżby śmiało umrzeć?... Od takiego głupstwa?...

Anson nie umarł. Z jękiem ocknął się z omdlenia.

Dexter ujął go za ramiona, mówiąc prędko:

- Wszystko w porządku, Phil! Wszystko w porządku! Jestem przy tobie. Widzisz? Wszystko dobrze!

Odniosłem wrażenie, że Anson zemdlął nie ze strachu o siebie, a o niego.

Oprzytomniawszy, wyciągnął długie, zimne, kościste ręce i przesuwał je po twarzy młodzieńca. Odetchnął wolno, jęklawie, wyprostował się... Spojrzał ze wzdrygnięciem ku drzwiom, na straszłą literę...

- To nie sen, Charlie. To prawda... Scorpio tu gdzieś jest!

- Jeszcze nie wiemy. Scorpio, albo - jakiś żartowniś!

Przy tych słowach Dexter rozejrzał się błyskawicznie po pokoju, po wszystkich twarzach. Na mnie wzrok jego zatrzymał się ułamek sekundy, ale czułem, że mnie przejrzał na wylot.

Stojąc z łokciem lekko wspartym na poręczy krzesła, powiedział:

- Czy nikt się nie domyśla, kto mógł narysować ten znak? Milczenie.

Po chwili Bullen mruknął:

- Dziewczyna, idąc po wodę, nie zamknęła drzwi. Może wtedy...

- Podejrzewasz, że sama to zrobiła, wracając z wodą? - odparł Raymond.

Spojrzałem na Klaudię. Była blada, na pół przytomna, mogła nie słyszeć, cośmy mówili. Nie dziwiłem się jej stanowi. Wszak jej własny ojciec zginął w owej straszliwej rzezi w Dolinie przed dziesięć laty. Nazwisko Scorpio musiało być dla niej okropniejsze od miana diabła.

- Taki głupi nie jestem - odparł Bullen. - Ale musiał to ktoś napisać podczas, gdy ona wyszła, a my, choć wracając zamknęła drzwi, nie zobaczyliśmy od razu... Chyba, że ktoś z obecnych stanął plecami do drzwi i - tego!

- Kto stał najbliżej tych drzwi? - zapytał chrapliwie Anson.

- Ten obcy - pośpieszył z odpowiedzią Crowell. - Warto zapytać, co wiadomo o tym człowieku, który z taką pewnością wziął Dextera za Dextera?

Spojrzał na mnie, a ja przypomniałem sobie, że rzeczywiście stałem obok tych drzwi - Zdobyłem się na przytomność umysłu.

- Nie mam przy sobie żadnej kredki, żadnego węgielka... Możecie mnie przeszukać.

- Później otworzyłeś okno - rzucił Crowell i oczy mu zagrały ogniem.

- Mógł wyrzucić za okno - przywodził Anson. I wlepił we mnie straszne, palące oczy.

Już żałowałem, że się wplątałem w tę awanturę. Teraz żal mój spotęgował się.

- Patrzcie - wyciągnąłem ręce. - Czy mam uczernione palce?

Wszyscy patrzyli na moje ręce. Naturalnie nie był to dowód całkowicie przekonujący, ale raptem i oni wyciągnęli ręce na nieme świadectwo niewinności.

- Nie bądźmy niedorzeczni - spokojnie rzekł Dexter. – Sprawca mógł wytrzeć ręce. Czyż to nie jasne? Osobiście jestem zdania, że nikt z obecnych nie mógł tego zrobić. Za plecami? Widzicie, jaką to pewną ręką nakreślone, z jakim rozmachem... Gdyby ktoś pisał na ośle, za sobą, kreski byłyby chwiejne. Gdyby ktoś zwrócił się twarzą do drzwi i coś tam smarował, to byśmy to zobaczyli. Nie jesteśmy ślepi

- No, to Scorpio to zrobił, nikt inny - rzucił Anson, ocierając mokre czoło.

- To by znaczyło - rzekł Raymond - że ten człowiek odważył się wejść tu do zajazdu w biały dzień, choć jest wciąż poszukiwany. Nikt by go nie osłonił, nawet ci, co najwięcej skorzystali na jego mordach!- Dinmontowie, Crowellowie, Bensonowie i inni. Ci, co zagrabili włości Dexterów.

Mówiąc to, świdrował oczami Crowella. ale ten udał obojętność.

Dexter, który wciąż patrzył po twarzach, dodał chłodno:

- Nie zdaje mi się, żeby ktoś z obecnych napisał tę literę. Nie, ten człowiek musiał stać za drzwiami, musiał podsłuchiwać... To musiał być Scorpio, Stał tam, za drzwiami.

Z tymi słowy odwrócił się i szarpnął za klamkę. Byłem tak zdenerwowany, że... że.. Nie, sieni była pusta. Nie zobaczyłem w ciemnej głębi przystojnego Meksykanina.

Dexter wyszedł do sieni i starannie zbadał zakurzoną podłogę, okno i ziemię za oknem.

- Czy to człowiek spuszcza się tam po stoku - zapytał raptem Bullen.

Oczy nam wyszły na wierzch. Z okna otwierał się widok na rozległą, błękitną dolinę. Zbocze waliło w dół bez mała prostopadle. Miejscami porastały je drzewa i krzewy oraz twarda trawa, ale przeważnie było nagie. W krzakach, w dole, coś się poruszało... Z gęstwiny wyłoniła się pstrokata jałówka.

Popatrzyliśmy na siebie. Śmiech buchnął... Gdyby to był człowiek, pewnie któryś z „sędziów“ posłałby za nim kulę, tak się w nich gotowało... Ale to była jałówka; musieliśmy się śmiać.

- Jakież z nas cielecia! - zawołał Bullen. - Trzeba się było rozsypać po obejściu i pytać ludzi, czy nie było takiego, a takiego gościa.

- O, z waszej paczki nikt by nie zrobił alarmu, nie gonił Scorpia, żeby mnie ratować - z goryczą rzekł Dexter.

- Ej, młokosie, szukasz zaczepki? - nastroszył się Bullen. Dexter ni z tego. ni z owego zaśmiał się głośno. Rzadka to rzecz u skazańca, bo czymże on był?

- A po cóż ja tu zjechałem? - zapytał. - Tak, szukam zaczepki. Nie będę miał na pewno spokojnego posiłku, dnia spokojnego, póki nie odzyskam tego, co się należy mnie i mojej rodzinie!

Tu zajął Bullenowi w oczy.

- Kto szuka guza, przeważnie go nie uniknie - odpowiedział Dandys z gniewem, ale wcale nie zaczepnie.

- Idźcie rozgłosić nowinę! - zawołał Dexter.

- Niech cała Dolina, wasza rodzina i sąsiedzi usłyszą, że wróciłem. Nasadziliście na mnie Scorpia. Nie straciliście chwili czasu. Dowód to, że w głębi serc wierzycie, że ja to prawdziwy Dexter. Dobrze więc, powiedzcie im, że wróciłem. Niech się mają na baczności, bo nie daruję swego!

Crowell zaskrzeczał nagłym, ostrym głosem:

- Jesteście świadkami! Ten młokos otwarcie grozi śmiercią i rabunkiem uczciwym obywatelom Doliny! Jeżeli dojdzie do gwałtów, prawo znajdzie winowajcę!

- Charlie - stęknął Anson. - Ja ledwie żyję. Wyproś ich, dobrze?

- Wyproszę ich, wyproszę, ale im najpierw coś powiem, żeby powtórzyli swoim przyciołom. Słuchajcie. Pójdę spokojnie do Doliny, obejdę wszystkie domy, zostawiając wszędzie wezwanie, żeby mi ustąpili z drogi, żeby mi oddali to, co moje. Już oni tam wiedzą, co moje.

- Czyś ty oszalał? - krzyknął Raymond. - Ty - chłopiec - przeciwko setce zabijaków?

- Sprawiedliwość jest po mojej stronie - dziwnie powiedział Dexter. - Dobra sprawa jest więcej warta od armii. W każdym razie zanieście wieść w Dolinę. Wszyscy zostaną ostrzeżeni. Potem zacznę działać.

Bullen chciał coś powiedzieć, lecz księżę Charlie podniósł rękę i uciszył go. Dwaj obrońcy praw Doliny zabrali się do odejścia. Na końcu sieni Crowell odwrócił się, jakby chciał nam cisnąć na pożegnanie jakieś mocno pamiętne słowo, lecz widok Dextera odjął mu mowę, tak jak Bullenowi.

Nie miałem im tego za złe. Od chłopaka biło zagładą.

Po odejściu wrogiego stronnictwa, Dexter podszedł do mnie sam z wyciągniętą ręką.

- Panie Dean, rozumiem, co się z panem działo, gdy od pańskiego przekonania zawisła decyzja. Rozumiem, jak wielkiej trzeba było z pańskiej strony odwagi, żeby się wplątać w ten sposób w straszną a obojętną dla siebie sprawę. Chcę panu podziękować.

Ścisnął mnie silnie za rękę. Rad byłem, gdym się wyrwał przed zajazd, na świeży powiew wiatru, na słabnący już żar słońca.

VII. PIERWSZA OFIARA

Idąc drogą, żeby rozprostować ścierpnięte nogi, natknąłem się na jakiegoś starego oberwańca, który pędził przed sobą osła, dodając mu zachęty klątwami. Po młocie w rękę, po mglistych, dalekowzrocznych oczach, poznałem poszukiwacza złota. Dużo się nasłuchiwałem o tych ludziach, co harują na górskich wiochach i słońcu, żyją ciągłymi rozczarowaniami, a w końcu czegoś się tam dokopią, lecz złoto ucieka im z rąk i wzbogaca innych, obcych, których nie widzieli. Ten wyprawiał się widocznie w nową podróż. Juki na osły były ciężkie, i pękate. Szare zwierzę dreptało drobnymi kroczkami, potrząsając uszami w niemym proteście.

- Wyruszenie w świat, na szerokie wody, ojczyzna? Wziął moje pytanie dosłownie.

- Ano, tak, panie. Ale te wody skamieniałe, zamrożone i kompasu na nie nie ma. Co wieczór zawraca człowiek do domu, a co rano spostrzega, że domu nie ma, jeno port na końcu podróży. Tak, panie wyruszam na szerokie wody.

Szczególna powaga starego poszukiwacza ubawiła mnie i wzruszyła. Stapał nieborak na przygiętych kolanach i miał brodę krzywo po-przycinaną na podobieństwo owczego runa. Było w nim coś z zardzewiałej broni i omszonego kamienia. Bary jednak miał młodzieńcze i trzymał się prosto.

Zapytałem, czy długo mieszka w tych stronach.

- O! - rzekł, trwając przy żeglarskiej terminologii - swojak ja na tutejszych wodach. Ze trzydzieści lat żegluję tutaj, zawijam do portów i żegluję. Znacnie się, panie, na górnictwie?

- Nic, a nic.

- Mądry ten, co trwa w nieświadomości. Ten, kogo raz olśnił złoty blask, nie zazna już spokoju. Złoto zapadnie mu w duszę. Pójdzie za nim na krańce świata.

Zapatrzył się w jakiś daleki szczyt. Powróciłem do sprawy, która mnie pochłaniała.

- Dużo mi tu opowiadali o Dexterach.

- Mnie doszły słuchy, że któryś młody Dexter powrócił. Pozwoliłem sobie na poprawkę.

- Podaje się za Dextera.

- Kto by się podawał za Dextera, jakby nim nie był? - rzekł poszukiwacz.

- Czy to była znaczna rodzina?

- Rodzina? Panie, to byli tutejsi królowie. Niech tylko król upadnie, na co się zda trafić o osierocony tron? Król, który chce się znów wdrapać na stolec, tyle ma, że się pośliznie i spadnie na głowę. Weźcie, panie, Jerzego III-go!

Ta aluzja historyczna wymagała poprawki, ale rozumiałem, że raczej wypada mi grać rolę słuchacza, niż nauczyciela.

- Podobno kiedyś należała do nich cała dolina?

- Dolina i przyległości. Pamiętam, jak ryki ich stad obijały się o Monte Verde. Królowie to byli, panie, królowie. Mogli zagarniać wokół, co im się podobało. W końcu płacili podwójnie. Fantazję mieli szeroką. Na koniu, w domu, czy na górskim szczycie, wszędzie rozkazywali. Jak tylko im człowiek przypadł do gustu, umieli być łaskawi. Jefferson Dexter zaopatrywał mnie przez osiem lat w żywność i przybory górnicze.

- Polubił was? - pytałem ciekawie.

- A jakże, panie, polubił. Strzelał w krzaki z króciicy. Myślał, że upoluje jelenia. Trafił w człowieka, czyli we mnie. Dostałem ładunek śrutu w ramię.

Zaczął nucić cicho, jakby się upajał wspomnieniami.

- I tytułem odszkodowania prowiantował was potem?

- Odszkodowania? On nigdy nie płacił ludziom za rany. Akurat. Komu się nie podobała jego polityka, mógł z nim walczyć, ale zazwyczaj kiepsko na tym wychodził. Dexterowie jedli proch z owsianką, niemowlętom dawali naboje do gryzienia, żeby im się zęby wyrzynały i każdy potrafił grać na kolcie, jak anioł na trąbie. Mieli dobry słuch!

Stary śmiał się trochę. Mnie wszakże nie było do śmiechu. Zrozumiałem powód ucieczki Burgessa. Widocznie strzelecka sława Dexterów rzucała postrach na najtęższych junaków.

- Powiedzcie mi, ojcze - zapytałem w końcu - czy podług waszego zdania ten domniemany Dexter mógł ujść rzezi w tamtą krwawą noc w Dolinie?

- W noc zdrady? Hm, sam nie wiem. Mówią, że w Dexterach twarde życie. Może też tego młodzika nie dobili. Czemu nie?

Wygłosił to tonem tak poważnego przekonania, że moje wątpliwości mocno osłabły. Opuściłem zajazd w rozterce. Wracałem, pożegnawszy się ze starym poszukiwaczem, z ukojoną głową.

Początkowo uważałem prawdopodobieństwo tożsamości Dextera za słabe. Teraz, odwrotnie. Nie chciało mi się wierzyć, żeby ten człowiek był oszustem.

W zajeździe zastałem zmianę na swoją korzyść. Do tego dnia nic sobie nie robiono z mojej osoby. Byłem nudnym, obcym człowiekiem, w dodatku mieszcuchem. Przypadkowa rola rozjemcy w sprawie Dextera uczyniła mnie z miejsca ważną figurą. Tego wieczora wciąż mnie zagadywano, domagając się, żebym powtarzał swoje oświadczenie z owego sądu. Byłem zdania, że raczej powinienem milczeć. Odpowiadałem więc tylko, że na pięciu

członków, trzej dali się przekonać i że ja należałem do przekonanych, ale co się tyczy dowodów, niech czekają na głosy tutejszych obywateli, bo ja tu obcy.

W ten sposób pozbyłem się natrętów i zaraz po wieczery udałem się do swego pokoju.

Ze względu na dalsze wypadki, muszę opisać jego położenie szczegółowo.

Mieścił się na pierwszym piętrze, w rogu, nad małą jadalnią, w której odbyliśmy naradę i tak samo miał jedno okno od zachodu, jedno od północy. Ściany były bardzo cienkie. Od prawej strony dochodziła mnie wrzawa głosów. Wydawało mi się, że rozróżniam miękką, spokojną intonację Dextera. Słów nie chwytalem, gdyż mówił cicho, co, jak poznałem, było jego zwyczajem. Człowiek, z którym rozmawiał, chwilami podnosił głos i wtedy łapałem pojedyncze słowa.

Rozmowa toczyła się już, gdy wszedłem do swego pokoju. Najpierw usłyszałem powtarzający się okrzyk: „Czas! Czas! Czas! Czas!“, jakby przedmiotem sporu, czy narady był czas, albo jakby się ten człowiek gorzko skarżył, że jemu czy im nie stanie już na coś czasu.

Później, siedząc w oknie od północy i patrząc na mętne zarysy gór na tle rozgwieżdżonego nieba, usłyszałem inny refren, równie głośno wykrzykiwany, od którego przeszło mnie zimno do kości. „Śmierć! śmierć! śmierć!“ powtarzało się w pewnych odstępach czasu, jakby to straszne słowo wplatało się w szereg zdań, następujących po sobie.

- Pewnie jakiś cherlak - myślałem - taki, jak ja... Pewnie skarży się na krótki czas żywota, na konieczność przedwczesnej śmierci... Ja też się buntowałem...

Żal i samotność ciążyły mi rozpaczliwie. Położyłem się do łóżka. Serce biło mi nierówno, chwilami bardzo gwałtownie. Zastanawiałem się, czy starania moje spełzną na niczym, czy też czyste, ostre powietrze tych gór uczyni mnie na nowo zdrowym, silnym człowiekiem.

Długo patrzyłem w ciemność, nie mogąc zmrużyć oka. W końcu sen mnie zmorzył, ale majaczyły mi się okropności, zasłyszane w ciągu dnia. Widziałem straszliwego Meksykanina, Manuela Scorpią, który chodził cicho i szybko, jak kot...

Obudziłem się pod wrażeniem, że ktoś się dobiera do moich drzwi.

Rozległo się słabe szurnięcie, nie głośniejsze od szeptu. Poczułem na twarzy powiew chłodnego powietrza, kiedy drzwi otworzą się do pokoju i zrobi się przeciąg.

Ze strachu zmartwiałem. Przez mózg przebiegło przypomnienie, że to mój głos rozstrzygnął sąd nad Dexterem.

Może chcą się na mnie zemścić...

Nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Mdło mi się robiło i trząłem się jak w febrze.

W ciemnościach zaszemrał półszepot tak okropny, taki jakiś ohydny, że słów mi brak na porównanie.

- Charlie! Charlie!

Nie wytrzymałem:

- Kto tu jest?

Żadnej odpowiedzi, tylko po chwili coś ciężko runęło na podłogę. Porwałem zapalki. Osłaniając płomyk drżącą dłonią, skierowałem go w stronę, skąd mnie doszedł ostatni hałas. Zobaczyłem rzecz straszliwą.

Na podłodze klęczał Anson. Ręce trzymał na gardle, z którego krew lała się strumieniem. Twarz, wykrzywiona skurczem grozy i trwogi, była jak maska z kamienia. Na czole czerniał nakreślony z rozmachem znak Scorpii.

VIII. SŁOWA ANSONA

Uniosłem szklany klosz lampy, stojącej na stoliku obok łóżka, przytknąłem płomyk zapalki do knota, zatknąłem klosz i wyskoczyłem z pościeli.

Dopadłem do rannego. Właśnie runął na bok i wił się konwulsyjnie, jak by konał.

Musiałem wezwać pomocy... Wieczorem słyszałem głosy w pokoju na prawo. Oczywiście było rzeczą, że Anson, napadnięty przez mordercę, Scorpię, przez omyłkę, zamiast do Dextera, trafił do mnie.

Wybiegłem na korytarz i zapukałem do sąsiednich drzwi. Otworzyły się natychmiast.

- Co tam? - rzekł Dexter. - Co się stało, panie Dean?

Mimo wzburzenia zachowałem tyle przytomności umysłu, że zdumiałem się jego mowie. W takiej chwili człowiek jąka się, łapie słowa, wykrzykuje. On tyle tylko, że mówił prędko, ale wyraźnie, jakby rozmawiał na wielką odległość przez telefon, przy tym zupełnie spokojnie.

Pokazałem na mój pokój, bąkając coś o biednym Ansonie. On już pędził... Jeżeli Scorpio miał chód kota, to on również. Nie dotykał prawie podłogi.

Wszedłem za nim i zamknąłem drzwi. Sceny, która się rozegrała przed moimi oczami, nie zapomną póki życia.

Dexter padł na kolana obok konającego. Tak, Anson konał. Ręce zaciskał na szyi, jakby się chciał zadławić. Charlie odjął od rany te szalone ręce, spojrzął na czerwone ujście krwawej rzeki, puścił rękę... Poznał - widziałem to - że dla nieszczęśliwego nie ma ratunku.

Patrzyłem, przestraszony grozą, nie tyle na Ansona, co na Dextera. Młodzieniec klęczał bokiem do mnie, z profilem w blasku lampy. Myślałem, że zblednie, jak bywa w takich wypadkach, że pot mu wystąpi na twarz, usta się zacisną, szczęki zdrętwieją... Nic podobnego. Spoglądał tak spokojnie, jakby przerzucał od niechcienia niezbyt ciekawą książkę.

To szczególne zachowanie się zdumiało mnie, jak nic ani przedtem, ani potem, a wszak miałem doświadczyć niebywałych rzeczy. Prawda, że często stawał w potężniejszym blasku, ale pierwsze wrażenie wielkości człowieka jest zawsze najsilniejsze. Pojąłem jasno, że to nie

jest zwyczajny śmiertelnik, lecz cud jakiś, wybryk natury, niezwykła, dusza, niezwykle umysł.

Oderwawszy oczy od jego straszliwie spokojnej twarzy, spojrzałem na konającego.

Anson, czując bliski koniec, wysiłał się rozpaczliwie, żeby przemówić, aż żyły mu się wzdymały na czole, twarz siniała, oczy wyskakiwały z orbit, a krew buchała coraz gwałtowniej, zalewając całe piersi. Przy tym machał szeroko rękami, jak to czyni mówca w wielkim uniesieniu.

Te biedne ręce najwyraźniej o coś prosiły. Dłonie odwracały się do góry, palce kurczyły się lub prostowały. Oczy, już zachodzące szkliwem śmierci, też wołały, błagały...

Dexter zachowywał się, jakby śmierć była prostym, obojętnym wydarzeniem.

- Musisz się rozprężyć, Phil - mówił zwyczajnym głosem. - Wysiłasz się i tylko krew obficie płynie i zalewa ci gardło. Spokojnie. Wytrę ci usta. Staraj się mówić szeptem. Mniejszy wysiłek, to się łatwiej uda. Albo lepiej pisz na podłodze. Potrzymam cię, przyjacielu!

Słowa te wydają się w druku dość spokojne. Jeszcze spokojniejszy, doskonale obojętny był głos, aksamitny, kojący, uprzejmy, jak zaw-

Anson, podźwignięty silnym ramieniem młodzieńca, nie zdawał się pojmować czego od niego żądają. Musiał stracić za dużo krwi i po drugie dusił się. Zamiast pisać na podłodze palcem, umoczonego we własnej krwi, co by mu nie sprawiło wielkiej trudności, w dalszym ciągu usiłował przemówić. Od tego przeraźliwego widoku, o mało nie zemdlałem. Opanowałem się jednak.

Może pozycja pionowa ułatwiła Ansonowi przeczyszczenie gardła, bo niespodziewanie usłyszałem upiorny bełkot, taki sam, jak wtedy po ciemku, tylko donośniejszy, zarazem przeraźliwy i zdławiony.

- Scorpio... zemsta... - Dalsze słowa uwięzły w gardle.

Dexter widział, że wszystko na próżno, że więcej nie usłyszy. Podniósł się, obejmując ciało przyjaciela ramieniem. Uczynił to z taką łatwością, jakby trzymał niemowlę. Stał prosto. Światło lampy padało mu na twarz, krew Ansona zalewała piersi. Wolną rękę podniósł do nieba, do Boga.

Obraz był uroczysty, ale na twarzy młodzieńca nie odbijało się najsłabsze wzruszenie. Głos brzmiał martwo, jak u dziecka, dukającego niezrozumiały ustęp. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby ten głos był głupi. Nie, tylko nie było w nim życia.

- Phil, przyjacielu, widzisz mnie i słyszysz. Nie spocznę, nie odetchnę, nie usnę spokojnym snem, nie posilę się ze smakiem - póki nie nakryję Scorpię i nie zabiję go tak, jak on ciebie zamordował. Dopóki tego nie dokażę, moje własne dążenia będą dla mnie niczym. Czy słyszysz? Czy jesteś szczęśliwy? Anson próbował potwierdzić głową słowa przyjaciela, ale już nie mógł. Nie żył.

Tymczasem stuk drzwi, gdy je zamykałem, i krzyk rannego obudziły cały zajazd. W sieni rozległ się tupot biegnących nóg.

- Przekręć pan klucz i nie wpuszczaj nikogo - rzekł do mnie przez ramię Dexter.

Posłuchałem.

Byłem od niego starszy przeszło o dwadzieścia lat, ale pewnie żaden żołnierz napoleoński nie był karniejszy względem Małego Kaprała, niż ja wobec tego młodzika.

Dexter złożył ciało na ziemi i prostował je, gdy za drzwiami zrobił się ruch. Zauważono smugę światła ze szpary.

Usłyszałem trwożny krzyk Klaudii.

- Co się stało, panie Dean? Jesteście tam? Co się stało? Pobłogosławiłem ją w duchu za to, że pomyślała o mnie. Czymże

byłem pod dachem, kryjącym Ansona. Dextera i Scorpia - w przebraniu?

- Jestem tu. Nic mi się nie stało - odpowiedziałem, oglądając się na Dextera.

- Możesz pan mówić - rzekł on i obejrzał się na mnie, jakby poczuł mój wzrok.

- A ten straszliwy krzyk? Czy panu się coś przyśniło? - pytała Klaudia.

- Proszę spojrzeć - ozwał się w sieni głos męski. - Krew na podłodze.

- Tak - wołała Klaudia, - Krew! Krew! Prowadzi do tych drzwi. Panie Dean, musi pan otworzyć. Coś się stało. Nie wolno panu tego ukrywać w tę noc - tutaj!

Zadałem sobie pytanie, co ona chciała przez to powiedzieć.

- Ansona ktoś przebił nożem - rzekłem. - Wpadł do mnie, myśląc, że to pokój Dextera. Już umarł. Leży na podłodze. Dexter też tu jest. Jeżeli szeryf jest w mieście, trzeba go wezwać, żeby pierwszy wszedł...

Klaudia powiedziała dziwne słowa, które przeszły mi mózg, jak chłodny błysk stali.

- Umarł - tak prędko!

Czyżby spodziewała się tej śmierci i tylko nagłość jej zdziwiła ją, czy przeraziła?

Słyszałem jak spokojnym głosem zatrzymała cisnących się gapiów, objaśniając krótko, co się stało. Jednocześnie posłała po szeryfa Winchella, który tylko co wieczorem przybył do miasta i stanął w naszym zajeździe.

IX. CZARNA TORBA

W całym budynku panował rwetes, ale chwilowo bezpośrednio za drzwiami zrobiło się cicho.

Dexter podniósł się i stojąc patrzył na umarłego. Przód pizamy miał w krwawych smugach i plamach.

Z oczami, wlepionymi w Ansona, powiedział do mnie swoim zwyczajnym łagodnym głosem:

- Panie Dean, wreszcie pan się opanował. Widział pan wszystko wyraźnie?

Jak ten chłopiec zdołał zauważyć, że przy konaniu Ansona opanowałem się?

- Przypuszczam, że tak - odparłem krótko.

- To, co mi pan powie, będzie dla mnie bezcenne. Jak pan uważa, czy ten biedak, konając, łapał oddech, czy też chciał mi odpowiedzieć: „nie“?

Milczałem. Pytanie było zaiste ciężkie. Spojrzałem na Ansona, na jego twarz spokojną, rozjaśnioną cichym uśmiechem śmierci. Prócz krwi, która stała u nasady szyi czerwoną kałużą, nie było na nim znaków śmiertelnej grozy.

Wyciągnąłem rękę.

- To musiała być tylko agonia - rzekłem.

Dexter potrząsnął głową.

- Bo tak błogo śni, co? Ech, śmierć lubi płatać figle. Nie, to dla mnie nie dowód.

- Jeżeli tak, to trudno coś powiedzieć.

- Pewnie. Inaczej bym nie pytał. Mam swoje oczy. Przypomnij pan sobie, jak on wyglądał w ostatniej chwili. Zamknij oczy.

Posłuchałem, zacinając zęby.

Wysiłek był straszny. Nerwy mi już wypowiadały posłuszeństwo, lecz wpływ zimnej krwi Dextera zrobił swoje.

- Hm!... może się mylę, ale zdaje mi się, że on tylko chwycił powietrze. Jakże mógł mówić „nie“, kiedy otrzymał przyrzeczenie, o które najwyraźniej prosił?

- Może on właśnie prosił o coś wręcz przeciwnego. Jedno słowo mniej i... Może chciał powiedzieć: „To nie był Scorpio. Zemsta na...“ W takim stanie mogło mu się wydawać, że wypowiedział wszystko, co myślał. Konał, przytomność go opuszczała..

- To możliwe.

- Jeżeli się mylimy, to ja...“ mogę zmarnować...

Nie dokończył. Widziałem jednak, rozumiałem, że zmagał się z jakąś ciężką wątpliwością. W końcu rzekł więcej do siebie, niż do mnie:

- Pan pewnie ma słuszość. On myślał o Manuelu. Manuel nazaczył mu czoło swoim znakiem. Manuel Scorpio - naturalnie!

Decyzja, jaką powziął, musiała go dużo kosztować. Czulem, że zdobył się na coś wewnątrznie z wielkim żalem. Na co, nie mogłem powiedzieć. Cokolwiek myślał w chwili śmierci biedny Anson, jasnym było, że Scorpio go zamordował. Ale Dexter miał na myśli co innego. Stojąc w oknie, wyglądał na dolinę, która była nie tak. dawno we władaniu jego rodu. Stałem za nim. Widok z okna poruszył mnie tak bardzo, jak doprawdy niewiele rzeczy w życiu.

Zaczynało dnieć. Nad czarną, zębatą zaporą gór stała blada smuga jasności. Śniegi na szczytach grały różowymi refleksami. Swit przesiąkał w dolinę na podobieństwo złotego proszku, rozpylonego w wodzie głębokiej, w studni. Rzeka iskrzyła się świetlicie. Okna miasta Dexter zaczynały migotać odbiciem zorzy. Z mroku wyłoniły się pola zielone i drzewa widmowe. Wreszcie, nawet na tak wielką odległość, pochwyciliśmy lśnienie rosy na łąkach.

Obraz zmieniał się w oczach. Dexter chłonał go wzrokiem, jakby chciał, żeby mu został w sercu na zawsze taki jasny i wyraźny. Wydało mi się, że parę razy przeszło go leciutkie drzenie, lecz mógł to być skutek chłodnego wiatru porannego, który wiał prosto w okno.

W chwilę później przybył szeryf.

Musieliśmy otworzyć drzwi. Z szeryfem szło kilku ludzi, między innymi wydawca małego pisma w Monte Verde. Miałem uczucie, że światło dnia wdiera się w otchłań tajemnicy.

Szeryf nazywał się Thomas Winchell i cieszył się dobrym imieniem wśród górali, miał czujne oko na kaniony i wąwozy swego okręgu. Z wyglądu robił wrażenie człowieka zabawnie nieszkodliwego. Był niewysoki i zwiędnięty. Jako mały chłopiec musiał należeć do złotowłosych, błękitnookich aniołków, co to spoglądają szeroko rozwartymi źrenicami, ni to głupawo, ni to niewinnie. Szeryf otwierał szeroko oczy, niegdyś błękitne, teraz spłowiałe, podobne w nieprzyjemny sposób do matowych oczu ryby. Włosy miał również spłowiałe, częściowo siwe. Nędzne wąsiki nie dodawały mu męskości, bo stałe otwierał usta, jak to czynią gapiawate dzieci. Prezencji dopełniała głowa, osadzona na długiej chudej szyi, kiwająca się za każdym krokiem. Szeryf, idąc, wyglądał dziwacznie, jakby kłaniał się własnemu cieniowi na ziemi.

W pierwszej chwili nie bardzo go nawet widziałem. Patrzyłem na wielkich drabów, którzy mu towarzyszyli. O ile się do mnie nie zwracano, odchodziłem w kąt. Dexter stał blisko okna, z obojętną twarzą, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Zauważyłem szeryfa dopiero, gdy, schyliwszy się, uniósł róg dywanika, niby zapobiegliwa pani domu, badająca gatunek tkaniny.

- Hm! Hm! zniszczone! Plamy zostaną!

Patrzył na ciemne, mokre plamy i potrząsał głową. Następnie spojrział na Dextera, znów potrząsnął głową, zamrugał i otworzył usta... Wyglądał tak idiotycznie, że zapragnąłem, aby go wyrzucono za drzwi.

- Ty jesteś mały Charlie Dexter?

- Tak, szeryfie.

Szeryf Winchell wyciągnął maleńką rękę i, chwiejąc niezdolnie głową, witał się z młodzieńcem.

- Rad jestem, że cię widzę, Charlie, przykro mi tylko, że spotykamy się nad trupem. Książę Charlie zawitał w swoje strony. Będą chłopcy mieli kogo naśladować, a dziewczęta podziwiać. Nasze góry ożyją. Oj! zapłoną wesole ognie, oj! zagrają rewolwery. Witaj, Charlie! Witaj, mój miły chłopcze!

Ta przemowa wydała mi się okropnie nie na miejscu, choć, widząc, że to szeryf, nabrałem dla niego odrobiny szacunku. Książę Charlie skłonił się, a właściwie kiwnął głową, a szeryf robił swoje.

Nie śpieszył się. Poszedł do pokoju Ansona, zajrzał we wszystkie kąty, zbadał przez szkło powiększające smugi krwi na podłodze.

- Mam podziw dla ludzi - rzekł - którzy potrafią pracować w rękawiczkach. Mnie widły nie chodzą w rękach, jak włożę rękawiczki.

Popatrzył na parapet okna, potrząsnął po swojemu głową.

- Tędy wlaź. Musiał się piąć po ścianie, jak kot!

Posunęliśmy się do okna, ale nic nie zauważyliśmy. Dopiero szeryf pokazał nam w jednym miejscu odprysniętą farbę, a w innym gwóźdź, świeżo odrapany z rdzy.

- Macie oczy, szeryfie! - rzekł ktoś z uznaniem.

- Mam słabe oczy, do licha! Ale to nic! Trzeba wiedzieć, czego się szuka i trzeba pamiętać, że dobre szkła widzą lepiej od słabych oczu.

Tu szeryf kazał posłać po Klaudię, która przyszła blada, surowa, sztucznie spokojna.

- Klaudio, dziewczeczko, czy pamiętasz, z jakim bagażem przyjechał ten biedny Anson?

- Miał walizkę i małą, czarną torbę.

- Walizkę widzę, ale torby tu nie ma - rzekł szeryf i zwrócił się do Oextera:

- Powiedz mi, książę Charlie, co mogło być cennego w tej czarnej torbie?

Dexter odpowiedział spokojnie:

- Powiem panu - powinienem, prawda? - choć to rzecz, dotycząca tylko mnie. Otóż w tej torbie były dowody mego urodzenia, które przekonałyby każdy sąd, że jestem Dexter.

- A! A! A! Ale my ci wierzymy bez żadnych dowodów. Któżby mordował dla takiej rzeczy?

- To nie była jedyna pobudka zbrodni. Główna była ta, że Scorpio nienawidził Ansona. No, zemścił się.

X. ZIEMSKI KONIEC

- Te dowody twego urodzenia... - mówił szeryf. - Daj mi ich listę, to je łatwiej odzyskamy.

- Gdyby szeryf potrafił wskrzeszać rzeczy z popiołów, dałbym mu tę listę, owszem. Ale jeżeli szeryf nie jest specjalistą od cudów, to szkoda gadania.

- W jakież więc sposób dowiedziesz swoich praw, mój chłopcze?

- Moja ostoja w nadziei i modlitwie - rzekł Dexter i szyderczo się uśmiechnął. Czuło się, że jego usta nieczęsto składały się do modlitwy.

Skończywszy oględziny pokoju, szeryf wyszedł przed zajazd szukać śladów ucieczki mordercy. Dexter mu towarzyszył. Przytrzymałem chwilę księcia, pytając, czy nie mógłbym mu się w czymś przydać, zając się pogrzebem...

Odwrócił się i spojrzał tak, jakby mnie nigdy nie widział. Mogę powiedzieć, że miał oczy wyjątkowo niemiłe.

- Dziękuję za uczynność, panie Dean. Owszem, proszę załatwić formalności na cmentarzu i zamówić trumnę, jeśli nie ma gotowej... Pewnie tu przedsiębiorcy pogrzebowego nie ma. Ja mam na głowie ważniejsze rzeczy.

Te końcowe słowa zraziłyby do niego z miejsca większość ludzi. Mnie się wydało, że dostałem w twarz. Przeszedłem nad tym do porządku. Wiedziałem, że chłopak miał okropne przejścia i że miał nerwy ze stali, ja zaś jako twór chuderławy, może nazbyt uwielbiałem ten twardy metal. Stalowe nerwy przetrzymują wstyd i szaleństwa. Uprzejmość i salonowe maniery nie zbudują królestwa, nie złożą się na mocny charakter.

Zjadłem z przymusem skąpe śniadanie, krzywiąc się na lurę, która tu uchodziła za kawę. W jadalni było prócz mnie kilka osób, które mnie sobie pokazywały głowami, a nawet palcami, ale na to nie zważałem. Nagle zebrало mi się na gwałtowny, niezupełnie wesoły śmiech. Z trudem opanowałem dziką chęć. Przypomniałem sobie, że przez ostatnie trzy lata rozmyślałem li tylko nad własnymi niedomaganiem. A tu dziś pół nocy nie spałem, w ciągu doby przeżyłem dwa silne wstrząsy i ani głowa mnie nie bolała, ani puls nie wariował, ani twarz nie potniała. Pierwszy raz od lat zająłem się postronnymi rzeczami i to mi lepiej pomogło, niż wszelkie kuracje.

Zebrawszy potrzebne informacje, udałem się do drogerii.

Mieściny w rodzaju Monte Verde nie miewają drogerii i odpowiednie medykamenty i przybory można tam dostać w sklepach mieszanych. Monte Verde było uprzywilejowane. Spojrzałem na ogromny szyld z napisem „Drogeria Keenana“ i nacisnąłem kłamekę, która wprawiała w ruch dzwonek. Ściany niewielkiego pokoiku ginęły za rzędami szklanych słoików najrozmaitszej wielkości, wypełnionych barwnymi płynami, proszkami i kryształami. Pod szklaną pokrywą leżały szczoteczki do zębów, szczotki, scyzoryki i inne drobiazgi.

Z drzwi w głębi wyszedł człowiek w białym fartuchu i niebieskiej flanelowej koszuli, z której wynurzała się brunatna szyja, zakończona siwą, kudłatą głową. Zgarniając z ust okruchy śniadania - siwosz powitał mnie z miłym uśmiechem:

- A, to szanowny gość, który był przy morderstwie?

Powiedział to takim tonem, jakby pytał o pogodę. Musiałem się uśmiechnąć, ale postanowiłem, że słowa nie pisnę o tej sprawie. Powiedziałem, że skierowano mnie do niego po trumnę, ale że to pewnie jakaś pomyłka.

- Nie, panie, nie pomyłka. Jednych, panie, żegnam, drugich witam. - Żegnam? Witam? - powtórzyłem, nie rozumiejąc.

- Tych, co się rodzą na świat, witamy, nieprawdaż?

- Niemowlę bez drogerii się nie obejdzie... Pudry temu potrzebne, ziółka, leki na kaszel, na żołądek, na kolki, i na inne przypadłości, żeby nie narzekało na zły świat, panie.

- Prawda - rzekłem.

- Tym, co odchodzą, także jestem potrzebny Kiedy leżą chorzy, licząc szpary w suficie, trzeba im dawać leki na jaką taką pociechę. Umarli też potrzebują opatrzenia, a potem przychodzi trumna, panie. Proszę za. mną, to pokażę wybór.

Zaprowadził mnie do szopy za sklepem. Zobaczyłem przybory stolarskie, imadło, heble, piły, trociny i wióry na ziemi. W głębi stały na krzyżakach prostokątne koryta, takie jak do pojenia bydła, tylko że bez szczytów.

- Proszę. Przeważnie sosnowe jodłowe, ale są z cedru, rozumie się, droższe. Kobiety wolą cedr, bo ładnie pachnie i drzewo twarde. Mężczyznom to tam wszystko jedno. Robak przegryzie się przez najtęższy płot.

Pragnąłem uciec, a przecież nieczuła gadanina tego człowieka śmieszyła mnie i bawiła.

- Więc to mają być trumny? - zapytałem.

- A cóżby innego? Mam wlszelkie wymiary od dziecinnych do olbrzymich, dla chłopów sześcioropowych z nadwyżką. W naszych górach nie brak barczystych junaków. Największe skrytki stoją tam od brzegu. Mój towar jest zawsze dobrze dopasowany, a za to nie liczę. Duży wybór daje tę korzyść, Mnie to nic nie kosztuje, prócz przezorności. Mam kilka wyjątkowych rozmiarów na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, kiedy kto umrze, a w lecie, w upał, nieboszczyk nie może czekać

- Nie ma szczytów - zauważyłem:

- Jakże ja mogę mieć gotowe szczyty? Szerokość, co innego, ale nigdy nie wiadomo, jak się nieboszczyk wciągnie na długość. Wiec się szczytów nie przybija. Jest zamówienie, to biorę miarę. Albo pytam, jaka długość i za godzinę robota gotowa, Czasami poproszę o stary płaszcz, żeby wiedzieć, jaka tusza. Ja, panie, sumienny krawiec. Biorę ze składu odpowiednią szerokość, oznaczam długość, opiłowuję deski, przybijam szczyt od głowy, szczyt od nóg. W mojej trumnie nieboszczyk nie będzie się suwał i ruszał. To panie, nieprzyjemnie. Nie ma nic

gorszego jak taniec nieboszczyka w trumnie w drodze na cmentarz. To nie jest na miejscu. Kobiety tego nie lubią. To robi złe wrażenie. To jest panie, niechlujstwo. Co z tego, że na wieko nasypią kwiatów i zieleni, jeżeli umarły nie leży jak się należy? Zawsze mówię to żonie i ona jest tego samego mniemania.

Udało mi się zahamować ten potok makabrycznej wymowy. Wybrałem trumnę, zapłaciłem i poszedłem na cmentarz, oddalony od miasteczka o dobre ćwierć mili, położony na uroczym, otwartym stoku od południa. Przed ogrodzeniem pasło się kilka krów. Jedna z jałówek przesadziła barierę i skubała bujną trawę z mogił.

Cmentarzyk był zaniedbany. Tu i ówdzie rosły krzaki, zajmując miejsce po wykarczowanym lesie. Młode drzewiny szły pośpiesznie w górę. Ziemia zdawała się tęsknić gwałtownie za odjętym sobie zielonym mrokieśm lasów. Ponieważ gmina dartmo udzielała cmentarnej roli, wybrałem miejsce na własną rękę. Wędrowałem między zaroślami, wśród wysokiej trawy, podczas gdy jałówka, dzika jak antylopa, biegła z rykiem wzdłuż płotu, wzywając pomocy, bo wejść potrafiła, ale wydostać się nie umiała. Na cmentarzach panuje smutek. Ten był niemal wesoły. Rozgarnąłem trawę nad jakąś mogiłą i oto co przeczytałem:

Tu spoczywa Jack Lobo.
Dzielny był chłop. Czemuż zdradziecki?¹

To żałosne pytanie wywołało na mych ustach mimowolny uśmiech. Samo nazwisko zmarłego wydawało się dostateczną odpowiedzią. Nad drugim wezglowiem przeczytałem słowa:

Christian Petersen tutaj leży. W mieście była z nim bieda. Oby się tu lepiej sprawował!

Trzeci napis objaśniał pogodnie:

Pod waszymi nogami śpi Will McKay,
najlepszy strzelec,
najszczerze serce,
najwierniejszy przyjaciel w Monte Verde.

Przeważnie napisy były krótkie, na przykład: „Żegnaj, Joe Cruthers!“ Bardzo niewiele zaczynało się od sakramentalnego: „Tu spoczywa...“ lub podawało zbędne daty. Większość ich miała miły, osobisty charakter, co mnie chwyciło za serce. Jednakże rad byłem, że las znów bierze w posiadanie tę ziemię. Ci, którzy tu spali, musieli być na miarę zadzierzystych prostaków z Monte Verde, gotowych zwrócić ochotnie ciała ziemi, z której powstali, bez pretensji do śmiesznych pomników czy starannie utrzymanych mogił. Miejsce dla Ansona wybrałem w rogu, na otwartej przestrzeni i wynająłem w najbliższym domu silnego chłopaka, żeby wykopał grób. Po czym wróciłem do miasta.

W ulicy było poruszenie. Kilku mężczyzn i chłopców pędziło co sił w nogach w stronę zajazdu. Przed werandą zastałem tłum, złożony z pięćdziesięciu osób. Nie potrzebowałem pytać o powód zbiegowiska. Czulem, że chodzi o Dextera.

¹ Lobo - po hiszpańsku: wilk.

XI. GOŚCIE

Nie omyliłem się. Z bliska zobaczyłem, że ciżba otacza pięciu jeźdźców, zwróconych ku głównym drzwiom zajazdu. Wmieszałem się w tłum. Jeźdźcy byli godni oględzin. Dorodniejszych junaków nie widziałem w życiu. Najstarszy z nich, człowiek w średnim wieku, miał twarz męża stanu ze starej surowej szkoły, pozostali czterej byli młodzi. Biło od nich prawdziwie królewskim majestatem. Proste ich plecy i wypukłe piersi obudziły we mnie poczucie mojej własnej nędzy fizycznej.

- Co to za jedni? - zapytałem kogoś w tłumie..

Spojrzał na mnie, jakbym pytał o nazwę słońca, ale zaraz poznał, że jestem tu obcy.

- Sędzia Benson i synowie Clay'a Livingstona. Jeden człowiek a miał takich czterech synów!

To był jeden odlew, jedna miara. Podziwiałem ich bez zazdrości, gdyż od tak wielkiej doskonałości fizycznej dzieliła mnie astronomiczna odległość.

- Czy on się pokaże? - ktoś zapytał.

- Jeżeli jest głupi, to się pokaże.

- Pokazałby się, choćby tu ściągnęła cała Dexterska Dolina - rzekł trzeci głos.

A więc tych pięciu przyjechało do Dextera! Coś się zbierało w powietrzu, piorunowa chmura gęstniała nad miastem, błyskawice napinały cięciwy.

Nagle jakiś bałwan, z rodzaju tych, którzy lubią wywoływać burdy, byle nie na koszt własnej skóry, wrzasnął,

- O! przyjaciel Dextera! Ten - ułomek!

Sędzia Benson skierował konia w moją stronę. Gapie ustępowali na boki, a on jechał prosto na mnie, a za nim młodzi rycerze. Pięć par oczu przygniotło mnie nieznośnym ciężarem, ale ponieważ nazwano mnie „ułomkiem“, wyprostowałem się, jak mogłem, usiłując odeprzeć ich spojżenia równie mocnym wzrokiem.

- Toś ty przyjaciel samozwańca Dextera? - zaczął sędzia. Zauważyłem, że miejscowi potentaci lubili „tykać“ ludzi bez wyboru.

Tego mi było za wiele. Sędzia, zadając mi tak bezczelne pytanie, chciał mnie ośmieszyć. Ktoś zachichotał.

- Jestem przyjacielem Dextera - odparłem dotknięty do żywego postawą tłumy, dodałem: - Wszyscy tu jesteśmy po jego stronie. Proszę pytać. Zobaczymy, kto się go zaprze? Sędzia nie dał się zbić z tropu

- I ja boleję nad losem tego chłopca, ale on już nie żyje od dziesięciu lat. Pytam się ciebie otwarcie, jak śmiesz popierać oszusta, ty - obcy przybysz?

Nie znalazłem odpowiedzi. Robiło mi się nieswojo,

- Od jak dawna znasz nicponia, który podszywa się pod miano Dexterów?

- Od wczoraj.

Sędzia uśmiechnął się ze wzgardą.

- Tak i myślałem.

- Czasami prawda sama za sobą świadczy - wykrztusiłem.

- Co? Jak?

Pchnął na mnie konia, jakby chciał mnie stratować. Gapie cofnęli się trwożenie. Ale człowiek tak nędzny i słaby, jak ja, przywyka niejako do brutalności silnych.

- Prawda bywa niekiedy oczywista, Sam sędzia powie, gdy zobaczy księcia Charlie,

Nie wiem, co mi nasunęło na język to określenie. Sędzia poczerwieniał z gniewu,

- Wielkie nieba! - zagrział. - Łatwowierni głupcy są przyczyną połowy nieszczęść na świecie. Jeżeli ten bezczelny samozwaniec odważy mi się pokazać...

Spojrzałem ku werandzie. Zaiste w porę mój książę wyszedł na scenę. Pokazałem ręką.

- Ludzie samowolnie ślepi nigdy nie przejrzą, sędzio - rzekłem. Sędzia Benson odwrócił się szybko. Między nim i werandą utworzyła się pusta przestrzeń Wyprostował się w siodle. Czterej młodzi junacy również. Jeden, uśmiechał się pogardliwie.

- Synku! - pomyślałem. - Będziesz ty się inaczej uśmiechał, jak go poznasz.

Jednakże w porównaniu z pięciu herosami na koniach Dexter wyglądał dość marnie - drobno, mizernie, chorowicie. Stał, wsparty lekko o słup werandy z zapalonym papierosem w lewej ręce. Zaczesane gładko czarne włosy pozwalały widzieć wypukłości czaszki, które prawdopodobnie zachwyciłyby frenologów. ale nadawały czasami głowie niekształtne zarysy. Ubiór był jak zwykle fircykowaty: granatowy garnitur, czarne kamasze, fantazyjny kołnierzyk i krawat w białe kropeczki., Tak się nie ubierają synowie dzikich gór.

Wśród ciszy sędzia lustrował pretendenta do Doliny.

- Więc ty jesteś prawdziwy Charles Dexter - wyrzucił z pogardą.

- Ja jestem.

- Słyszę. Ale nie trzeba wielkiej bystrości, żeby poznać, że...

- Dostyc - uciał książę.

Nie podniósł głosu. A jednak sędzia umilkł, jak skarcone dziecko.

- Na razie nie będziemy sobie uragać - dorzucił Dexter i uśmiechnął się kątem ust.

- Młody człowieku, czy wiesz, jak prawo karze tych, którzy kradną nazwiska?

- Drogi sędzio, może tobie dogodniej pytać z konia. Ja mogę odpowiedzieć z ziemi.

- Dosyć tego! - wykrzyknął jeden z młodych Livingstonów. - Kto nam każe ujadać się z tym oszustem, wuju?

Z prawej i z lewej strony młodzi junacy zajechali sędziego.

Dexter tylko się wyprostował, tylko wparł się stopami w ziemię. Po tłumie poszedł szmer. Ja sam myślałem, że zaczną gwizdać kule. Księżę Charlie powiedział spokojnie i wyraźnie:

- Sędzio Benson, proszę pohamować tych młodych ludzi!

Sędzia posłuchał. Gdyby się zawahał, Monte Verde ujrzałoby pewnie wielkie dziwy. Wypadki miały się rozwijać stopniowo. Dexter powoli dał się poznać miastu, dolinie i okolicy...

- Slade, Harry, Joe, Ben! - krzyknął Benson. - Na tyły, na tyły! Bez awantur!

Rycerscy młodzieńcy ściągnęli konie. Byli czerwoni z gniewu i mamrotali buntowniczo.

- Czterej i na koniach! - rzekł Dexter z nikłym uśmiechem, od którego mrowie przechodziło człowieka. - Czterej na jednego! Chłopy jak dęby! Na żywą wagę warci dobry grosz!

Zapanowała chwila okropnej ciszy. Ktoś parsknął niepowstrzymanym chichotem. Buchnął ogólny śmiech, prawie histeryczny.

Młodzi junacy, rozjuszeni tą wesołością, obrócili się do wuja o hasło. Jednak sędzia, choć sam wściekły, powstrzymał ich gestem.

- Ty jesteś Slade - rzekł Dexter do jednego z nich. - Pamiętasz jak ci podbiłem oko nad sadzawką, kiedyśmy pływali? Noś to sobie w pamięci, a chcesz mnie znów zobaczyć, weź z sobą nie czterech towarzyszy, ale czternastu!

Może to była zbyt dziecinna przechwałka, lecz ton słów, lekki i zdawkowy, zrobił swoje. Wzmianka z przeszłości zaważyła na sądach obecnych ludzi. Myślę, że od tej chwili Monte Verde uwierzyło w Dextera bez zastrzeżeń.

Sędzia pinił się. Przyjechał pograć „samozwańca“, a tymczasem sam się ośmieszył.

Siląc się na dobroduszość, rzekł:

- Radzę ci, chłopcze, wynieś się w inne strony i poprzestań na drobnych szwindlach. Tu ci będzie za gorąco.

- Drogi sędzio, w wasze ślady nie pójdę. Ja bym nie zamordował dziedzica, żeby nie płacić czynszu.

Benson wrzasnął coś niezrozumiałego. Gniew dławiał go za gardziel. Młodzi Livingstonowie spoglądali na niego z gwałtownym zniecierpliwieniem.

- Ty bezczelny szczeniaku! - wściekał się sędzia. - Żaden Dexter by się do ciebie nie przyznał!

Książę Charlie zszedł spokojnie z werandy i stanął przed jeźdźcami, ustawionymi w rząd. Trzymając ręce, splecione na karku, patrzył po kolei w ich twarze.

- A przecież widzicie, że mam rodowe cechy Dexterów. Zawsze poluję w pojedynkę i nigdy nie uciekam przed kundlami!

XII. POSZLAKI

Tu sędzia Benson ledwie zdążył pohamować Livingstonów, którzy rozsierzeni zachowaniem się Dextera, już sięgali do pistoletów. Nie przypuszczam, żeby potrafili zastrzelić księcia, ale gdyby się tak stało, to tłum, rosnący z każdą chwilą, byłby ich rozniósł na sztuki. Pewność siebie pretendenta do Doliny i jego nieporównanie zimna krew świadczyły za nim poważnie. W ciżbie rozległy się groźne pomruki. Sędzia zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Przypuszczalnie spodziewali się pognębić chłopca przewagą liczebną i swoim autorytetem. Teraz szanse się odwróciły.

- Jakiegokolwiek głupstwa chodzą ci po głowie, możesz przecież wystąpić ze swymi roszczeniami do sądu. Tam znajdziesz sprawiedliwość.

- Na przykład u was, sędzio? - uśmiechnął się Charlie.

W tłumie pomrukiwano przychylnie. Rzecz była oczywista, zręcznie wysunięta.

- Sędziemu wiadomo, że człowiek, który by mi wystawił najlepsze świadectwo, umarł dziś w nocy z ręki mordercy, który mi skradł dowody.

- Dalej, dalej! Jakież to były dowody?

- Przedmioty, które miałem w kieszeni, uchodząc z domu. Sędzia potoczył po tłumie triumfalnym wzrokiem.

- Jakież dowody mogło mieć z sobą dziecko, obudzone w nocy hukiem wystrzałów?

Książę Charlie nic sobie nie robił z pobłażliwej wyższości Bensona.

- Miałem w kieszeniach kurtki ulubione drobiazgi, od małych chłopców. Nowy portfel, z którym się nie rozstawałem, a w portfelu papiery - wtedy bez znaczenia - obecnie bardzo ważne. Na przykład, fotografię moją i matki, podpisaną moją ręką.

- Kto dowiedzie, że to nie była skradziona fotografia? - rzekł sędzia. - Nic łatwiejszego, jak skraść fotografię.

- O, proszę bardzo. Po pierwsze rzeczoznawca poznałby, że moje dziecinne pismo przerodziło się w mój dzisiejszy charakter pisma, a po drugie tej fotografii nie można było łatwo zdobyć, bo matka nigdy się nie fotografowała. Ta była zrobiona przypadkiem. Oprócz tego miałem w kieszeniach inne przedmioty, na przykład: klucz od piwnicy i kluczyk od siatkowego ogrodzenia, gdzie trzymałem króliki.

- Fotografia, kluczyk od siatki... - Sędzia uśmiechał się wzgardliwie. - Rozstrzygające dowody, rzeczywiście! Ale jakiegokolwiek one są, ty tylko mówisz, że miałeś te rzeczy w posiadaniu. Nikt ich poza tym nie widział.

- Nie, bo wasz złodziej i morderca, zabiwszy Ansona, zabrał mu moje dowody.

- Mój złodziej i morderca? - wrzasnął sędzia. - Jak śmiesz...

Ze wzburzenia zabrakło mu tchu, ale zaraz ryknął:

- Czy Anson nie miał na czole znaku Scorpio? Czy to nie dowód, że Meksykanin go sprzątnął?

- Możliwe - rzekł książę Charlie. - Figlarz ten Scorpio. Dziesięć lat się ukrywał, żeby w końcu wychynąć z dziury i zabić człowieka bez powodu! Bo cóż by on zyskał na moim wydziedziczeniu? Co by mu z tego przyszło? Nic. Za to dla was, którzy od dziesięciu lat nie płacicie czynszów dzierżawnych z zagrabionej ziemi, moja zguba liczyłaby się na miliony. Nieskoro wam oddać domy i gospodarstwa, pobudowane na złupionych akrach. Spłata zaległych sum zrujnowałaby wszystkich Dinmontów, Crowellów, Bensonów i Livingstonów. A hańba publiczna to nic? Zabójstwo biednego Ansona i kradzież moich dowodów miały was zabezpieczyć od tych nieszczęść. Sędzio szanowny, o ile dla was ta śmierć była pożądana, o tyle dla Scorpio zgubna. Tyle lat ukrywał się bezpiecznie i oto skusiło go, żeby zabić Ansona, zabrać bezwartościowe dla siebie dowody i w końcu obwieścić swoją winę znakiem na czole ofiary!

Tłum słuchał tego oskarżenia w zaciekłym, groźnym napięciu. Livingstonowie pobledli. Ich sprawa wyglądała nieciekawie. Oskarżycielski palec wskazywał na potentatów z Doliny jako na prawdopodobnych morderców czy też inicjatorów zabójstwa.

Sędzia odpowiedział:

- To co skusiło go przed dziesięciu laty - znaczyć czoła swoich ofiar?

- O, wtedy mordował z nienawiści i miał powód do nienawiści. Zresztą nie przypuszczał, że ktoś pozna ten znak, jako związany z jego nazwiskiem. Nie, nie! Jeżeliby Scorpio ściągnął tu z własnej woli, to po to, żeby zabić nowego Dextera. Jeżeli zjawił się w ceiu zabicia Ansona i zabrania moich dowodów, to musiał być zapłacony. I to tak hojnie, że zgodził się nawet podpisać pod swoim dziełem!

Sprawa została postawiona przeraźliwie jasno. Ludzie w tłumie spoglądali jedni na drugich. Livingstonowie patrzyli na wuja Bensaona. Jeżeli Dolina Dexterska winna była zamachu, to ci młodzieńcy nic o tym nie wiedzieli. Oczywiście mieli czyste.

Sędzia wziął wywody Dextera do serca. Gdyby samozwaniec wrzeszczał, rzucał się, bladł i czerwieniał, gdyby głos odmawiał mu posłuszeństwa, można by go zlekceważyć, ale jego rzeczowy spokój nadawał słowom podwójną wagę.

- Potwarz! - wybuchnął Benson. - Tania gadanina! Powinieneś wiedzieć, młody człowieku, że aby oskarżać - nawet tłum - trzeba mieć dowody i to mocne dowody!

- Mam dowód! - oznajmił ksiązę. Serce się we mnie szarpnęło.

- Masz dowód? - ryknął sędzia i twarz jego stała się szara, jak popiół. Wszyscy to musieli zauważyć. Widziałem, jak jeden z gapiów pokazał go drugiemu.

- Mam dowód - powtórzył Charlie. - Szedłem z szeryfem powrotnym tropem mordercy Ansona. Siady wiodły w Dolinę Dexterską.

- Aaaa,! - poszło po tłumie, jak poszum wiatru.

- Dolina Dexterska długa i szeroka! - krzyknął sędzia.

- O tak. Pomieści wszystkich wrogów mojej rodziny - palnął ksiązę Charlie.

- W końcu straciłeś trop?

- Tak, po jakimś czasie straciliśmy trop.

- DUBY SMALONE! Szlak gubi się, powiadasz, i to ma być dowód?

- Jest. sędzio!

- Mów jaśniej!

- A mam pokazać wszystkie karty? Nedorzeczne żądanie, ale, co tam, powiem! Być może - aksamitny głos księcia podniósł się o jeden ton - być może, nie wszyscy w Dolinie są łotrami. Ciężko byłoby mi posądzić tych czterech junaków o mordercze knowania. Nie chciałbym wierzyć, że wy, sędzio, moglibyście osłaniać zbrodniarzy...

W sędziego jakby piorun strzelił. Poczerwieniał, zaczął ciężko dyszeć... Najwidoczniej został ugodzony w niespodziewane miejsce.

- Ale nie wszyscy są w porządku. Przede wszystkim oskarżam Stevena Dinmonta!

- Podłe kłamstwo! - wrzasnął sędzia, który nigdy nie umiał panować nad głosem. - Znam Stevena Dinmonta. Znam i szanuję jak brata.

- Bardzo wierzę. Cóż, kiedy trop mordercy zginął z oczu mnie i szeryfowi obok korralów Stevena Dinmonta.

- Ja go nie oskarżam - ozwał się spokojny, przeciągły głos. Szeryf Tom Winchell stał wśród ciżby... Tym razem spojrzałem na niego z szacunkiem. Zacząłem rozumieć, że jeżeli czynił wrażenie nienormalnego, to wpływało z jego geniuszu.

- A! Winchell! - krzyknął sędzia. - Więc szeryf z nim nie trzyma?

- Nie - odparł szeryf. - Nie trzymam z nim.

- To dobrze! - krzyknął radośnie sędzia. - To dobrze!

Winchell cedził dalej:

- Ja z nikim nie trzymam. Ja bronię prawa. Ja jestem zawsze po stronie przeciwnej mordom i kradzieżom.

- Ale co to są za bajdy o fotografii, kluczach i tak dalej? - wykrzykiwał sędzia. - I o tym tropie, znikającym w obejściu Stevena Dinmonta...

- Właśnie tam się trop urwał. A oto, co znalazłem w wygasłym ognisku obok szlaku!

Z tymi słowy szeryf wydobył z kieszeni i pokazał nam na dłoni szerniałe resztki dwóch nadtopionych kluczy.

XIII. PROCH DO PROCHU

Rzecz wydawała się nie do wiary. Dexter mówił o dwóch kluczach i szeryf znalazł dwa klucze. Jakież stąd wypływał wniosek? Arcyprosty.

Po prostu Dolina dowiedziała się o dowodach, znajdujących się w posiadaniu Dextera i wysłała człowieka z poleceniem dokonania mordu i kradzieży, albo samego Scorpię, albo kogoś innego, kto zgodził się, dla zatarcia tropu, użyć jego symbolu.

Tłum pomrukiwał głucho, groźnie.

Sędzia stracił pewność siebie. Popatrzył po twarzach, jakby badał niebezpieczeństwo, wreszcie rzekł:

- Drogi chłopcze, jeżeli masz do Doliny jakieś pretensje, to czemu ich otwarcie przed nami nie wytoczysz?

- Czy to ma znaczyć, że mam iść w Dolinę i rozmawiać z pełnomocnikami?

- Właśnie - powiedział sędzia - bo wtedy...

Urwał i twarz mu się zacięła w twarde kanty.

- Zaręczę ci osobiście bezpieczny powrót.

- Nie wierz mu, książę Charlie! - ktoś zawołał z wybuchem. - Nie bądź głupcem! Zamordują cię!

- To oszczerstwo! - rzekł z mocą sędzia. - Nic ci się między nami nie stanie. Będziesz jak w rodzinie. Ja cię osłonę. Namyśl się, czego żądasz. Staw się jutro wieczorem we Dworze

Dexterów. Wiesz, ja tam teraz mieszkam. Będziesz moim gościem. W naszych stronach prawo gościnności - święte prawo, mój chłopcze. Omówimy sprawę po przyjacielsku. Nie jesteśmy rabusie. Chcemy tylko sprawiedliwości.

Przemowa ta, wygłoszona grzmiącym głosem, zrobiła dobre wrażenie. Powziąłem nadzieję, że może się to wszystko ułożyć pokojowo.

Księżę Charlie patrzył chwilę na sędziego, po czym zwrócił wzrok na czterech młodych półbogów.

- Myślę, że wam pięciu mogę zaufać.

I to zrobiło dobre wrażenie, bo przecież mało brakowało, żeby nie doszło do krwawej burdy.

Sędzia, otrzymawszy tę przychylną odpowiedź, nie czekał dłużej.

- Do widzenia! Trzymaj się tymczasem! Niech prawda, jakakolwiek ona jest, dotrze do wszystkich uszu!

Było to poważne ustępstwo - to przyznanie się do wątpliwości. Chociaż sędzia we własnym przekonaniu stanął w pięknym świetle, oklasków nie otrzymał.

Piękna kawalkada już odjeżdżała, gdy ktoś w tłumie zaśmiał się głośno, drwiąco. Ben Livingston zawrócił. Był rozszarty, gotów na wszystko. Urodziwa jego twarz cała drgała.

- Kto się śmiał? Który kundel rechotał?

Odpowiedziało milczenie. Ben patrzył po twarzach ze wzgardliwym uśmiechem. Ja nie zniosłem jego rozognionych oczu. Byłem zdumiony, że nikt się nie odezwał. A przecież była to paczka tęgich drabów.

Młody junak, nasyciwszy się swoim triumfem, zawrócił i odjechał powoli za towarzyszymi, jakby się spodziewał jeszcze zaczepki. Tłum dał spokój.

Kiedy jeźdźcy zniknęli za krawędzią pochyłości, schodzącej w dolinę, tłum rozbił się na grupy, z ożywieniem omawiające wypadki dnia. Było jasną rzeczą, że Monte Verde opowiadało się za księciem Charlie'm.

. Ja... hm! Ja byłem z natury skłonny do sceptycyzmu. Ludzie słabego zdrowia są ludźmi małej wiary. Nadto nie mogłem się dotąd pogodzić z fantastyką tej sprawy.

Poszedłem do zajazdu, wziąłem kąpiel, przebrałem się i położyłem. Upłynęło pół godziny. Zacząłem drzemać, gdy zapukano do drzwi i - wszedł księżę Charlie.

Zapytał, czy pójdę na pogrzeb Ansona. Zgodziłem się. Ziewając, przyglądziłem włosy i włożyłem kapelusz.

Nagle spostrzegłem, że mój Charlie nie spuszcza ze mnie poważnych oczu.

- Pan nie jest silny, panie Dean?

- Do Herkulesa mi daleko.

- Rok w tych górach uczyni z pana innego człowieka.

Zeszliśmy na dół. Co chwila czułem na sobie jego badawcze spojrzenie.

- Szeryf jest bardzo inteligentny - zauważyłem.

- Tak - potwierdził krótko, a ja myślałem, że nie będzie mógł się go nachwalić.

Na ulicy czekał karawan, zwykły wóz z ruchomym szczytem.

Zamknięta trumna obłożona starannie polnymi, już wędnącymi kwiatami, stała w pokoju od frontu. Żałosny to był widok. Prosta skrzynia, kryjąca ziemskie szczątki biednego Ansona, poruszyła mnie głęboko. W ciągu ostatnich trzech lat ten ostatni ludzki sprzęt ciągle był bliski moim myślom.

Czekała mnie znów niespodzianka. Charlie poprosił, bym się podjął roli karawaniarza. Śledztwo się odbyło. Zapadł werdykt o „sprawcach nieznanych“. Mnie czołowego świadka nie wezwano! Widać w Monte Verde wszystko załatwia się po gospodarsku. Inni słyszeli, co mówiłem, więc się beze mnie obeszło.

- Ależ ja go nie znałem - rzekłem w odpowiedzi Dexterowi na jego prośbę.

- On pana też nie znał, ale spotkaliście się przecież. Nie mam tu żadnych przyjaciół. Prócz pana.

Ujął mnie za serce.

Szeryf miał także nieść trumnę. Prócz Dextera było jeszcze dwóch ludzi, których nigdy nie widziałem. Przenieśliśmy śmiertelną skrzynię na wóz, a potem szliśmy za karawanem przez miasto w kłębach kurzawy. Na cmentarzu znów trzeba było wziąć smutny ciężar na ramiona.

Grób już był gotowy. Grabarz stał obok, wsparty na łopacie. Spodziewał się dopłaty za zasypanie grobu. Za nami ściągnęło całe Monte Verde, gęsta cizba, w której nie brakowało kobiet i dzieci. W miasteczku, jak się później dowiedziałem, nie została żywa dusza, z wyjątkiem obłożnie chorego starowiny, który przeszedł właśnie zapalenie płuc.

Tłum przepychał się z chrzęstem przez krzaki, czyniąc dużo hałasu. Wszyscy chcieli widzieć żałobny obrzęd. Ot! Jakby czuli, że zanoszą się na coś niezwykłego. Ja sam to czułem. Wydawało mi się, że wiatr wieje inaczej niż zwykle, że chmury na niebie przybierają nigdy niewidziane kształty.

Wszystko odbywało się po porządku. Spuściliśmy trumnę do dołu i pastor odczytał modlitwy.

Najpierw wygłosił krótką, rzeczową przemowę. Zaczynał być człowiekiem ten pastor. Pamiętam jego twarz smutną, otwartą i stare ubranie, silnie wyświechtane na łokciach i kolanach. Widziało się, że, wspomagając potrzebujących, sam przymierał głodem.

Oto jego żałobna mowa, o ile ją sobie przypominam:

- Żal mi, że tak niewiele wiem o nieboszczyku. Wiadomo, iż przed dziesięciu laty mieszkał w Dexterskiej Dolinie i podczas rzezi przyjaciół, uratował jedyną latorośl rodu Dexterów, uwożąc ją w dalekie strony i wychowując.

Nie wątpię, że obecny tutaj Charles Dexter odzyska w końcu wszystko, co mu się sprawiedliwie należy. Biedny Anson zyskałby hojną nagrodę, zostałby bogatym człowiekiem. Należała mu się nagroda za wierność, za długą służbę! Ale odjęto mu ją, niby kubek od ust spragnionemu wędrowcowi.

Nic to, są inne nagrody. Nikt nie służy za darmo. Bóg, który czuwa nad nami, widzi dobre uczynki i pamięta je. My także, chociażśmy go nie znali, nie wyrzucimy go z pamięci. Może za jego przykładem zapagniemy świadczyć bliźnim dobroć i miłosierdzie. Wczoraj Philip Anson nie był mi znany nawet ze słyszenia. Dziś świeci mi, jak światło przewodnie. Oby i wam świecił. Nie zapominajmy, że żaden dobry uczynek, a nawet szczerą intencją nie idzie na marne!

Tu urwał. Trumna była już w dole. Kiedy odczytał przepisane modlitwy, Dexter wystąpił, wziął sypkiej ziemi z grobu, podniósł rękę ku niebu i z chłodną twarzą rzekł miękkim równym głosem, w którym nie drgało najlżejsze wzruszenie:

- Przyjacielu miły, jeżeli, miast ścigać twego zabójcę, oddam się innym sprawom, niech będę potępiony na wieki wieków!

Nagle wśród ciszy przeraźliwie zakrzyczał głos kobiety:

- Nie, nie! Charlie, nie przysięgaj...

Odwrociłem się, zdumiony, i zobaczyłem uroczą Klaudię, bladą jak kreda, z otwartymi ustami.

XIV. ZAPROSZENIE

Kobiety są pobuddiwsze od mężczyzn, skłonniejsze do krzyku. Jednakże Klaudia nie była, jak inne dziewczęta. Spokojne jej obejście i spojrzenie miały coś z męskiego opanowania. Chodziła swobodnym krokiem, jak mężczyzna. Mówiła, jak mężczyzna, to znaczy dorzecznie, nie zniżając się do paplaniny i plotkowania. Jeździła konno, strzelała, umiała się obchodzić z siekierą i ciskała kamieniami jak chłopak. Słowem, dzieliła z mężczyznami ich upodobania, jednocześnie nie tracąc nic ze swej uroczej kobiecości. Toteż zachowanie się jej na cmentarzu zrobiło na wszystkich niesłychane wrażenie. Patrzyliśmy na nią w milczeniu, póki nie nadbiegła jej matka, urodziwa, hoża niewiasta, i nie zabrała jej do domu.

Dziewczyna siła z ociąganiem. W bramie cmentarnej jeszcze się odwróciła i spojrzała na nas. Nigdy nie zapomnę jej twarzy. Była strasznie blada i oczy jej gorzały.

Dexter który zawsze zachowywał zimną krew, cokolwiek się działo, tym razem zdenerwował się. W pierwszej chwili rzucił się ku niej, ale zreflektował się i stanął. Spotkawszy się z moim wzrokiem, popatrzył na mnie dziwnie pytająco, jakbym mógł coś wiedzieć. Ja, świeży przybysz w tych stronach!

Dlaczego tak krzyknęła? Dlaczego uroczysta przysięga zemsty na Scorpiu tak ją przeraziła?

Było to pytanie poważne. Nie dziwiłem się, że Dexter wziął je do serca. Ale dziwiłem się, że długo potem był pod wrażeniem. Większość gapiów rozeszła się przed całkowitym zasypaniem grobu. Ja zostałem wśród cmentarnej, zielonej głuszy, pełen zadumy i domysłów. Gdy wracałem do Monte Verde, dogonił mnie Dexter. Był milczący, ale co chwila czułem na sobie jego wzrok. Najwidoczniej miał coś na sercu, czy na końcu języka.

Nie zdziwiłem się więc, gdy w zajeździe poprosił mnie o chwilę rozmowy. Zgodziłem się z wielką chęcią. Niech nikt się nie dziwi, że to mi pochlebiało. Księżę Charlie był ode mnie młodszy, niczego pewnie jeszcze w życiu nie dokonał, podczas gdy ja, choć skromny człowiek, miałem już pewne zasługi. Mimo to zajęcie się jego moją osobą, przypadkowo mu narzuconą przez los, radowało mnie niepomniernie. Więcej, niż wszystko, czego dotąd doznałem w życiu. Chłopak podbił całe Monte Verde. Może to ogólne uznanie podnosiło go w moich oczach.

Przyszedł do mego pokoju. Przez okna lało się popołudniowe, ciepłe słońce. Siedząc wygodnie, rozkoszowaliśmy się odpoczynkiem, pogodą i papierosami. Dopiero wypaliwszy swojego, mój Charlie rzekł cichym, aksamitnym głosem (często wspominam o jego głosie, bo był zaiste niezwykle i zawsze robił na mnie wrażenie):

- Panie Dean, powiem panu coś dziwnego.

Skinąłem głową. Możliwe, że zamrugałem. Byłem przygotowany na wstrząs.

- Słucham - uśmiechnąłem się.

- Widział mnie pan w nadzwyczajnych sytuacjach. Od początku był mi pan ogromną pomocą.

- Jeśli chodzi o głos na sądzie - odparłem, skłonny lekceważyć swoje wyczyny - to postąpiłem po prostu zgodnie z przekonaniem, zgodnie z poczuciem sprawiedliwości...

- Z tym ostatecznie mniejsza. Nie uważam, że trzeba dziękować człowiekowi za postęпки, zgodne z jego sumieniem. Nie, ja chcę panu podziękować za co innego. Tutaj, na końcu świata...

Urwał, pokazując ręką na wyniosły szczyt Naparstka. Słusznie powiedział. Ten zwał gór wyglądał, jak krawędzie świata, za którymi otwiera się otchłań.

- Rzeczywiście - potwierdziłem.

- Otóż, w takiej dziczy człowiek dziwnie wraca do natury. We mnie się to dzieje.

Patrzył na mnie z powagą, jakby pytał, czy go rozumiem i czy się z nim zgadzam. Ja też nie spuszczałem z niego oczu. Przypominałem sobie, co już o nim wiedziałem.

- Wiem - rzekłem nagle. - Wiem nawet, w jakiej chwili pierwotny instynkt o mało w panu nie przeważył nad siłą woli.

Charlie wyciągnął szyję. W twarzy jego nic nie drgnęło. Głos również pozostał niezmienny.

- W jakiej chwili, panie Dean?

- Rano, schodząc z werandy i idąc ku tym pięciu jeźdźcom, miałeś pan właściwie inny zamiar.

- Jaki?

Zawahałem się. Rzecz wydawała się głupia, ale jakoś słowa wyrwały mi się z gardła same.

- Kusilo pana sypnąć w nich kulami.

Ledwie to powiedziałem, zrobiło mi się podwójnie głupio. Charlie wstał bez słowa i podszedł do okna. Raptem odwrócił się do mnie i zapytał:

- Skąd przypuszczenie, że noszę rewolwer?

- No, wczoraj wyzwalałeś pan Burgessa na rewolwery i zresztą człowiek nie może walczyć kłami, jak tygrys - dokończyłem ze śmiechem.

On się nie śmiał. Postąpił cicho kilka kroków i stanął na środku pokoju, patrząc na mnie.

- Skąd to porównanie?

Szukałem w myśli innego porównania i nie znajdując, zostałem przy pierwszym wrażeniu.

- Ach, stąd, że od pierwszego wejrzenia wydałeś mi się niebezpieczny, młody człowieku. Zresztą inni myślą to samo.

Książkę Charlie potrząsnął głową.

- Pan słyszał opowieści o Dexterach!

- Nie. Z pana ust dowiedziałem się o istnieniu Dexterów. Burgess nie uląkł się dawnej ich sławy.

Charlie myślał chwilę, wreszcie skinął głową.

- Może nie! Nie; może nie! Milczałem, a on mówił dalej:

- Przyznam się, że miałem pokusę rzucić się na Livingstonów i Bersona, pomimo ich przewagi liczebnej. Ale właśnie w tej chwili oczy moje padły przypadkowo na pańską twarz, bladą i spokojną i - ochłonałem. Przypomniałem sobie, że człowiek jest, czy powinien być cywilizowanym zwierzęciem. Wdzięczny panu jestem. Gdyby nie pan, nie wiem, co by się stało.

- Dziękuję za wspaniały komplement. Machnął ręką. Nie bawił się w grzeczności.

- Tyle mi pan pomógł, tak dalece wniknął pan w moją tajemnicę, krew Ansona spłynęła na pańskie ręce, krótko mówiąc, mam chęć zażądać od pana jeszcze większej przysługi.

- Zrobię, co będę mógł - rzekłem szczerze.

- Chciałbym, żeby pan udał się w poselstwie ode mnie do moich wrogów.

Struchlałem.

- Ja do nich w poselstwie?

Na samą tę myśl uderzyły na mnie siódme poty.

- Ja bym prawie na pewno wpadł w zasadzkę.

- Nie, nie! - zaprzeczyłem. - Sędzia Benson nie dopuściłby się zdrady. Livingstonow też bym nie posądził.

- Ja również, ale są inni, których by oni nie powstrzymali. Nie, nie zawierzyłbym tym ludziom. Nieznany sprawca palnąłby przez okno...

Musiałem mu przyznać słusność. To nie była przesada.

- W Monte Verde nie brak śmiazków, którzy panu sprzyjają panie Dexter. Oni by się lepiej nadawali na posłów.

- Oni by nie pojechali. Mnie by się zgodzili towarzyszyć, ale sami by nie ryzykowali. Gdybym zaś wziął eskortę, to z miejsca doszłoby do krwawej rozprawy!

Nowy ton dźwięczał w głosie księcia. Jakby dzwon odzywał się w oddali - potężny, spizowy, złowieszczy dzwon. Ciarki mnie przeszły.

Chciał niby to uniknąć rozlewu krwi, a mówił tak, jakby jej łaknął. Czulem to. Ach, czulem, czulem.

- Miły młodzieńcze - rzekłem szczerze - nie jestem bohaterem. Nie aspiruję do męstwa. Sama myśl o takim poselstwie

- Pan by był bezpieczny. Pana by nie ruszyli. Pana śmierci nie mogliby zwalić na nikogo. Za krótko pan tu bawi. Pan nie ma wrogów. Pan będzie najzupełniej bezpieczny. Chwilę poczekał i dodał półgłosem:

- Po drugie, znasz się pan na ludziach i potrafiłbyś przejrzeć z grubsza zamysły moich wrogów.

- Jakie warunki miałbym im postawić?

- Najpierw się pan zdecyduj. Jutro rano pogadamy. Zechcesz podjąć się tej misji, to powiem warunki.

XV. BŁYSK REWOLWERÓW

Położyłem się spać zaraz po wieczerzy. Pomimo, że byłem ciężko znużony wypadkami ostatniej doby, najpierw zabezpieczyłem przezornie moją kwaterę. Drzwi zamknąłem na klucz i zaryglowałem, okno północne zatrzasałem, a pod zachodnim położyłem na podłodze dwa krzesła, na wszelki wypadek. Gdyby ktoś chciał wejść, narobiłby hałasu.

Leżąc już w łóżku, nie gasiłem światła dłuższą chwilę. Miałem wątpliwości, czy nie lepiej zostawić drzwi i okna otwarte, żeby sobie, w razie czego, ułatwić ucieczkę... W końcu jednak wziąłem na odwagę, powiedziałem sobie, że mi nic nie grozi - nic! nic! nic! - i zamknąłem powieki. Długo nie mogłem usnąć. Rozum mówił swoje, a instynkt swoje. Czułem, że wplątałem się w bardzo niebezpieczną sprawę.

Obudziłem się, o dziwo, bardzo późno. Słońce stało już wysoko, Przez okno od zachodu zawiewał rześki wiatr. Wyskoczyłem z łóżka gwizdząc, pobiegłem do okna i wyjrzałem na rozległą, zieloną dolinę. Nagle uświadomiłem sobie, że pierwszy raz od sześciu miesięcy spałem calutką noc nieprzerwanym snem. Głowa nie ciążyła mi ani trochę, nerwy, że się tak wyrażę, spały. Serce biło równo. Byłem głodny jak wilk i pełen ochoty do życia.

Spojrzałem w zakurzone lustro. Czy to moje oczy, taki błyszczące? Czy to moja twarz? Wyglądałem już na człowieka sześćdziesięcioletniego. Odmłodziłem o dobre dziesięć lat.

- Książę Charlie - rzekłem do siebie - ty mi wrócisz, zdrowie! I raptem postanowiłem, że podejmę się niebezpiecznego poselstwa do przywłaszczycieli Doliny.

Nim się ogoliłem i Wykąpałem, głód targał mnie za trzewia. Przy śniadaniu dałem koncert. Klaudia dotrzymywała mi uprzejmie towarzystwa. Od niej dowiedziałem się, że Dexter wstał o świcie i poszedł na przedmieście kupić parę koni.

Patrząc mi szczerze w twarz swymi pięknymi oczyma, zapytała niespodziewanie:

- Panie Dean, proszę powiedzieć, co pan sobie o mnie pomyślał wczoraj na cmentarzu?

- Nic - odparłem. - Nie wiedziałem, co myśleć. Powiem otwarcie, że osłupiałem.

- Inni też - rzekła, czerwieniąc się. - Ośmieszyłam się, prawda?

- Nie uważam. W moich oczach nie. W oczach innych także nie.

Kobiety są wrażliwa, a przysięga Dextera mogła człowieka przerazić. Klaudia kiwnęła głową.

- Wie pan jak jest? On jest ostatnim Dexterem. On, tak czy tak, długo nie zabawi na świecie.

- Dlaczego?

- Czy pan nie czyta w jego twarzy? Ten wyraz zaciętej siły, ta powstrzymywana gwałtowność - to są oznaki niedługiego życia. Zresztą sam jego zamiar...

Wyciągnęła rękę ku oknu, wychodzącemu na zachód.

- Tamci ludzie! On pójdzie między nich i - zginie! O! zginie niechybnie!

- Nie rozumiem tego - rzekłem z irytacją. - Jeżeli to są naprawdę ziemie Dexterów, to któż je może zagrabic? A jeżeli wymarli, to ich majątki winny przejść na państwo.

Klaudia kiwała głową.

- Tu nie Wschód, tu prawo nie rządzi. Dziesięć lat temu było jeszcze gorzej, ale i dziś bezpieczniejsi ci, co mają siłę. Tacy Crowellowie, Bensonowie, Livingstonowie nie popuszczą tego, co raz pochwycili prawem kaduka. Dexterowie wyginęli, oni już dziesięć lat ulepszają ziemię, którą przedtem dzierżawili, a teraz uważają za swoją. I oto zjawia się biedny młodzieniec, bez wielkich dowodów, z pretensjami do dziedzictwa Dexterów. Cóż on wskóra? Już dybią na jego życie, a jeszcze jak przysiągł ścigać mordercę, który, jak wiemy, zbiegł w dolinę, to co? To wprost, jakby sobie uwiązał kamień u szyi i zaklinał się, że skoczy w wodę. Co pan na to?

Ze zmarszczonymi brwiami czekała na mą odpowiedź. Nie mogłem zaprzeczyć, miała słuszność.

- Tak - rzekłem wbrew swym pragnieniom - niemal od pierwszego z nim spotkania poczułem, że to przegrana sprawa.

- Właśnie. Przegrana sprawa! On ma na twarzy wypisaną zgubę. Hola, Jerry! Co tam na ranczo?

Do jadalni wchodził zamaszty parobek. Klaudia wstała, żeby z nim pomówić. Była swobodna po męsku, nie tracąc nic ze swojej kobiecej godności i koniecznej wyniosłości.

W chwilę później zrobiła się awantura. W ulicy zatrzeszczały wystrzały rewolwerowe, ludzie zaczęli krzyczeć i ktoś wrzasnął przeraźliwie.

Wypadliśmy na werandę.

Ludzie pędzili co sił ku domowi w głębi ulicy. Pobiegłem za innymi. Jękliwe wrzaski dochodziły z tego domku. W izbie na podłodze wił się i skręcał jakiś człowiek i krzyczał.

Dexter klęczał obok niego. Trzymając go, za ramiona, mówił:

- Kto cię przysłał? Tylko to mi powiedz. Kto cię wynajął? Powiedz mi, a dam ci spokój - zaopiekujemy się tobą!

Człowiek na podłodze, ogromny drab z proporcjonalną głową, twarz miał wąską i drobną, podobną do łasicy, szczęki buldoga, usta dziecka, oczy malutkie, błyszczące, jak u zwierzęcia.

Był ciężko ranny, ciskał się i jęczał, ale Dexterowi nie chciał odpowiedzieć. W końcu wrzasnął na niego:

- Nie powiem! Idź do wszystkich diabłów! Nie powiem. Ludzie dacie mi zdechnąć z upływu krwi? Pozwolicie mu zadrzeć mnie na śmierć?

Dexter wstał, odstąpił pod ścianę i otrzepując ręce z kurzu, nie spuszczał oczu z twarzy rannego. Wszedł Keenan i zajął się opatrunkiem.

Ja tymczasem znalazłem naocznego świadka krwawego zajścia.

Okazało się, że gdy Dexter jechał ulicą na świeżo zakupionym koniu, wiodąc za sobą drugiego, z tego domku, należącego do rannego, nazwiskiem Marsin, posypały się kule i wierzchowiec pod Dexterem padł. Księżę na szczęście zdążył uniknąć przygniecenia i zza trupa konia otworzył ogień na domek. Jedna z pierwszych kul ugodziła Marsina. Na krzyki jego Dexter porwał się i przez ulicę pobiegł do domku. Wspólnicy zamachowca już uciekali tylnym wyjściem. Konie mieli uwiązane w zaroślach. Po śladach poznano, że było ich trzech, a właściwie, że trzech uciekło.

Szalona odwaga i rozjuszenie Dextera zmroziły we mnie krew. Bo, żeby szarżować bez żadnej osłony na dom pełen rewolwerowców!

Oni musieli go chyba wziąć za upiora, skoro, nie czekając, uciekli w popłochu. Marsin myślał, że wybiła jego ostatnia godzina.

Je iak nie od tej kuli była mu sądzona śmierć.

Rana była okropna: pocisk strzaskał kilka żeber w prawym boku. Tyje tyJkp, że odłamki kości nie wbiły się w płuca. Marsin był w śmiertelnej trwodze. Nawet niewprawny Keenan potrafił orzec, że życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Rwanego położono na jego własnym łóżku i dwaj sąsiedzi ofiarowali się go doglądać.

Słyszałem, jak jeden z nich powiedział:

- Będę się nim opiekował, póki nie będzie mógł dosiąść konia. A wtedy hajda z miasta! Jeżeli się uprze zostać, zostanie, ale na cmentarzu.

- Na cmentarzu psów się nie chowa - dodał drugi. - Ale co będzie z tamtymi trzema? Puścimy hyclów bezkarnie?

Za tamtymi już gonił patrol ochotniczyj złożony z kilkunastu koni. Keenan, opatrzywszy rannego, wyszedł przed dom i powiedział, że całe Monte Verde, od ludzi do psów, powinno uwierzyć, że Charles Dexter jest prawdziwym księciem Charlie. Odpowiedziały ogłuszające wiwaty, które mi jeszcze dzwonią w uszach

Keenan nakazywał walczyć za Dextera i wiernie przy nim trwać, grożąc Dolinie w razie ponownego nań zamachu ciężkim odwetem.

Wróciłem do zajazdu mocno zamyślony. Szeryf zapowiadał, że wkrótce zabłyszczą rewolwery.

No. i zaczęło się.

XVI. W DOLINĘ!

Podstępny zamach na Dextera był jak wystrzał z fortu, sygnalizujący wszczęcie kroków wojennych. Od tego dnia mieszkańcy gór uwierzyli w prawość jego pretensji. Oczywiście Dolina opowiedziała się zdecydowanie przeciwko niemu. Nikt nie mógł przewidzieć jak się potoczy ta wojna, ale zarówno nad Doliną, jak nad Monte Verde zawisły purpurowe chmury mordu. Kto spojrział na księcia, zgadywał, że zamachowcom nie ujdzie ich czyn na sucho.

Zobaczyłem się z nim dopiero około południa, bo poszedł spokojnie do handlarza na przedmieściu i kupił nowego konia na miejsce zabitego. Wróciwszy, zapytał o mnie. Odpoczywałem w swoim pokoju, dumając nad jego sprawami.

Wpadł i z miejsca przystąpił do rzeczy.

- Chciałem namówić sześciu junaków z Monte Verde, żeby pojechali z poselstwem. Nie chcą słuchać. Dzisiejsza awantura odebrała im resztę odwagi. Nie chcą, i skończone. Nie ganię ich. Ale nie straciłem nadziei, że pan zaryzykujesz.

Śmiać mi się chciało. Bo, żeby się spodziewać większej odwagi po biednym ochotniku, niż po barczystych śmiałkach z Monte Verde - ha! ha! ha! Chyba, że moja nędzna osoba przedstawiała mniejszy cel!

- Chłopcze - rzekłem - nigdy w życiu nie strzelałem z rewolweru!

- Oni o tym wiedzą - powiedział prędko. - To jest właśnie ważne. Gdyby zabili któregoś z górali, można by pomyśleć, że on zaczął burdę. Pana nikt nie posądzi o zaczepkę. Zabicie pana. Dean, równałoby się morderstwu, a nawet Dexterska Dolina nie poszłaby na tę hańbę. Co innego, gdyby o mnie chodziło!

Powiedział to z błyskiem w oku, ale bez gniewu, bez nienawiści. Po prostu śmiał się. Nagle spostrzegłem, że skrytobójczy zamach nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Przeciwnie, dodał mu animuszu.

- Pojadę - ofiarowałem się. - Pojadę po południu. Chyba, że mi zabraknie odwagi w ostatniej chwili. Co mam im powiedzieć?

Spodziewałem się trochę natychmiastowej wdzięczności i może pochwały. Ale doznałem zawodu, Księżę Charlie, nie tracąc czasu, wyjął od razu papier i naszkicował mi plan doliny i rozkład domów z zaznaczeniem nazwisk. Nie będę tu tego przytaczał, bo samo się później wyłoni z dalszej opowieści. Naturalnie słuchałem z wielką uwagą, dużo sobie zapisując. Na końcu powtórzyłem całą rzecz dla pewności, że się nie omyliłem. Zjedliśmy razem drugie śniadanie i mój Charlie rzekł:

- Teraz pomówimy o pańskim udziale, panie Dean.

- O moim udziale?

- Najlepiej będzie oznaczyć to procentowo.

- Doprawdy nie rozumiem - rzekłem.

- Jako mój dyplomata... Przecież pan się podejmuje zadań, których ja nie mogę wykonać, a nikt inny by się nie podjął - więc jako mój dyplomata będzie pan miał prawo do dwudziestu pięciu procent tego, co mi się uda uratować z mego dziedzictwa.

Czekał, bacznie na mnie patrząc. Zmarszczyłem brwi. Mimo swej przenikliwości przypisał mi fałszywe pobudki.

- Nie - odparłem. - Przyjechałem na Zachód dla zdrowia, nie dla interesów. Mam z czego żyć. Nie szukam wzbogacenia się. Chcę po prostu żyć.

Księżę Charlie długo mierzył mnie wzrokiem. Nie zdziwił się i nie rozgniewał, ale coś sobie rozważał.

- To jest ryzyko, o, jest! Może tutejsze powietrze okazałoby się dla pana jeszcze zdrowsze, gdybym ofiarował panu, powiedzmy, trzecią część spadku?

Musiałem się uśmiechnąć.

- Nie przyjmę ani grosza, ani żdźbła trawy, ani akra ziemi, księżę Charlie. Wierzę w pańskie prawa. Jeżeli uda mi się pomóc panu odebrać to, co się panu sprawiedliwie należy, będę zadowolony.

Jemu twarz ani drgnęła.

- Możemy sobie podać ręce? - zapytał.

- Z całego serca.

Uścisnąłem podaną sobie chłodną dłoń, która zamknęła się na mojej powoli, ale silnie. Teraz dopiero ujrzałem w jego twarzy zdziwienie, którego się trochę spodziewałem.

- Pan szczerze mówi?

- No, jakże!

- Niepojęty z pana człowiek, panie Dean. Iść między te psy... Czy pan wyższy nad pieniądze?

- Nie wyższy, ale nie przywiązuję do nich znaczenia - powiedziałem otwarcie. - Za długo żyłem oko w oko ze śmiercią.

Przesunął dłonią po twarzy.

- Pan przez dziesięć lat nie... - Urwał i dodał z innej beczki: - Nie pierwszy raz od tych dziesięciu lat doświadczam miłosierdzia. I pańskie przyjmę, jeżeli się pan nie rozmyśli.

W dziesięć minut później siedziałem na jednym jego koni, mając w torbie potrzebne przybory na wypadek gdybym musiał zanocować w dolinie, co było prawdopodobne.

Dexter stanął przy koniu i spojrzał mi w twarz.

- Panie, to jest czyn wielkiej odwagi.

- Głupstwo! - odrzuciłem, uszczęśliwiony.

- Chciałem panu poradzić, jak się do nich wziąć, ale nie ma doprawdy potrzeby. Pan sam będzie wiedział, jak postąpić. Wolę nawet zaufać pańskiemu rozsądkowi, niż swojemu.

Podał mi rękę. Ruszyłem. Ze dwudziestu gapiów asystowało mojemu odjazdowi. Mój szewski styl jeździecki zrobił pewne wrażenie, ale gdy skierowałem się ku Dolinie, zdumienie było jeszcze większe. Zapewne domyślano się, że jadę jako emisariusz księcia Charlie, i nie wróżono mi powrotu.

Ja, jak sobie teraz przypominam, byłem dobrej myśli, choć przyznam się ze wstydem, że była to odwaga słabeusza, coś w rodzaju kobiecej odwagi.

Na krawędzi pochyłości zawahałem się i o mały włos nie zawróciłem. Wstyd mnie powstrzymał. Wiedziałem, że patrzą za mną niejedne oczy. Piękna Dolina Dexterska wydała mi się w owej chwili krainą śmierci.

Miało się już z lekka ku wieczorowi. Ukośne promienie słońca malowały zielone łąny na mgliste tony. Bujne kępy drzew, wśród których kryły się farmy, wyglądały jak wyspy mroku. Rzeka straciła złote odbłaski i, muskana wiatrem, mieniła się na podobieństwo srebrnej blachy. Piękno to nie chwyciło mnie za serce, gdyż im cudniejsza była Dolina Dexterska, tym dziksze musiała budzić apetyty, tym okrutniejsze instynkty.

Jechałem falistymi łąkami i łakami. Wszędzie pasło się tłuste bydło ogromnymi stadami. Dolina miała takie położenie wśród gór, że deszcze często padały i trawa rosła bujnie, jak w Anglii, tylko była ciemniejsza. Krowy, niepodobne do bydła stepowego, garbatego i dzi-kookiego, przypominały raczej swojskie stada. Jedne pasły się z zadowoleniem, inne leżały w cieniu rozłożystych drzew, przesuając Dolina Dexterska tchnęła sielskim spokojem. Tak mi się przynajmniej wydawało. Wrażenie to spotęgowało się we mnie, gdy zjechałem nad rzekę, wzdłuż której ciągnęły się uprawne pola. Ziemia rodziła w obfitości złoto w postaci zboża, paszy i kukurydzy, w której mogłem się cały skryć.

- Och! - dumałem. - Będą oni walczyć o te ziemie. Będą walczyli prawem i bezprawiem!

Przejechałem przez solidny kamienny most. wsparty na potężnych filarach, który głucho dudnił pode mną. Kilku chłopców łowiło blisko ryby. Podnieśli głowy, odprowadzali mnie oczami.

Byłem już dość daleko, gdy usłyszałem przeraźliwy głos:

- Dexter go wysłał!

Dreszcze mnie przeszły, zimne dreszcze nagiego strachu! Jechałem jednak dalej, ciągle jeszcze odważny swą słabością. Jakoś nie mogłem pójść po rozum do głowy, czyli zawrócić rwać z kopyta do Monte Verde.

Obejrzałem się tylko raz. Wyniosłe góry bodły wieczorne niebo, Monte Verde mrugało na mnie szybami swych okien, niby senny Argus. Później bałem się oglądać z obawy przed własnym tchórzostwem i pokusą. Po drugiej stronie mostu spotkałem rozklekotaną furę siana.

Na moje wołanie woźnica wstrzymał okrzykiem konie i uważnie mnie obejrzał. Był to człowiek w wieku, o herkulesowej piersi i zdumiewająco błękitnych oczach,

- Nie wiecie, gdzie mieszka sędzia? - zapytałem.

Herkules, zanim odpowiedział, jeszcze raz zmierzył mnie od stóp do głów. W końcu pokazał kierunek potężnym ramieniem

- Druga farma na prawo. Łatwo poznać po krętym zajeździe. Pojechałem dalej. Zmuszałem rumaka do galopu. mimo że droga zaczynała iść pod górę. Lękałem się, że jeżeli będę jechał wolno, to stracę zapał, konieczny do skutecznego czekającej mnie misji.

Znalazłem wskazaną farmę. Żwir leciał spod kopyt mego wierzchowca. gdy pędził krętym podjazdem.

Przede mną wmosił się Dwór Dexterów.

Zsiadłem.

Dzika przygoda już szła na mnie z mroku i ciszy.

XVII. BRAK PORTRETU

Dwór był niewielki, dość długi. Nad środkową częścią wznosiło się pięterko z poddaszem. Ściany, zbudowane z bali różnej grubości, raziły dorywczością roboty. Widywałem lepsze budowle w tym barakowym stylu. Najwidoczniej ścinano drzewa byle jakie, jedno przy drugich i byle jak układano pnie. Toteż wokół domu była spora, wykarczowana przestrzeń i nikt nie pomyślał żeby tę pustkę zamienić w ogród. Za całą ozdobę podjazdu służyły dwa długie konowiązy, przy których niecierpliwe zwierzęta skopały ziemię w góry i doły. W obecnej chwili stało ich tam cztery. Dzikie ich ślepia i kudłate grzywy wróżyły srogich gości.

Uwiązałem mego konia, pogłaskałem po chrapach i poszedłem zapukać.

- Hej! - ozwał się głos z wnętrza. - Nie możesz to wejść? Zaproszenie było oryginalne. Wszedłem. W dużej, na pół pustej izbie siedział ogromny parobek z jakimiś rzemieniami - jak gdyby uzdą - w ręku i coś tam majstrował. Spojrzał na mnie gniewnie, ale poznałem, że ten zły humor odnosił się nie tyle do mnie, ile do tej roboty. Rękawy miał zakasane powyżej łokci, które ukazywały kowalskie ramiona. Zwichrzona czupryna opadała mu na czoło i nieomal na oczy. Był ubrany w spłowiały, połatany, granatowy kombinezon i wyglądał na prostaka.

- Jak się macie, podróżny! Zabłądziliście?

- Jeśli to dom sędziego Bensona, to nie - odparłem.

- Jego dom. Spocznijcie; Ojca nie ma. Chcecie się z nim zobaczyć?

- Tak, ale mogę poczekać. Mówiąc to, usiadłem.

- Hej tam, Mike! - wrzasnął młody gospodarz. W progu stanął Chińczyk.

- Daj no co jeść i kubek kawy. A może wolelibyście łyknąć żytniówki, panie podróżny?

Odpowiedziałem zupełnie szczerze, że nie jestem głodny. Wnętrze tej prostej izby, bezpośrednio gospodarza zmieniły plany, które sobie układałem w drodze.

- Nic nie chce - rzekł młodzieniec. Chińczyk znikł.

- Jestem Pete Benson - przedstawił się gospodarz. - Wy jak się zowiecie?

- Oliver Dean.

- Oliver Dean - Oliver Dean?

Podniósł głowę, marszcząc w namyśle mięsiste czoło. - Czy to nie Oliver Dean pomaga temu łajdakowi w Monte Verde, co to podał się za Dextera?

Młody Benson był zaiste szczerzy. Szczerzy, jak sama natura! Wydałem się sobie samemu skończonym osłem ze swoją dyplomacją i ze swoimi argumentami. Gdzież tu było bawić się w dyplomację z takim prostactwem? Szczerość wymagała szczerości.

- Ja nim jestem, ale uważam, że mój Dexter nie kłamie. On jest prawdziwym Dexterem.

Spodziewałem się, że młody Benson skoczy na nogi, jak oparzony i zwymyśla mnie od ostatnich, ale on tylko upuścił z hałasem swoje rzemienie i mruknął:

- Diabła tam, prawdziwy!

Oczy jego zeszyły z mej twarzy i zatrzymały się w pasie. Patrzył, czy nie mam rewolweru!

- O, kraino silnej ręki! - pomyślałem.

- Uważacie, że to prawdziwy Dexter, hm! - dodał parobas, przy czym kiwał ciężko głową, jakby dziwił się mojej głupocie. - Hej! mamó!

- Co tam, synku? - odpowiedział kobiecy głos i do izby weszła niewiasta w perkalikowej sukni z zakasanyimi, rękawami. Ręce miała niemal tak muskularne jak syn, włosy porządnie upięte, chód męski, zamaszysty.

- Świnie wlażyły w szkodę, w zboże. Rozwaliły płot - rzekła, - Idź, synku, przepędź je! Tego hultaja Bannera nie sposób się dowołać

- Mamy gościa, mamó - rzekł Pete, nie wstając, tylko pokazując na mnie głową. - To ten Oliver Dean, co popiera fałszywego Dextera.

- Też dopiero! - powiedziała niewiasta, ale podeszła i podała mi rękę. Była ogromna, o półtorej głowy wyższa ode mnie, tęga i pewna siebie.

- Uważacie go za prawdziwego Dextera? - zapytała.

- Tak - odparłem grzecznie, lecz bardzo stanowczym głosem. - Nie wątpię, że to prawy Dexter.

- Za kusy- rzekła. - Dextery były chłopcy ogromne, na schwał. Ale, proszę, siadajcie, rozgośćcie się. Pewnie chcecie zobaczyć się z mężem?

- Właśnie.

W tej chwili wkroczył do izby sędzia. Widok mój zdumiał go.

- W poselstwie od chłopca? - zapytał.

- Tak.

- Z warunkami?

- Tak.

- Dobrze, to poproszę sąsiadów. Pete, rusz się z miejsca. Pojedziesz po Marvinie Crowella. Po drodze powiesz Clayowi Livingstonowi, że chcę go zobaczyć. Poślij też kogoś do Steva Dinmonta, żeby się tu stawił piorunem.

Chłopak wyszedł ze swoimi rzemieniami, mówiąc coś tam, że gniada klacz porozrywała uzdę.

- Czemu, głupi, wiążesz za cugle? - zrzędził sędzia. - Jakbym nie mówił. Chłop jak góra, a rozumu nie ma za grosz!

Pete przyjął nazbyt szczerą naganę rodziciela w milczeniu. Gdy zniknął za drzwiami, sędzia usiadł i zaczął ze mną gawędzić.

O Dexterze już mówił. Rozwodził się aad żniwami, cenami, budową dróg, przypuszczalnym pokupem bydła na jesieni... Rad byłem, bo mogłem mu się lepiej przyjrzeć i zastanowić nad położeniem.

Tymczasem zmierzch zapadł. Sędzia zdecydował, że muszę zostać na noc, kazał wziąć pod dach mego konia i osobiście zaniósł moją torbę do przeznaczonej mi izby. Wspomniał że wieczerza będzie w mig gotowa i że sąsiadów tylko patrzeć.

Umyłem się w lodowatej wodzie i, nie zapalając lampy, usiadłem w oknie, zwróconym na wschód, ku Monte Verde. Na górach grały jeszcze nstatkt światła dziennego. Dolina tonęła w mroku.

Blaski zachodu szybko gasły. Oświetlone okna miasteczka coraz jaśniej wyblyskiwały z ciemności...

Zawołano na wieczerzę. Zasiadliśmy do stołu w pięciu. Gospodyni wieczerzała z dziećmi w innym pokoju, skąd dochodził ogłuszający harmider. Dla nas nakryto w starej jadalni.

Przede wszystkim przyjrzałem się gościom. Marvinie Crowella już znałem, ale wydał mi się jakiś bardziej zwiędły i zasuszony, niż za pierwszym razem. Clay Livingston, chudy, kwaśny, mrukowaty typ, w niczym nie przypominał swoich dorodnych synów. Steven Dinmont

wydawał się, w porównaniu z kompanami, człowiekiem innej rasy. Tego mizernego wzrostu co ja, lecz dwa razy grubszy, barczysty, zażywny, nosił na okrągłej, brunatno-czerwonej twarzy wieczny uśmiech.

Zachodnią modą posiłek odbywał się prawie w milczeniu. Jadło było takie, jak zwykle na ranczach: dobre pieczywo, mięso cienko krojone i wysmażone na amen, fura osmażanych kartofli, pomidory z puszek z cukrem i chlebem, a na deser ogromna szarlotka z jabłek na zimno. Wszystko to zakropione obficie bardzo mocną kawą.

W pewnej chwili sędzia, dosypując do swej kawy trzecią czy czwartą łyżeczkę cukru, pokazał na obrazy na ścianie,

- To są prawdziwi Dexterowie. Czy nasz samozwaniec podobny do nich?

Przypatrzyłem się bacznie podobiznom, których było pięć czy sześć. Były to powiększenia z fotografii, niegdyś bardzo rozpowszechnione, szczególnie na Zachodzie. Z ram patrzył wymarły ród: bez wyjątku chłopcy jak dęby, smagłe, urodziwe. Niewiasty wysokie i dumne.

- Śniade twarze - zauważyłem. - Mój Charlie ma akurat taką cerę. Włosy tak samo czarne j oczy. Co się tyczy rysów...

Nie dokończyłem, a sędzia rzekł:

- Włosy i oczy - głupstwo! Proszę zwrócić uwagę na ich wzrost i budowę. Nie ma porównania z drapichrustem z Monte Verde! Nie wytrzymałem.

- Cóż stąd, że on mały, kiedy odważny. Dziś rano nie dał się czterem nasłanym mordercom!

- Nasłanym mordercom? Kto ich nasłał? - prędko zapytał sędzia.

- A, o tym dużo się mówi! Ci nasłali, co chcieliby się go pozbyć. Jasna rzecz!

Nim sędzia zdążył mi odpowiedzieć, zauważyłem na ścianie dziwną rzecz.

- Sędzio - pokazałem ręką - między tymi dwoma portretami widać ciemny prostokąt, jak od obrazu świeżo zdjętego. Czy brak którejś z podobizn Dexterów?

XVIII. WARUNKI

Benson błysnął na mnie okiem, ale odpowiedział bez namysłu:

- To była fotografia Toma Dextera nad upolowanym łosiem. Nie mogłem już na nią patrzeć, na głupawy uśmiech Toma... No, sąsiedzi, najedliście się? Jeżeli tak, to pogadamy. Najlepiej się gada przy stole.

Zgodziłem się z nim. Rozmowa zaczęła się natychmiast z niemiłego tonu.

Clay Livingston rzekł ochryple przez nos:

- Nie wiem, po coście nas ściągnęli, sędzio. Wy lubicie gadać. Ja nie. Gadanie nie prowadzi do niczego. Zmarnujemy dużo czasu i tyle.

- To się dopiero okaże - odparł gospodarz. - Musimy się dowiedzieć, co chłopiec z Monte Verde ma nam do powiedzenia.

- Słusznie - wtrącił wesoło Dinmont. - Słuchamy!

Palił pospiesznie cygaro, obserwując mnie zza chmury dymu.

Tymczasem we mnie coś się zmieniało, czy porządkowało. Wyobrażałem sobie siedzibę Dexterów jako wspaniałą rezydencję, owianą godnością i wdziękiem dawnych czasów. Znalazłem coś w rodzaju obszernego baraku, Dwa te obrazy wcale się z sobą nie godziły. Książę Charlie wprost nie pasował do tego domiska.

- Słuchamy - powtórzył sędzia. -Cóż on ma nam do powiedzenia?

- Przede wszystkim chce jasno postawić sprawę. Uważa, że wymordowaliście jego rodzinę...

Mówiłem w ten sposób od niechcenia, ale, jak się tego spodziewałem, zrobił się ryk.

- Nie ma dowodów! - zagrział sędzia. Podniosłem palec.

- Sędzio, Dexter widział jak Manly Crowell zastrzelił jego ojca!

- Kłamstwo! - wrzasnął mały Crowell, purpurowy z gniewu. Zwróciłem się w jego stronę. Bractwo było nieokrzesane, brutalne.

Musiałem mówić ich językiem, to znaczy prosto z mostu.

- Tak? To dlaczegoście nie wzięli go z sobą, żeby się usprawiedliwił? Musieliście przewidywać, że będzie o tym mowa.

- Manly miał ciężki dzień Nie chciało mu się jechać i tracić czasu na próżne gadanie. A po drugie sędzia go nie zaprosił.

Wyłożyłem dalej swoje poselstwo.

- Dexter uważa, że jego rodzinę spotkała straszliwa krzywda. Jeżeli zawrze pokój, to z wyłączeniem Manly'ego Crowella i Scorpia,

- Powoli, przyjacielu - przerwał sędzia. - Rozpatrzmy te punkty. Jeżeliby zawarł pokój? Kto go prosi o pokój? Co nas obchodzi nędzny oszust? Co się tyczy Manly'ego Crowella, to w razie jakadhs pertraktacji z tym samozwańcem, nie pozwolilibyśmy na żadne wyłączenia, bo to nasz człowiek. Ze Scorpim nie mamy, ani nie mieliśmy nigdy nic wspólnego. Po co jego mieszać w tę sprawę?

Sędzia, choć mało obeznany z prawem, miał zmysł adwokacki i zastawiał się zręcznie wybiegami.

- Sędzia chce pokoju, bo sam żądał postawienia warunków - rzekłem, - Dexter ma Manly'ego Crowella za mordercę i nie chce z nim w ogóle gadać. Scorpio był narzędziem w waszych rękach. Oto odpowiedź na wasze trzy punkty.

- Cholera! - warknął brzydsko Livingston. Czy warto gadać? Sędzia widzi, do czego to prowadzi?

- Do niczego! - wrzasnął Crowell. - Od razu mówiłem!

- Zaraz, zaraz! - wtrącił Steve Dinmont. - To nie wszystko. Może jednak warto pogadać. My możemy myśleć swoje, a swoją drogą ten Dexter może jest Dextereim prawdziwym, a jeżeli tak, to może on i ma jakieś prawa do Doliny. Możliwe też, że Scorpio był wynajęty przez kogoś z naszych. A już na pewno chłopiec ma prawo podejrzewać swoich wrogów, skoro czterech obwiesiów zasadziło się na niego w biały dzień w Monte Verde!

Słuchałem zdumiony. Sam lepiej bym nie powiedział. Zaświtała mi nadzieja pokojowego rozwikłania sprawy.

Sędzia, który najwidoczniej rej wodził w Dolinie Dexterskiej, gdyż wszyscy bezustannie się do niego odwoływali, rzekł:

- Dinmont, jesteś dobry chłop, ale głupio gadasz. Cóż stąd, że na Dextara był zamach? A bo to wiemy coś o jego przeszłości, o jego wrogach? Jeżeli by nawet nie był samozwańcem, a jest mim z wszelką pewnością to nie wiadomo, czy Dextarowie mieli rzeczywiste prawa do Doliny. Przecież to ich stare nadanie takie wątpliwe, że żaden sąd by go nie zatwierdził.

Musiałem się uśmiechnąć.

- Zarzucają nam mordy, oszustwa - zabrał głos Livingston. - Mam tego dosyć. Zabieram się do domu.

Odepchnął krzesło i wstał. Sędzia również wstał. - Nie ima co dłużej gadać - rzekł - Chciałem usłyszeć, co ten dzieciuch zamierza, nawet jeżeli jest oszustem. Ale to tylko będzie dla niego zachętą do dalszych wybryków.

Wszyscy czterej wstali. Ja nie ruszałem, się z miejsca. Dobrze zagrali komedię, ale we mnie jakby piorun strzelił: zrozumiałem, że się obawiają Dextera i że wszyscy, albo paru z nich wiedziało o tym zamachu. Mimo wszystko nie oszukali mnie. Należałem do różnych rad i zarządów i znałem się na podstępach, machinacjach i wybiegach głowaczy. Więc, nie ruszając się z miejsca, spokojnie im się przyglądałem.

Livingston ruszył ku drzwiom.

- Przykro mi, mój pośle, żeś się na próżno fatygował - powiedział sędzia. - Ale trudno. Nie damy dmuchać w kaszę!

Zaśmiałem się na całe gardło, umyślnie głośno. Cztery pary oczu wbiły się we mnie, jak noże.

- Kochany sędzio - mówiłem - lubię dobre żarty i lubię zręczne pogrożki. Ale dość tej komedii. Pogadajmy poważnie.

- Komedii? Jakiej znowu komedii? - Sędzia byłby dobrym aktorem. - My nie żartujemy!

- Wiem. W takim razie siadajcie, to pogadamy.

- Nie chciałem pana obrazić - rzekł sędzia zupełnie innym tonem. - Jeżeli to naprawdę coś ważnego, to owszem, posłuchamy.

Ale Livingstona moja pewność rozjątrzyła do reszty.

- Dostyc mam tego! - wrzasnął i szarpnął z łoskotem za drzwi.

- Clay! - rzekł sędzia ostro, jakby gromił dziecko. Livingston zatrzasnął drzwi, mamrocząc gniewnie i zwrócił się w naszą stronę z rękami w kieszeniach, z brodą zaczepnie wysuniętą. Był niebezpiecznie zły.

- No?

- Nie zapominaj, że podejmujemy gościa - rzekł sędzia.

- Niech go jasne pioruny! - warknął wściekle.

Wziął jednak krzesło i siadł na nim z ponurą twarzą. Inni wahał się. Czekali, jak się zachowa sędzia.

- Panie Dean - zaczął on - chcielibyśmy usłyszeć więcej prócz bezpodstawnych oskarżeń. Pan jesteś człowiek wykształcony. Nie sądzę, żebyś przyjechał zawracać nam głowy bzdurami.

Inni kiwali głowami z uznaniem dla polityki przywódcy.

- Niech sędzia siada - odparłem. - Powiem krótko, jak rzeczy stają.

Sędzia usiadł. Poznałem, że odniosłem pierwsze zwycięstwo. Reszta poszła za jego przykładem. Zacząłem mówić:

- Jeżeli jesteście niewinni, nie macie się czego obawiać, a w takim razie puście moje dowody mimo uszu. Mówiąc „wy“, mam na myśli Doline, stronnictwo wrogie Dexterowi. Jeżeli nawet wy, tutaj obecni, macie czyste ręce, to nie sposób, żebyście nie wiedzieli o knowaniach innych. Jeżeli nie jesteście winni rzezi Dexterów i świeżego zamachu na życie ostatniego potomka tego rodu, to naturalnie nie dogadamy się. Ale jeżeli nie dojdziecie dziś ze mną do porozumienia, to być może, Dexter zechce wzdąć sprawę w swoje ręce.

- Jakim sposobem? - rzucił sędzia.

- Przypuśćmy - ciągnął - że mój Dexter przyjedzie spacerem w Doline, spotka jakiego Crowella, Livingstons, Bensona, czy Dinmonta. Przypuśćmy, że zechce z nim pogadać, zapytać o to i owo. O! on by wiedział o co zapytać i jak! No, i przypuśćmy, że tamten wygadałby się z tego d owego.

- Czy to znaczy - warknął Livingston - że ten intrygant mógłby wymóc na kimś kłamstwa?

- Kłamstwa? - łagodnie powtórzyłem. - Cóż znowu? Prawdę, świętą prawdę, jaką człowiek wygada mimo woli. Przypuśćmy, że ktoś tu w Dolinie ma coś do powiedzenia? Co wtedy?

- Co wtedy? Nic! Kręci - intruz! - wrzasnął Livingston.

- Chwilę! - łagodził sędziego. - Wysłuchamy go do końca!

- Dostyc słyszałem! - ryknął Livingston, wpadając w jeszcze większą wściekłość.

- Sąd by się chętnie zajął tą sprawą - powiedziałem i patrzyłem na sędziego. - Gdyby ktoś zeznał, jak Dolina zmówiła się przeciwko Dexterom, jak przekupiono Scorpia, jak się odbyła rzeź, jak potem nasłano czterech morderców na ostatniego potomka rodu - nie mówię, że tak było, to tylko przypuszczenie! - ale takie zeznanie by wystarczyło, żeby was wszystkich wyrwać z gniazd i posłać za kraty do końca waszych dni!

Wygłosiłem to z jak największym uniesieniem. Cisza zapadła śmiertelna, z której po chwili wydarła się odpowiedź sędziego:

- Nikt nie zna zagadki napaści na Dexterów przed dziesięciu laty. Jesteśmy pewni, że Scorpio ich wymordował. Jeżeli inni osadnicy z Doliny porwali za broń, to dlatego, że usłyszeli strzelaninę... Czy, że wieść poszła o jakimś wybuchu... czy..

Zaśmiałem mu się cicho w twarz.

- Wiemy, co myśli samozwaniec - dodał po pewnym wahaniu - ale cóżby on nam proponował?

- Przez dziesięć lat - rzekłem - nie płaciliście czynszów dzierżawnych. Niewątpliwie ulepszyliście farmy, powiększyli inwentarz: koni teraz więcej, bydła więcej, narzędzi; przybyło budynków, słowem Dolina się wzbogaciła. Dexterowie prawdopodobnie uczyniliby to samo, ale fakt pozostaje faktem, że właściciel przez lat dziesięć nie miał ze swych włości ani grosza dochodu. Mimo to nie żąda zaległych suim, bo to pewnie zrujnowałoby większość farmerów.

Mówiłem, a oni milczeli, zamienieni w słuch z wyteżoną uwagą.

Nie mogli, nie umieli ukryć tego, co czuli. Ciągnąłem ze wzrastającą nadzieją, że dobiję z nimi targu.

- Więc Dexter nie żąda zwrotu zaległych czynszów. Nie chce również usunąć nikogo z zajmowanego przezeń gruntu. Domaga się jedynie przyznania mu aktem rejentalnym połowy wartości każdej farmy.

Livingston wrzasnął boleśnie, jak ugodzony i huknął pięścią w stół:

- To jest wymuszenie! To jest łajdactwo! Od razu wiedziałem! Albo zwrócimy połowę naszej własności, albo przegoni nas z tej ziemi: nas i nasze dzieci!

- Tego nie powiedziałem!

- Połowę? - pytał sędzia Benson, oblewając się potem. - Połowę naszych majątności? Najpierw pomrzemy!

Wstałem.

- Pewnie chcecie omówić to między sobą? Wiecie wszystko. Bez mnie pogadacie otwarciej. To rzekłszy poszedłem do swego pokoiku.

XIX. JEST CHARLIE!

Szukając po omacku zapalek, usłyszałem nagle cichy głos:

- Spokojnie, przyjacielu. Cicho, cicho!

Trzasnęła zapałka, płomyk dotknął do okrągłego palnika lampy, w kręgu światła błysnęła twarz... mojego księcia.

Uśmiechnął się. Cofnął się w kąt, gdzie stał stolik, przysiadł na nim i uśmiechnął się do mnie pierwszym od naszego poznania wesołym uśmiechem!

Był zmieniony. Już nie miał na sobie szarej, miejskiej flaneli. Przedzierzgnął się w prawdziwego syna prerii, nawet w dandysa prerii. Włożył niebieską jedwabną koszulę z ogromnym żółtym kwiatem, wyhaftowanym na ramionach, sombrero ze złocistą, meksykańską przepaską i buty z karmazynowymi ozdobami. Jego wesoła twarz więcej mnie zdumiała, niż ten jaskrawy strój. Przerazony jego zjawieniem się w domu wrogów, upadłem bezsilnie na krzesło.

- Charlie, mój chłopcze - wyszeptałem chrapliwie - wiesz, coś uczynił? Wiesz, że roznieśliby cię na sztuki? Są na dole. Rzuciłem im bombę.

Przechylił głowę i śmiał się cicho, bezdźwięcznie, radośnie, kołysząc się w tył i wprzód.

- Pewnie, że by mnie zabili, ale czy miałem czekać w Monte Verde, żeby pana tu zamordowali?

Wyjąłem chustkę i otarłem czoło. Zacząłem dygotać, jakby mnie zimno chwyciło.

- Nie wiesz, na co się narażasz! - rzekłem.

Spowaźniał trochę, ale oczy mu się wciąż śmiały. Cieszył się jak młodzieniec na pierwszym balu.

- Głupstwo, panie! Dopiero zaczynam żyć. Pierwszy mój szczęśliwy dzień po dziesięciu latach. Jestem między nimi. Niech się teraz pilnują. Ja znam w tym domu każdą belkę, każdą szczyrzą dziurę. Jestem tu bezpieczny. Nie bój się pan o mnie!

Patrzyłem na niego osłupiały. Naprawdę wyglądał na człowieka odrodzonego.

- Zauważył pan, że w jadalni usunięto jeden portret?

- Owszem.

- Brawo! - zawołał, jakby zaskoczony moją spostrzegawczością.

- Powiedział im pan co?

- Zapytałem, co się stało z tym portretem. Sędzia powiedział, że to była fotografia któregoś Dextera nad zabitym łosiem. Znudziło mu się na nią patrzeć, więc kazał zdjąć.

- Nie dziwię mu się, nie! Znalazłem ten portret - na strychu!

Z tymi słowy rozwinął przede mną zwitek sztywnego papieru. Ujrzałem powiększoną podobiznę mężczyzny lat trzydziestu kilku ozy czterdziestu paru, z krótką, spiczastą bródką, czarnym, przystrzyżonym wąsem i nieładnymi rysami. Na przykład kości policzkowe były zbyt wystające. Podobieństwo do Charliego uderzyło mnie od pierwszego rzutu oka.

- O! - wykrzyknąłem. - Jaki podobny do ciebie!

Sam nie wiem, jak się to stało, ale zacząłem mu mówić po imieniu. Imponował mi i zarazem chwycił za serce swoją młodością.

- Właśnie. Sędzia przyjrzał mi się w Monte Verde i pocziwcowi zbrzydła fotografia z łosiem. Jest i łódź, tylko trzeba się przyjrzeć. Ożyje teraz ten łódź. Już ożył i jest pod dachem Dextarów, gotów do walki. Ten łódź to ja, panie Dean! Ha, ha, ha! - śmiał się i trzepał wesoło:

- Fuszera sędzia! Wyrzucać portret na strych? To nie wie, że szczury potrafią się dostać na strych!?

I śmiał się, śmiał do rozpuku.

- Sędzia miał kłopot, panie Dean. Na sądzie ta fotografia byłaby poważnym dowodem, że jestem prawdziwym Dexterem. Sędzia z pewnością chciał ją spalić, ale jak mógł to zrobić? Ktoś mógł zobaczyć i zapamiętać. Tak morderca głowi się, co począć z trupem ofiary. Na razie więc usunął szkodliwą rzecz z widoku i z pamięci. Później, kiedyś, planował zniszczyć tę zmore. Wiesz pan, kto to jest?

- Nie.

- Mój dziadek Delawar Dexter. Nazywali go Delawarem, bo przez długie lata przebywał na preriach z Indianami - Delawarami, którzy słynęli między, dwoma morzami, jako najlepsi przewodnicy i najlepsi myśliwi. Patrz pan, czy jestem do niego niepodobny? Przyglądałem się z ciekawością.

- Bardzo, bardzo. Od razu to zauważyłem. Ważny to dowód na twoją korzyść, ale to samo nie wystarczy. Zdarzają się nadzwyczajne podobieństwa zupełnie przypadkowe. Żaden sędzia nie dałby się przekonać na podstawie tego podobieństwa, gdyby nie było więcej dowodów.

- Są inne! A napad na mnie, a skradzione drobiazgi, a te dwa klucze, które szeryf wygrzebał z popieliska - dużo nie trzeba.

Potrząsałem głową z powątpiewaniem.

- Jeżeliby sędzia się nie dał przekonać, to sąd przysięgłych z pewnością. O, co tu gadać! A pan co o tym sądzi?

Co ja sądziłem? Ja uważałem, że fakt usunięcia podobizny z oczu ludzkich, świadczył bardzo wymownie przeciwko Bensonom - Livingstonom - Crowellom - Dinmontom...

Właśnie wyrażałem przekonanie, że sędziowie przysięgli byliby skłonni uznać to za ważki argument, gdy w drzwi mocno zastukano.

- Panie Dean? - dał się słyszeć głos sędziego.

Zmartwiałem z otwartymi ustami i oczami wlepionymi w młodzieńca. On szybko spojrzął ku oknu, po czym rzucił się na podłogę i wpełznął prozaicznie pod łóżko.

Poszedłem otworzyć drzwi.

XX. NIESPODZIANKA

Sędzia wszedł tak pochłonięty swoją sprawą, że mógł - chwyciłem się tej nadziei - nie dostrzec mego wzburzenia.

- No więc, panie pośle, obgadaliśmy tę rzecz. Uważamy, że chłopak nie stoi na mocnych nogach, ale nie chcemy ściągać sobie, na głowy sprawy sądowej i użerać się z jakimś adwokatem. To by były kosztowne rzeczy. Zresztą chłopak może podejrzewać, że myśmy nasłali na niego morderców. Chętnie się z nim ułożymy. O połowie naszych majątków nie może być mowy, ale zapewnimy mu utrzymanie. Będzie dostawał dożywotnio pięć tysięcy dolarów rocznie.

Patrzyłem mu w oczy i nie mogłem z nich wyczytać nieuczciwości.

- Sędzio - rzekłem - albo mój przyjaciel jest nędznym łotrzykiem, zasługującym na więzienie za usiłowanie kolosalnego oszustwa, albo też ma prawo do każdej piędzi ziemi w tej dolinie i, tytułem zaległego czynszu dzierżawnego za ostatnie dziesięć lat, do wszystkich zabudowań i inwentarza żywego i martwego. Osobiście wybrał kompromis. Zgodził się poprzestać na połowie tego, co mu się należy. Czy sędzia myśli, że mogę mu doradzać jeszcze większe ustępstwa?

Sędzia Benson zagryzł usta i spojrzął na mnie spod nastroszonych brwi. Muszę przyznać, że wyglądał na człowieka uczciwego, słusznie zagniewanego.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł:

- Panie Dean, nie wiem, ile panu obiecano... Podniosłem rękę, potrząsając głową.

- Sędzio, mnie idzie o poratowanie przyjaciela, nie o nabicie kieszeni. Jestem inżynierem, łatwo się dowiedzieć o moją przeszłość. Nie skalałem nazwiska żadnymi szwindlami. Nie interes mnie tu sprowadził, ale przyjaźń do skrzywdzonego człowieka.

Zamrugnął szybko i powiedział:

- Jakiegokolwiek tam są umowy między wami, ode mnie możesz mu pan powiedzieć, że najwyżej dostanie dziesięć tysięcy rocznie!

- Tytułem dożywocia, które kula rewolwerowa będzie mogła skasować każdej chwili? - rzekłem, znów pozwalając sobie na uśmiech.

Sędzia powściągnął gniew.

- Panie Dean, pan przecież masz moralne zobowiązanie względem swego klienta. To człowiek młody, i jeżeli nie przestępcą, to bądź co bądź awanturnik. Niech on nie zaczyna z Doliną, bo źle na tym wyjdzie. Dolina nie myśli żartować!

- Sędzio - uniosłem się i ja - i sędzia masz moralne zobowiązanie. Próbując zbyć mego klienta dziadowskim groszem, narażasz Dolinę na niewiadome rzeczy. Wy nie żartujecie, ale i jemu nie do żartów. To jest tygrys!

- A więc otwarte pogrożki!

- Nie otwarte pogrożki. Otwarta prawda!

- Cóż to jest ta otwarta prawda, panie Dean? Niedowiedzione pretensje chłopca?

- Ile jest warta dolina - grunty, stada, budynki?

- Musisz pan wiedzieć.

- Lasu, pastwisk i ornej ziemi jest blisko siedemdziesiąt tysięcy akrów.

Sędzia Benson podniósł brwi.

- O! łatwo się było dowiedzieć - rzekł.

- Sama ziemia warta jakieś pięćdziesiąt dolarów za akr, co czyni prawie cztery miliony dolarów.

- Może i tak.

- A oceniłem ją raczej za nisko, niż za wysoko, prawda? Las, domy, stada, inwentarz martwy i ulepszenia dadzą się obliczyć na połowę tamtej sumy, czyli ogólnie biorąc, po wszelkich potrąceniach, otrzymamy około pięciu milionów, ale faktycznie obaj wiemy, że farmerzy z Dexterskiej Doliny nie oddaliby tych posiadłości za tę sumę. Benson poczerwieniał i wrzucił ramionami.

- Proszę mówić dalej. Ciekaw jestem naszych interesów – rzekł ironicznie.

- Podaliśmy okrągłe cyfry. Ale jeżeli sędzia chce szczegółów, mogę służyć...

Sięgnąłem do kieszeni po swoje zapiski. Podniósł rękę. Wolał już nie słuchać.

- Jakież pański wniosek?

- Taki, że zamiast pięćdziesięciu procent oddajecie cztery i to w formie dożywocia.

Nie mógł zaprzeczyć.

Zaczął się przechadzać ciężkimi krokami. Przystając, powiedział:

- Chłopak powinien być rozsądny. Dziesięć tysięcy rocznie, to ładny pieniądz dla smarkacza, który, jak się zdaje, nigdy nie pracował...

- Skąd to przypuszczenie?

- Słyszałem, że dłonie ma delikatne, jak dziewczyna.

- Sędzia mu się dobrze przyjrzał.

- No, pewnie! Oszustowi i samozwańcowi, który przychodzi z zamiarem rabunku, trzeba się przyjrzeć.

- Widzę, że mój przyjaciel będzie musiał oddać sprawę do sądu. Sędzia Benson trzasnął pięścią w dłoń.

- To się sparzy! - wrzasnął. - Grosza, głupiec, nie zyska!

Patrzyłem na niego tak, że zrozumiał, że ani nie zamierzam mu przerwać, ani pieklić się tak, jak on. To go ucieszyło, a wtedy ja rzekłem:

- Nie wiadomo jakby sąd rozstrzygnął tę sprawę. Ale to pewne, że za wielką zapłatę najlepsi adwokaci podjęliby się obrony interesów Dextera przez wszelkie instancje. A zanim proces by dobiegł końca, sprawy farmerów z Dexterskiej Doliny wyszłyby na jaw przed całym światem.

Sędzia ruszył prosto na mnie. Był olbrzymi, a ja przy nim jak dziecko, ale wziąłem na odwagę i śmiało spojrzałem mu w twarz.

- Śledztwa się nie boimy. Przeciwnie, będzie nam ono na rękę.

- Wątpię - odparłem.

Zamierzył się potężnym ramieniem. Myślałem, że mnie uderzy, ale trzymał je w górze. Twarz mu drgała. Oczy płomieniały diabelską złością.

- Nie dojdziemy do porozumienia? - warknął.

- Obawiam się, niestety, że nie. Wstyd mi będzie powtórzyć Dexterowi wasze warunki. Pomyśli, że dałem się ogłupić.

Sędzia znów krążył po izbie, pomrukując:

- Awantura, paskudna awantura. Niech to diabli! Niech to wszyscy diabli! Ciężka cholera! Jeżeli chłopak przypadkiem ma w sobie krew Dexterów, to może się nas czepiać...

Znów przystanął przede mną.

- Byłem upoważniony do dziesięciu tysięcy najwyżej. Ale wiesz pan co? Pójdę jeszcze z nimi pogadać. Widziałeś ich. Uparte diabły! Nieugięte diabły! Dla nich argumenty to plewy! Słuszna racja - plewy! Oni uważają, że farmy do nich należą i nie ustąpią. Naprawdę nie ma im się co dziwić. Zgodzili się wypłacać chłopcu dziesięć tysięcy rocznie. To nie byle grosz dla młokosa! Proszę pamiętać, mój przyjacielu, że jeżeli przyjdzie do walki na kruczki prawne, czy na rewolwery, to my będziemy górą. My mamy siłę, my mamy pieniądze. Ale - niech tam! - spróbuję ich namówić, żeby ustąpili pańskiemu klientowi pięćset tysięcy, czyli całe pół miliona, panie Dean!

Na to oświadczenie, jakby mi się rozwidniło w oczach. Już nie wątpiłem o prawach Dextera. Hultaje mogli się zgodzić na dożywocie dla świętego spokoju, ze strachu przed krwawymi awanturami, ale pół miliona to już była cena nieczystego sumienia.

Odparłem spokojnie:

- Możesz sędzia iść z nimi pogadać, ale mój klient na sumę niższą od dwóch i pół miliona nie zgodzi się żadną miarą.

- Dwa i pół miliona! - ryknął ze wściekłością.

- I to nawet nie jest połowa. Sprawiedliwie obliczając, tylko trochę więcej, niż trzecia część.

- Bzdury, banialuki, brednie! - wołał Benson. - Jak Boga kocham, nigdy nie słyszałem podobnych głupstw. Dwa i pół miliona! Dobry sobie!... Dobranoc, panie Dean!

- Dobranoc!

Byłem pewny, że nie wyjdzie. I rzeczywiście... Zawrócił ode drzwi. Stłumiłem uśmiech.

- Wymuszenie i rabunek! - ryknął. - O czymś podobnym jeszcze nie słyszałem!

- Racja, sędzio! I ja nie spotkałem się z taką kombinacją. Nie słyszałem także, żeby niewinni ludzie ofiarowywali pół miliona stulgębnego.

Ledwie to powiedziałem, zrozumiałem, iż posunąłem się za daleko. Mój gospodarz zrobił się szkarłatny. Jego wielka ręka wsunęła się błyskawicznie za kubrak. Wiedziałem, że ma rewolwer... Wydało mi się, że wybiła moja ostatnia godzina. Widziałem jego błyszczące zwężone źrenice.

Wyszarpnął jednak pustą rękę i skrzyżował ramiona na piersiach jakby w ten sposób hamował niebezpieczną gwałtowność. - I jeszcze obelgi! - wrzasnął.

- Nie - fakty! Ale przepraszam za brutalne słowa, sędzio!

Uchwycił się tej grzeczności.

- Wierzę panu, panie Dean. Wierzę, że żałuje pan swojej....

Dalej nasze obiecujące układy nie poszły. Gwałtowne kichnięcie spod łóżka położyło im nagły koniec!

XXI. POŚCIG

Nić mogę zgadnąć, do czego byśmy się dogadali. Wybuchowa wściekłość sędziego obudziła we mnie podejrzenie, że te wrzaski to wstęp do kapitulacji. Ale okazało się, że idąc do mnie, był przygotowany na coś więcej, niż utarczkę słowną.

Drgnął, gdy spod łóżka rozległo się kichnięcie, ale zaraz krzyknął rozkazująco i do stancji wpadli trzej zbrojni ludzie: na czele młody Benson, za nim Dandys Bullen i mój znajomy z Monte Verde.

Chcieli się rzucić na mnie, lecz sędzia wrzasnął:

- Do łóżka! Ktoś jest pod łóżkiem!

Księżę Charlie wychynął na czworakach z ciemności pod łóżkiem i nawet się nie prostując, dał susa w Okno.

Sędzia, już z rewolwerem w rękę, podniósł lufę, klnąc pod nosem.

W ostatniej chwili podbiłem mu rękę. Kula przebiła ramę okna tuż nad głową Dextera. Rączy cień wypadł w ciemność nocy.

Okno było wysoko nad ziemią. Myślałem, że chłopak skręci kark. Światło lampy padało na zieloną gałąź drzewa, zagładającą niemal do pokoju. Dexter dał nurka w zielony gąszcz, jak w wodę. Usłyszałem szelest i trzask gałęzi... Ludzie sędziego, wychyleni z okna, strzelali na oślep w ciemność. Gałąź wróciła z rozmachem na swo a miejsce - nieobciążona!

Czy uciekł?

Z ciemności padł strzał i trzeci pachoł zatoczył się w tył, chwytając rękami za twarz. Jednocześnie sędzia, odwróciwszy się z rykiem wściekłości i zawodu, cisnął mnie brutalnym pchnięciem na ścianę.

Upadłem na kolana, ale przytomności nie straciłem i widziałem i słyszałem, co się działo.

- To Dexter! Dexter! - wrzeszczał sędzia. - Za nim, chłopcy! Zwołać innych! Na koń! Gońcie jak wszyscy diabli! Jeśli go schwytaście, jeśli go ubijecie, dostaniecie sowitą zapłatę! Musimy go dostać żywego lub umarłego.

Draby wypadły co tchu. Sędzia został, by się rozprawić ze mną.

Nie próbowałem się opierać. Po pierwsze nie miałem broni. A po drugie byłem w porównaniu z nim tak kruchy, że zmiażdżyłby mnie gołymi rękami.

Nigdy nie zapomnę jego wściekłych oczu. Na rannego nawet nie spojrzął. Postrzelony wyglądał okropnie z twarzą we krwi, nie dającą się poznać. Później dowiedziałem się, że nic mu się takiego nie stało, tylko głęboka blizna oszpeciła go na zawsze. Wybiegł chwiejnie za innymi szukać ratunku. Sędzia go nie zatrzymywał. Był zajęty moją osobą. Trzymał rewolwer w ręku i... i...

Byłem w śmiertelnej trwodze. Ale człowiek, gdy widzi, że wszystko stracone, zdobywa się na jaką taką godność i spokój.

Wstałem z kolan, przyciskając chustką ranę na policzku od jego pięści.

- Dalej! - rzekł. Chwycił mnie pełną garścią za kurtkę na plecach i pchał przed sobą.

Nie odzywałem się. On kłął pod nosem. Zeszliśmy do jadalni. Podłoga była zaśmiecona popiołem i niedopałkami papierosów, świadkami narady czterech. Musieli się pnieć. Cygaro, ciśnięte przez cały pokój, zostawiło na ścianie, pod którą upadło, czarny ślad.

Sędzia rzucił mnie na krzesło z taką siłą, że pojechałem z nim po podłodze. Milczałem.

Dla zabicia czasu poprawiałem krawat, obciągałem kurtkę, wyskubywałem nitki po dwóch oberwanych guzikach.

W trakcie tych czynności spoglądałem raz po raz spod oka na sędziego, czy się uspokaja.

Gdzież tam! Cios, który mnie powalił, był jak daleka błyskawica na widnokregu. Burza dopiero się zbierała nad mą nieszczęsną głową.

W jadalni był wielki piec, w którym w zimie palono. Sędzia stanął przy nim z przyzwyczajenia z rękami rozczapierzonymi za sobą i przestępując z nogi na nogę, nie spuszczał ze mnie oczu.

To dziwne zachowanie się kiedy indziej pobudziłoby mnie do śmiechu. W tej sytuacji jednakże nie było mi do wesołości. Spod nastroszonych brwi zacnego gospodarza patrzyła na mnie - śmierć!

Jeszcze bardzo niedawno, no, przed niewielu dniami, powitałbym straszną ukoicielkę bez wielkiej trwogi. Spodziewałem się jej przez tyle lat, że była dla mnie, jak stara znajoma. Nieraz myślałem sobie, że na niej jednej się nie zawiodę. Ale coś się we mnie przemieniło. Zakosztowałem nowego życia, odetchnąłem nowym powietrzem. Choć słaby i złamany, o, dziwo! nie zemdlałem ze strachu. Strach mnie brał. zimny strach, ale przecież nie zemdlałem.

Pamiętam ten obraz bardzo wyraźnie - dużą izbę, stare, nieefektywne fotografie na ścianie, puste miejsce po Dexterze Delawarze... wrzaski i tupot nóg w całym domu, a potem oddalający za oknami tętent pogoni.

Powoli wszystko ucichło, tylko gdzieś w dalszym pokoju płakało dziecko, to głośniejsze, to ciszsze, prawie niedosłyszalnie, jak bicie pulsu w głowie.

Sędzia milczał. Za każdym przyplywem furii zacinał mocno szczęki. Twarz jego zachodziła czarną chmurą wzmagającego się zapamiętania.

- Niech go schwytają - przemówił wreszcie - to was dwóch...

Urwał nie dlatego, żeby pożałował swoich słów, ale że wściekłość znów zdusiła go za gardło.

- Byłbym go trafił... między łopatki... krzyż bym przetrącił łotrowi, gdyby...

Znów głos uwiązał mu w gardzieli.

Otworzył usta, nabrał powietrza.

- I byłoby po wszystkim! - wrzasnął. - Ty podstępny, morderczy najmito! Tyś go wprowadził do domu, żeby się rozhulał w nocy, ty?

Potrząsnąłem głową.

Sędzia do słowa mnie nie dopuścił.

- Ani słowa! Milczeć, bo pysk zmiążdżą i łeb rozwalą!

Przypatrywałem mu się już prawie nie tyle ze strachem, ile i ciekawością. Nadmiar wściekłości przeobraził go w jakiś fenomen natury. Wydało mi się, że patrzę nie na ludzki gniew, ale na daleki wulkan w płomieniach.

- Już byłoby po wszystkim, gdyby nie ty - zdrajco - łgarzu - oszuście...

Złapał powietrza w płuca.

- Niech go sprowadzą - wyrzucił przez zęby - a postanowimy, co zrobić z nim i z tobą. Co jemu, to tobie, bezinteresowany przyjacielu, bezstronny pośle! Pfuj! O mało mnie nie nabrałeś! Ale teraz widzę, jak rzeczy stoją. Świat łatwo o tobie zapomni! Już my się o to postaramy! W mig zapomni!

- Niewątpliwie, sędzio! - odrzekłem.

Były to moje pierwsze słowa od awantury na górze i bez mała ostatnie!

Benson, nieprzytomny z furii, usłyszawszy mój dziwnie spokojny głos, porwał jedną ręką ciężkie, proste krzesło, jakby to było pióro, i wzniosł groźnie nad mą głowę.

Skurczyłem się, jak kurczę, na które leci jastrząb. Ale cios nie spadł. Krzesło frunęło przez pokój i gruchnęło z siłą o ścianę, rozlatując się z trzaskiem na kawałki.

Sędzia znów przechadzał się po pokoju, przystając przed piecem, jakby się chciał przygrzać i kiwał się śmiesznie na palcach i piętach. Jego bazylijskowe oczy zamieniły mnie w glaz.

Sekundy wydłużały się w minuty, z minut złożyła się godzina.

Benson rzekł głośno:

- Znają wszystkie drogi! Mają ręce Konie i wszyscystrzelają jak diabli! Dogonia go! Nie da im rady. Stratują psa. Przywiozą na lęku siodła, jak upolowaną zwierzynę!

Jakby na potwierdzenie tych słów usłyszałem z oddali głuchy tętent kopyt.

XXII. ZAKŁADNIK

Na odgłos zbliżających się gości zawsze serce w człowieku podskoczy. W pierwszym momencie powiedziałem sobie, że to odsiecz z Monate Verde - szeryf na czele patrolu zaufanych ludzi! Z jakim zachwytem powitałbym teraz jego głupekowatą twarz!

Sędzia nasłuchiwał z pochyloną głową, z jadowitym uśmiechem na ustach, w oczekiwaniu na straszliwy triumf. Indianin tak by wyglądał powrotu wojennego zagonu i sądu nad jeńcami.

Naraz twarz mu się zmieniła. Podrzucił głowę. Zatoczył oczami. -

- Na wszystkie... - urwał. - A jeżeli...

Zrozumiałem i serce się we mnie zatłukło radośnie. A jeżeli Charlie nie dał się schwytać? Jeżeli uciekł? Co w takim razie ze mną zrobią? Jako jeden z dwóch jeńców byłbym pionkiem. Jako jedyny jeńiec...

Duch we mnie wstąpił. Wyprostowałem się odruchowo.

Co ochłodziło sędziego, a we mnie obudziło nadzieję, to powolne tempo nadjeżdżających. Zwycięzcy na Zachodzie wracają na wzór dzikich Indian z wrzaskiem i tętentem, paląc na wiwat z pistoletów. Tu było inaczej. Słyszeliśmy tylko bardzo powolne dudnienie kopyt, podobne do dalekiej ulewy.

Sędzia spojrzał na mnie, a ja tknięty neodpartą, prawdziwie diabelską pokusą, ściągnąłem usta w lekkim uśmiechu.

Myślałem, że oszaleje. Dobiegł do mnie potężnymi krokami i podsunął mi pod nos pięść niemal tak wielką, jak moja głowa.

- Ciebie bądź co bądź mamy w ręku - zasyczał z okrutną jakąś rozkoszą.

Mnie znów chwyciła urągliwa pokusa.

- Sędzia nigdy nie będzie zupełnym głupcem, ale niezupełnym potrafi być!

Mówiąc to, przykładałem chustkę do skaleczonego, nabrzmiałego policzka i patrzyłem mu prosto w oczy, straszne, wściekłe oczy. Dziw, że mnie nie zdusił, czy nie zabił jednym uderzeniem pięści.

Czyż naprawdę byłem w niebezpieczeństwie? Czyż nie rozumiałem instynktownie, że ucieczka Dextera oddalała ode mnie zgubę.

Słuchałem cichego ruchu konnych przed domem bez drżenia. Sześciu mężczyzn weszło do izby, wśród nich Dandys Bullen. Twarz jego ponura, jak noc na dworze, zajaśniała mi łuną dobrej nowiny. Drabisko rzuciło sędziemu-prowodyrowi złe spojrzenie - bez słowa. Zresztą

żaden się nie odezwał. Poprosili o alkohol i Chińczyk, który zjawił się tajemniczo na zawołanie i znikł, powiewając warkoczem w drzwiach kuchni, przyniósł im żytniówki.

Clay Livingston usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Inni stali.

- No? - zapytał w końcu sędzia. - Wróciliście z podwiniętymi ogonami, psy! Ha! psy nie puściłyby jednego lisa!

Clay Livingston zwrócił ku niemu paskudnie wykrzywioną twarz.

- Porwał mego chłopca, Slade'a!

- Co? co?! - wrzasnął sędzia.

- Powiedz mu tam który - rzekł Livingston i znów schował twarz w dłoniach.

Litość mnie zdjęła i zarazem zdumienie. Obława chybiła. Rączę nogi i przebiegłość mogły ocalić Dextera, ale żeby ten chłopiec, uciekając pieszo, zdołał wziąć jeńca, i to takiego Slade'a Livingstone, atletycznego olbrzyma - kto by w coś podobnego uwierzył?!

- Zastrzelił Slade'a? O, to go dosięgniemy! - zakrzyczał sędzia niemal z triumfem. - Będzie wisiał! Przepadł! Teraz szeryf będzie go musiał wytropić. Załatwimy się z nim. Clay, współczuję ci, bracie, z głębi serca!

- Do diabła z twoim sercem! Gdyby nie ty, bylibyśmy się z nim ułożyli, nim do tego doszło!

Zważywszy na to, że Livingston odegrał na naradzie rolę głównego malkontenta, uwaga jego była mocno nielogiczna. Ale sędzia nie myślał podejmować wyzwania.

- Czyście oniemieli! Powiecie wreszcie, jak się to stało?

- Slade żyje - objaśnił Bullen - ale jest w rękach Dextera!

- Niesłychane rzeczy! - zauważył drugi.

- żyje, ale jest w rękach Dextera - jęknął Benson. - To przepadło! Czy on potrafi utrzymać język za zębami? Czy się nie wygada?

- Skąd ja mogę wiedzieć? I po cóż miałbym się o to trapić? - zapytał Livingston z dzikim spojrzeniem w moją stronę.

Sędzia, zrozumiawszy je, zwrócił się ku mnie z ostrą pogroźką. Livingston zagrzmiał znowu:

- Benson, ty z nim - jak z cackiem! Słyszysz? Pieść się z nim jak z bratem, bo inaczej - porachuję się z tobą! Słyszysz?

Sytuacja była jasna. Od mego losu zależał los pięknego, młodego Slade'a Livingstonea.

Pozwoliłem sobie wobec tego na uśmiech, którym poczęstowałem sędziego. Wściekła twarz jego załśniła kroplami potu.

- Gadajcie! - ryknął. - Co się stało? Czy was sparaliżowało? Nie mogliście gonić, głupcy? Nie mogliście strzelać?

- Gnaliśmy co koń wyskoczy - ponuro mruknął Bullen. - Ale on - potrafi zniknąć jak widmo. Diabeł nie człowiek. Goniliśmy go. Widzieliśmy go. Skoczył w las na rancho Dinmonta, a my za nim...

- Wszyscy, na oślep między drzewa? - pytał sędzia.

- Cóż znowu? Livingston wydawał rozkazy, a on nie żaden głupiec. Kilku nas posłał ścieżką, a innych cwałem przez pola na zachodni skraj lasu. On, Slade i jeszcze dwaj jechali za Dexterem.

Urwał i trząśnął głową. Mnie rozniosło nieprzytomne zdumienie. Nie pojmowałem jak książkę Charlie zdołał ująć przed tak mądrą obławą.

- Jechałem od lewej strony, między wodą i lasem - ciągnął Bullen, podczas gdy inni patrzyli tępo w ziemię lub popijali żytniówkę.

- Słyszałem jak konie Livingstonów i dwóch innych darły się z chrzęstem przez gąszcz. Potem wszystko ucichło, gdy raptem Chip Hooker, galopujący na prawo ode mnie, zawrócił konia i z okropnym krzykiem pokazał przed siebie. Wykręciłem się w siodle. W oddali migali dwaj jeźdźcy. Poznałem Slade'owego srokacza po białej pędze na boku. Strzemień w strzemień z nim sadził drugi jeździec. Mijali występ Dinmontowych lasów i gnali prosto do brodu. Ja i Hooker zobaczyliśmy ich już prawie nad wodą. Nie wierzyłem własnym oczom. Kto by uwierzył? Musiał zawrócić w lesie, zaczekać na Slade'a. chwycić go po ciemku i zawrócić ku rzece... Clay Livingston i dwaj pozostali nie zobaczyli nic z powodu gęstwiny i nie usłyszeli nic, bo tętent ich własnych koni zagłuszał inne odgłosy. Jak taki Dexter, sam nieduży i szczupłej budowy, mógł pochwycić Slade'a....

- Bez uwag! - wrzasnął sędzia. - A wy co wtedy? Ogony pod siebie i z powrotem? Nie goniliście za nimi przez bród?

- My ku wodzie, a tu z krzaków na drugim brzegu strzał i prosto w mój kapelusz!

Zdjął sombrero i pokazał w główce okrągłą dziurę od kuli.

- Czy sędzia by się wystawiał na cel? - zapytał dobitnie.

- Mogliście się przeprawić innym brodem - wrzeszczał Benson

- Zostawiliście w jego rękach zakładnika, a to...

- Przypuśćmy, że część by została przy tym brodzie, a reszta pojechała do drugiego, to on by tymczasem zginął w zaroślach i wiatr by go gonił. Jakbyśmy sprawdzili, czy został, czy odjechał? Chyba, że któryś z nas wchodziłby mu pod strzał. Trafił w mój kapelusz, przez rzekę, przy słabym księżycu. Książkę Charlie wstał na wojenną ścieżkę i zwykł strzelać w głowę!

- Książkę Charlie! Też go honorujesz! - warknął sędzia.

- Jeżeli nie książkę, to skąd taka celność? - naiwnie zapytał Bullen.

Inni zdawali się być tego samego zdania. Clay Livingston wstał.

- Benson, Dean to ratunek dla mego syna. Dean i może coś więcej. Ufam, że nie zepsujesz. Inaczej gorzko pożałujesz! Odwrócił się i wyszedł z izby wielkimi krokami.

XXIII. UCIECZKA

Wzięcie zakładnika przez Dextera bardzo mnie ucieszyło i uspokoiło. Po wyjściu Livingstona pozostali naradzali się nad wyjściem z sytuacji. Sędzia się martwił, że Slade wygada się przed Dexterem z niepotrzebnych rzeczy, ale potem już o tym nie wspominał z obawy przede mną.

Wciągano mnie do rozmowy, lecz niewiele mnie ona teraz obchodziła. Byłem bardzo znużony i nie musiałem się lękać o życie, usiadłem wygodnie w krześle i szybko usnąłem.

Obudziłem się po jakimś czasie, skostniały i ścierpnięty, z bólem w karku od kiwania się. Wiatr się podnosił, stare okiennice trzaskały z różnych stron. Właśnie ten trzask i wichura musiały mnie obudzić.

Ziewnąłem parę razy, roztarłem sobie kark i rozejrzałem się wokół. Wszyscy się wynieśli. Został tylko Bullen i jakiś drugi, którego nazwiska nie znałem. Obaj patrzyli na mnie nieprzyjaźnie i uporczywie. Bullen trzymał na kolanach króciwą, jego towarzysz oparł swą strzelbę o krzesło. Najwidoczniej pilnowali mnie. Gdyby nie to, że zachodziło niebezpieczeństwo powrotu Dextera, tak silna warta byłaby śmieszna, bo na mnie wystarczyłoby aż nadto jeden strażnik.

- Przykrzy się - zauważyłem.

Bullen podrzucił ramionami.

- Macie, panie fantazję. Nie zapominajcie, że to dopiero początek! Nie wiadomo jeszcze, czy tu nie zostawicie skalpu!

Był w obrzydliwym humorze, albo z powodu tej warty, albo z niechęci do mnie, którą powziął od samego początku. Mogłem sobie pozwolić na obojętność.

Siedziałem wygodnie i powoli usnąłem. Tym razem spałem długo. Obudziłem się z hukiem piorunów w uszach. Jedna okiennica otwarła się i trzaskała wściekle o ścianę.

Bullen zaklął.

- Billy, idź, zamknij! Billy wstał, przeciągając się.

- Chyba wiatr się odwrócił. Tak jak wiał nie mógł otworzyć okiennicy.

Poszedł do okna z rękami w kieszeniach. Stąpał jak kogut; głowa, osadzona na długiej szyi, kiwała się w przód i w tył. Nie miał, chłopak, wdzięku lecz jego dobroduszne oczy podobały mi się dużo bardziej od posepności Bullena.

- Dmie, jak cholera! - Billy wychylił się lekko za okno w ciemność.

- Zamknij okno i przestań gadać - zniecierpliwiał się Bullen. Spojrzałem na Billa, spodziewając się, że gniewnie odpowie. A on tylko odskoczył o pół kroku od okna z rękami do góry. Nawet od tyłu postawa jego uderzała trwogą i zdumieniem. Rzuciłem okiem w zaokienną ciemność. W mroku migotała słabo lufa, wycelowana w jego serce!

Porwałem się z krzesła. Bullen ziewał z dłonią przy ustach. A więc nie zauważył niczego.

Szedłem ku oknu, zastanawiając się, jak prędko Bullen spostrzeże, że coś się stało. Od razu się domyśliłem, że za oknem stoi książę Charlie. Jednym spojrzeniem zmierzyłem wszystkie trudności. Okno było niskie i szerokie. Taki żbik jak Charlie, potrafiłby skoczyć przez nie, jak cyrkowy pies przez obręcz. Ja musiałbym się gramolić przez parapet, mając na tyłach Bullena z króciwą.

Billy, może na cichy rozkaz z dworu, opuścił ręce i schował głęboko w kieszeni. To było tylko podejrzenie, że tak długo marudził u okna.

- Dokąd to, Dean? - zapytał Bullen. - Billy, niezguło chcesz wyleźć przez okno?

I Dandys zarechotał.

Billy nie zawtórował towarzyszowi. Tylko ramiona mu drgnęły, stał nieruchomo, jak skamieniały.

Podszedłem do okna. W mroku majaczyła sylwetka Dextera. Lufa, skierowana w serce Billa, migotała chłodnymi błyskami stali.

- Billy! - fuknął Dandys. - Uważaj na Deana. Co tam tak długo robisz bałwanie?

Podrażniony niesubordynacją Billa, zerwał się z krzesła. Skorzystałem z tego momentu, żeby rzucić się w okno.

Nie wiem naprawdę, jak się przez nie wydostałem. Pamiętam tylko, że cały ścierpiałem i że ciemność na dworze była dla mnie jak port zbawienia. Byłem w połowie przeprawy, to znaczy nogami w izbie, a do pasa na dworze, gdy Dexter z siłą niezmierną pochwycił mnie w pół i pociągnął ku sobie. Jednocześnie Billy z narażeniem życia odskoczył w bok, krzycząc:

- Dexter! Książę Charlie!

Bullen zawył nieczłowieckim głosem i ładunek śrutu zaświszczał nad moją głową w chwili gdy padałem na ręce i kolana.

Zerwałem się z dzikim pośpiechem i bieглиśmy w ciemność. Między drzewami majaczyły konie. Szarpnąłem za kantar, który puścił razem z gałązką, do której był uwiązany, i skoczyłem w siodło, jak urodzony kowboj. Strach uczynił mnie tak silnym i lekkim, że o mało nie przeskoczyłem przez konia.

Pomimo wszystko Charlie mnie wyprzedził.

Za nami stare dworzyszczce Dexterów budziło się wśród wrzasku i ryku. Z okna sypały się kule, choć żadna nie gwizdnęła blisko nas. Billy i rozwścieczony Bullen musieli palić do rozbujanych krzaków i ciemnych drzewin, biorąc je za ludzi.

Dexter zawrócił po mnie.

- Potrafisz pan wziąć przeszkodę? - wrzasnął. Próbowałem kiedyś skoków, ale po amatorsku.

Odpowiedziałem, że usiedzę w siodle, a on z pośpiechem udzielił mi wskazówek:

- Nie szarpać się! Zdać się na wolę konia!... Swobodnie!

Przed nami wyrósł płot, który wydał mi się wysoki, jak chałupa. Sztachety uciekły w dół, ja z koniem unieśliśmy się w powietrze. W głowie mi się zakręciło, ale w jednej chwili ziemia wzdęła się ku nam, jak ciemna toń morza. Kopyta uderzyły o grunt. Noga wypadła mi ze strzemia. Tchu mi zabrakło, straciłem głowę... Pamiętam tylko, że przez parę minut ciskało mnie w górę i na dół, gdyż wzięliśmy kilka płotów. Po chwili druga noga wypadła ze strzemia. Przeważylem się silnie na bok. Strzemia latały w powietrzu. Wypadliśmy na niebiańsko gładką drogę do Monte Verde.

Mój wierzchowiec ponosił. Dexter ostro na niego krzyknął i szarpnął za cugle.

Zatrzymaliśmy się na środku traktu. Właśnie księżyc wyjrzał na nas zza chmury, gdyż wiatr wymiatał niebo do czysta.

- Spieszmy się! - zawołałem. - Zaraz tu za nami ruszą, a ja nietęgi jeździec.

Obejrzałem się niespokojnie w oczekiwaniu, że lada chwila z tego czy owego zagajnika, oblanego księżycem wyprysnie straszliwa kawalkada.

Dexter zaśmiał się.

- Nie ma strachu! Najpierw się wykrzyczą. Zresztą myślę, że nie będą nas gonić. Już im się raz wymknąłem. Ach, przyjacielu - wołał głosem niewymownej radości - teraz byłaby sposobna pora wrócić, ale figle na potem! Teraz złamiemy w nich ducha, to w końcu dadzą się przepędzić jak owce,

Dexter śmiał się ze swego żartu radośnie.

Patrząc na niego ze zdumieniem prawie zapomniałem o niebezpieczeństwie. Znowu obejrzałem się za siebie i niecierpliwie szarpnąłem za cugle.

- Droga do Monte Verde prosta jak strzełi! - powiedział Dexter. - Wal pan przed siebie. Jeżeli się boisz, gnaj co koń wyskoczy. Wałach rączy. Nogi ma dobre i w ogóle wytrzymały!

Spojrzałem na falistą wstęgę drogi z gwałtowną tęsknotą. Samo Monte Verde było niewidoczne, tylko zrab góry, na której leżało, ciemniał zwałście pod księżycowym niebem.

Spojrzałem na księcia.

- Charlie, jeżeli cię tu zostawię, nie unikniesz wojny.

- Wojna już jest - odparł niedbale. - Ano, sami chcieli!

- Co z tego wyjdzie? Możesz z nimi poigrać, jak kot ze szczurami, ale w końcu cię pożrą. Gdybyś mi pozwolił zostać, mógłbym spróbować nowych układów!

Przysunął się z koniem, patrząc mi w twarz błyszczącymi oczyma.

- Człowieku, widzę, że jesteś mi prawdziwym przyjacielem.

- No, chyba - odrzekłem.

Uścisnął mnie w milczeniu za rękę, a mnie serce zabiło dziwnie, ach! jak dziwnie. Gdy zawrócił konia, mój wałach ruszył za nim potulnie bez rozkazu.

XXIV. TORTURA

W dalszym ciągu byłem mocno niespokojny, za to mój Charlie nic sobie nie robił z niebezpieczeństwa. Dowodził mi, że nikt nie widział kierunku naszej ucieczki, że nikt się nie domyśla, że wybraliśmy drogę przez płoty. Wracaliśmy wolno krętą bydlęcą ścieżką łąki, usianej gaikami i zaroślami.

Zapytałem, jak to naprawdę było z pojmaniem Slade'a Livingstona.

- At, głupstwo! Szczęśliwa myśl i tyle! Obejrzałem się za siebie, wpadając do lasu, a tu czterej gonią za mną szeroko rozsypani. Od razu mi przyszło natchnienie!

- Wcześniej o tym nie pomyślałeś?

- Coś mi chodziło po głowie, ale sposobność nadarzyła się sama. Trudno było nie skorzystać.

- Slade - ogromny chłop, odważny.

- Lasso poradzi sile - zachichotał książę Charlie. - Koń łatwo się oduczy szarpać, człowiek nie powinien być głupszy od konia. Slade'owi trzeba było podwójnej nauczki. Teraz jest w szkole! - dokończył ze szczególnym śmiechem.

- W jakiej szkole?

Odpowiedział, że mnie tam zaraz zawiedzie, i zaczął się zachwycać rzeką. Woda, ciemna wzdłuż brzegów, płynęła środkiem rozmiotaną smugą.

- Chciałbym być malarzem - mówił. - Malowałbym same nocne widoki.

Śmiał się. Kipiała z niego wesołość i radość życia.

- Szczęśliwy jesteś - zauważyłem.

- Jakbym miał skrzydła! Jakbym miał skrzydła! Czekałem dziesięć lat!... Jak ta trawa rozkosznie pachnie! Taka noc jak dziś warta tyle, co zwykły rok. Powiedz mi pan, jakie wrażenie zrobiła wieść o losie Slade'a! Co powiedział sędzia? To jest czarny charakter! Jak pan sądzisz?

- Sędzia - rzekłem, siląc się na bezstronność - jest nieprzeciętną osobowością. Ma złe skłonności, ale nie jest wykluczone, że i dobrych mu nie brakuje. Na razie nie mogę powiedzieć. Cieszę się tylko, że mnie wydobyłeś z jego rąk.

- Pan mu za to podbił rękę, gdy chciał mnie ustrzelić. O! to dobry strzelec. Tacy nie chybają.

- Skąd wiesz, że mu podbiłem rękę? Byłeś do mnie odwrócony plecami i dawałeś właśnie susa w okno.

- Mam oko w tyle głowy. Zaleta, co? - chichotał. - Kwestia praktyki, panie.

- Gdzie jest teraz Livingston?

- Chcesz pan zmienić temat? O, szlachetna skromności! Rozumiem, ile pana musiała kosztować ta interwencja!

- Nie - rzekłem szczerze. - To był odruch. Gdybym się namyślał, to bym się nie odważył. Ale gdzie Livingston?

- Przeciąga się, panie. Sposób na kłamstwa. Zasmakuję hultaj w prawdzie. Nienawidzę kłamców.

- Nic nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz.

Skręciliśmy do małego zagajnika na lewo. Księżycowe światło przekradało się przez gąszcz liści srebrzystymi smugami. Cienie pni kładły się na ziemi na podobieństwo czarnych wstęg. Zaciszenie tu było, bo wiatr niósł się górą. Odetchnąłem, gdy nagle wydało mi się, że człowiek jakiś leci na mnie z rękami wyciągniętymi nad głową.

Szarpnąłem za cugle tak gwałtownie że mój wałach stanął dęba. Gdy opadł na ziemię, zobaczyłem przed sobą obraz, którego wspomnienie dziś jeszcze przejmuje mnie ciężką odrazą.

Człowiekiem ze wzniesionymi rękami był Slade Livingston. Wisiał nieszczęśnik na gałęzi, uwiązany do niej za ręce, ledwie, ledwie dotykając stopami do ziemi. Okropne to było, nieludzko wymyślne. Dexter w ten sposób go powiesił, że delikwent mógł stać na palcach.

Livingston musiał utrzymywać się częściowo na palcach, częściowo na rękach. Ale kto potrafi długo wisieć na rękach? Nawet ludzie z małpimi zdolnościami prędko się zmęczą, a biedny Slade znosił już tę torturę strasznie długo. Ciało jego od ramion ciężko zwisało. Zdrętwiałe nogi na próżno usiłowały ulżyć naprężonym ścięgnom rąk, gdyż łamały się w kolanach. Tylko głowa i kark napuchnięty i zdrętwiały zachowały sztywność.

Usta były otwarte, jakby krzyk w nich zamarł. Zdziwiony, że ofiara nawet nie jęczy, spojrzałem uważniej i zobaczyłem knebel.

Patrzyłem struchlały.

Dexter zsiadł. Musiałem się zsunąć na ziemię, bo inaczej zleciałbym z siodła.

Księżę Charlie tymczasem wyjął, jeńcowi knebel z ust. Rozległ się głuchy jęk.

- No, miałeś czas wypocząć i zastanowić się - rzekł Charlie - Będiesz teraz mówić?

- Będę - wyszeptał bełkotliwie, ledwie dosłyszalnie Slade. - Będę... o o o!...

Charlie przeciął sznur.

Umęczone ciało upadło martwo, jak nieżywa rzecz przetoczyło się na bok i tak zostało.

Dexter uniósł je, posadził i oparł plecami o pień drzewa. Następnie przytknął do cichych ust flaszkę wódki. Jeniec pił chciwie, z jękiem, a potem złapał powietrze.

- Spokojnie - mówił wesoło Dexter. - Ból niedługo osłabnie. Może zapalisz papierosa? Nie, nie udźwignąłbyś jeszcze ręki. Poczekamy. Konia to nie osiodłasz przez miesiąc. Albo i dłużej, Slade.

Stojąc spokojnie przed swą ofiarą, palił powoli papierosa, jakby się nim rozkoszował.

- Dean, nie zauważył pan, że papieros nigdy tak nie smakuje w nocy, jak w dzień?

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem mówić. Nareszcie Dexter rzekł łagodnie:

- No. Livingston, teraz pogadamy.

- Powiem... - stęknął jeniec. - Boże, przebacz mi, powiem. Ach. czemu nie umarłem!

- Rozumiesz, Dean - wtrącił Dexter. Usłyszemy historię krwawej nocy sprzed lat dziesięciu. Tę rzecz może opowiedzieć tylko Benson lub Livingston. Warto posłuchać, co?

- To, co wiem, opowiadał... - zaczął Slade głosem, który mam jeszcze w uszach i w sercu.

Nie wytrzymałem. Słowa wydarły mi się z ust same.

- Dexter, żałuję, żeśmy się poznali!

Zwrócił się w moją stronę. Zdziwienie jego było tak wielkie, że upuścił papierosa.

- W życiu nie widziałem gorszej okropności - dodałem.

- Rozumiem - rzekł. - No, od pierwszej chwili wiedziałem, że masz szlachetne serce, panie Dean. Ale przecież nie wiesz tego, co ja. Nie byłeś świadkiem rzezi, nie zamordowano ci na oczach ojca. Nie żyłeś w mroku tajemnicy Scorpia. Nie tęskniłeś do zemsty. Teraz mają się otworzyć przede mną drzwi zagadki. Czy dziwisz się, że szturmowałem do nich, jak szalony?

- Dexter, jeśli masz w sobie ludzką, nie szatańską duszę, powiedz mi, czy Slade Livingston brał udział w owej rzezi?

- Nie, był jeszcze dzieckiem. Ja także byłem dzieckiem, a mimo to chciano mnie zabić!

- Czy należał do pościgu?

- Nie.

- To pies jesteś, skończony pies, jeżeli chcesz wymusić z niego rzeczy, które mu wyznano w zaufaniu i od których zawisło życie innych.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Wyjąwszy drugiego papierosa, zapalił go i wydmuchiwał w zamyśleniu dym. Białe spirale rozpląwały się w księżycowej poświacie. Upływały minuty. Nagle mój Charlie rzekł:

- Słuszność po pańskiej stronie. Tak. Skrzywdziłem Livingstona.

XXV. ORCHARDOWIE

Powiem, że te jego słowa zrobiły na mnie jeszcze silniejsze wrażenie, niż tortura Livingstona.

Dla człowieka nie ma nic bardziej oczywistego, niż sprawiedliwość. Można powiedzieć, że rodzi się z poczuciem sprawiedliwości. Dexter nie bardzo sobie jednak zdawał sprawę z tej prawdy i ja go dopiero powstrzymałem w bezmyślnym rozpędzie

Nie przypuszczałem, że weźmie mą naganę do serca. Miałem uczucie, że nie było na niego rady, tak jak nie ma rady na wilka. Nie minęło pięć minut, a mój drapieżny przyjaciel stał się innym człowiekiem.

Od początku wydawał mi się zagadkowy. Teraz to wrażenie jeszcze się spotęgowało.

Przyznał mi rację bez zastrzeżeń i tylko dodał:

- Szczęśliwy jestem, że pana z sobą zabrałem. Nie wiem... Chyba Opatrzność zesłała mi takiego przyjaciela. Co do Livingstona, to ja...

Nie dokończył. Prawdopodobnie chciał powiedzieć, że miał go po prostu za wroga, za jednego ze swoich krzywdzicieli... Charlie zajął się biednym Slade'm.

Chłopak był już tak załamany, że gdyśmy umilkli, chciał mówić dalej:

- W tę noc krwawą...

Najwidoczniej nie pojął mego wystąpienia.

- Nie mów - przerwał Dexter. - Rozmyśliłem się. Podle się z tobą obszedłem Slade. Wierz mi, że szczerze tego żałuję. Nie będę z ciebie wymuszał zeznań. Co innego, gdybym dostał w ręce twego ojczulka! Co, Dean?

- Ach, tak? - rzuciłem.

- Czemu nie? - krzyknął i nagle: - O, rozumiem! Białego człowieka powinna obowiązywać ludzkość nawet wobec dzikich Indian, tak?

- Tak, młodzieńcze!

Livingston teraz, gdy mu już nic nie groziło, a cała męka okazała się zbyteczna, oparł głowę o drzewo i jęczał głośno. Żał mi go było serdecznie. Wszak tylko szedł za przewodem starszych. Sam nie zawinił.

- Co z nim zrobimy? - zapytał Dexter. - Przez dzień, dwa - nie postąpi kroku, Przez tydzień nie podniesie rąk. Trzeba go będzie odwieźć do domu. Znow nas szerszenie opadną. O, oni nie będą się wahali. Dla nich nie ma skrupułów. Co począć?

- Charlie - ozwał się Slade - jeżeli mnie odwieziesz do Orchardów, to już oni się mną zaopiekują.

- To Orchardowie jeszcze się trzymają w Dolinie? - z gwałtownym zdziwieniem zapytał Charlie.

- Ano, siedzą tu jeszcze między nami.

- Myślałem, że ich dawno przegnaliście.

- Dlatego, że byli przyjaciółmi twoich ojców?

- Tak. W noc rzezi stanęli po naszej stronie.

- Za to ich szanujemy - powiedział Livingston.

- Jak oni żyją?

- Biedni, jak myszy, ale jakoś żyją.

- Zbiednieli? Mieli dużo ziemi.

- Tak. Wyzbyli się majątku, nie wiem, jak...

- Kto teraz dzierży ich ziemię?

- Dinmontowie. Crowellowie....

- Tak i myślałem - rzekł Dexter i ciągnął przez zęby: - Daj Boże. żeby im to wynagrodził! A! naprawię krzywdy, wyrównam niesprawiedliwości. Slade, powiedz mi szczerze, mają om w Dolinie przychylnego sąsiada?

- Ja... ja często widuję się z Jenny Orchard. Oni są rozgoryczeni. Mało kto chce ich znać. Przyjaźnią się z Laffitterami. Jenny i Klaudia ciągle do siebie biegają. Jeżelibyś mógł zawieźć mnie do Orchardów. Charlie... Będzie stąd jakieś pół mili.

Dexter osunął się na jedno kolano, nie w kornym przeproszeniu, lecz by wygodniej porozmawiać.

- Zaopiekuję się tobą, Slade. Skoro przyjdiesz do siebie, wyprawisz się na mnie, prawda? No, słusznie! Ale póki z sobą gadamy, powiem ci, że szczerze żałuję swego postępu. Pamiętam jak się bawiliśmy za dziecinnych lat - w wojnę, w wyścigi!.. Żałuję, że me możemy się pojednać!

Słuchałem zdumiony. Livingston odpowiedział:

- Myślisz, że mam do ciebie urazę? Gdzież tam! Je bym pewnie zrobił to samo. Przecież miałem szczerą ochotę posłać ci kulę. Wiesz, uważam, że jesteśmy skwitowani!

- Szczerze mówisz?

- Z serca.

Dexter wstał.

- Coś z tego wyjdzie, coś lepszego, niż przewidywałem. Panie Dean, pomóż mi pan, to go posadzimy na mojego konia.

Z trudnością, bo leciał nam przez ręce, dźwignęliśmy nieboraka na siodło. Ja i Dexter szliśmy po bokach, podtrzymując go. Mój koń postępował za nami luzem. Przebyliśmy prędko zagajnik i wzgórze, za którym leżało ranczo.

Spuściłem bariery zagradzające ścieżkę. Z ciemności wypadło z wściekłym ujadaniem, z pół tuzina kundli. Slade zawołał na nie i widocznie poznały jego głos, bo przycichły.

Dostaliśmy się do tylnych drzwi domu. Skrzypnęło okno, męski głos zawołał:

- Kto tam?

- Slade Livingston - odpowiedział młodzieniec.

- Co tu zaglądasz po nocy? - pytał głos. - Jeżeli gonisz za Dexterem, to zmyliłeś trop.

- Miałem wypadek... Potłukłem się okropnie...

- O! zaraz, mój chłopcze!

Ledwie zdążyliśmy zdjąć Slade'a z konia, drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna w łapciach, w płaszczu zarzuconym na ramiona, z latarnią w ręku. Gdy światło jej padło na twarz Livingstona - okropnie bladą z zapadniętymi oczyma, krzyknął głośno:

- Tyś chyba dostał kulę! Wnieście go, chłopcy! Ostrożnie. Tędy. Połóżcie go na tapczanie. Kości całe? Czeka, zawołam matkę i Jenny!

Gromkim głosem postawił na nogi cały dom.

Ułożyliśmy Slade'a wygodnie z poduszką pod głową i dali mu znów wódki dla wzmocnienia. Widok jego twarzy w blasku latarni ścisnął mnie za serce. Wyglądał staro. Pod oczami i koło ust rysowały się głębokie zmarszczki. Czoło było ściągnięte w ostrą bruzdę. Biedak przeżył tam w lasku, w ciemnościach coś straszego.

Wpadły kobiety; najpierw drobna, ładna, śniada Jenny, za nią matka, przygarbiona od znojów i trosk, podobna w swej perkalikowej zarzutce do zmokłej kury; na końcu wysoka dziewczyna, królewsko władcza, ciągnąca oczy nawet w mroku: Klaudia Laffitter.

Nie powinienem się zdziwić, wszak Livingston wspomniał o przyjaźni dziewcząt, ale byłem przekonany, że Klaudia jest w Monte Verde... Nie spojrzawszy na nas, objęła w jednej chwili komendę nad tamtymi kobietami.

Stary Orchard przysunął się do nas. Był chudy i przygarbiony, jak żona. Ramiona miał opuszczone, jakby stale dźwigał ciężary w obu rekach.

- Was nie znam, chłopcy - powiedział.

- Mnie znaliście dziesięć lat temu.

- Jak to? Mieszkałeś w tych stronach?

- Tak.

- Gdzie?

- W Dworze Dexterów.

- Co?- Orchard porwał latarnię ze stołu i podniósł wysoko nad głowę. Jego własna twarz była w tej chwili godna widzenia. - O Boże! Matko, Jenny, przyjrzyjcie się temu chłopcu!

Dexter, uśmiechnięty pod gradem spojrzeń, kłaniał się i mówił:

- Jak się mamy, gospodyni! Jenny, kawał czasu cię nie widziałem! Jenny pierwsza odzyskała głos.

- Prawda! - szepnęła. - Księżę Charlie! Wrócił. Wrócił...

XXVI. STRACH

Nigdy nie zapomnę tej cichej czci, tego zdumienia, z jakim rodzina Orchardów powitała i uznała Dextera. „Księżę Charlie!“ - powiedziała Jenny. Była to w Dolinie zadawniona nazwa, w każdej generacji Dexterów był jakiś Charlie, księżę Charlie...

Oczywiście, Orchardowie słyszeli już o jego zjawieniu się w Monte Verde. Po pierwszym, sztywnym, nastąpiło serdeczne powitanie. Gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości co do osoby „księcia“, musiałyby się one wreszcie rozwiać.

Gdybym miał? Nie wiem... Młodzieniec wydawał mi się ciągle jakiś dziwnie nierealny, jak aktor na scenie, któremu wolno zadziwiać.

Tej nocy objawił mi się w całkiem innym świetle.

Widziałem go poważnego, surowego; czujnego, jak kot w zasadzce; pełnego bojowej gotowości; historycznie rozradowanego niebezpieczeństwem i walką...

Teraz był jak rozpieszczone dziecko na łonie rodziny, świadome powszechnej miłości i odpłacające się za serca sercem jeszcze gorętszym. Jeżeli grali komedię, to uroczą komedię. Pozbył się goryczy, pozbył się złości...

Gdy stary Orchard wziął go na stronę, starając się mówić jak najciszej, żebym ja nie usłyszał, Charlie przyciągnął mnie do siebie za rękaw i powiedział z uśmiechem szczęścia:

- To mój najlepszy przyjaciel, choć nie najstarszy. Nikomu tyl nie zawdzięczam. Gdyby nie on, już bym spał pod ziemią, albo płynął rzeką rybom na stawę.

Orchard spojrzał na mnie innymi oczami.

- Panie Dean, ja nie chciałem... tego... za pańskimi plecami... Ja chciałem tylko zapytać, co zaszło między wami i młodym Livingstonem?

- Nic między nami nie zaszło - odrzekł Dexter, patrząc mu nieustraszenie w oczy. - Spadł z konia i potłukł się.

- Livingstonowie nie spadają z koni - oświadczył stary, bynajmniej nie zbity z tropu wzrokiem młodzieńca.

- Ten jednakże spadł. Zapomnijmy o tym.

Orchard zaniechał wypytywać z niechęcią. Musiało go to niepokoić. Jakkolwiek nienawidził sąsiadów za doznane krzywdy, Slade'a Livingstona wyłączał z ich grona i serdecznie lubił. Może młody junak trafił do zaciętego serca starego farmera przez pośrednictwo Jenny.

Przy tapczanie krzątała się Klaudia. Matka z córką pobiegły do kuchni przyrządzić jakąś wieszczkę.

Niech Bóg błogosławi gościnnym osiedleńcom z Zachodu, którzy, otwierając drzwi gościowi, prawie jednocześnie otwierają spiżarnię. Najbiedniejsza rodzina nie powita wędrowca kwaśnym słowem czy niechętnym spojrzeniem. Mnie to nigdy nie spotkało i pewnie tak zostanie, dopóki szlachetny duch pogranicza nie ustąpi przed naporem rzesz, które zagarną góry i zaludnią pustynie. Chociaż może i wtedy dawne tradycje ostoją się. Dałby Bóg!

Klaudia okazała się zręczną pielęgniarką. Owinęła Livingstonowi twarz i oczy wilgotnym, chłodnym ręcznikiem, posmarowała kojącą maścią obrażenia na przegubach rąk, wysmarowała strasznie obolałe ramiona... On początkowo zacinał zęby, taki mu te zabiegi ból

sprawy, ale powoli poczuł ulgę. Wzmoczony obieg krwi osłabiał znużenie w mięśniach, koł udręczone nerwy.

- Musiałeś, spadając z konia, zaplątać ręce w kamtar - rzekła Klaudia. - To od liny te krwawe pręgi na rękach.

- Zaplątałem, zaplątałem, jak głupi - odpowiedział.

- Ale na ubraniu nie widać, żeby...

Nie dokończyła. Prawdopodobnie chciała powiedzieć, że po ubraniu nie było widać, że go koń ciągnął... Obejrzała się ponownie na Dextera.

Myślałem, że biedny Slade zachowa swą straszną przygodę w tajemnicy. Gdzie tam! Ledwie mu zdjęła ręcznik z twarzy i zaczęła masować obolały kark, zaczął szukać jej wzroku.

Usłyszałem, jak powiedział:

- Charlie mnie tak urządził, Klaudio. Miał powód. Ale nie będę szukał zemsty. Nawet nie będę popierał przeciwko niemu naszym z Doliny. Teraz wiesz. Możesz to rozgadać, jeśli chcesz.

-Zaśmiała się cichutko:

- Za milion dolarów bym się nie wygadała. Nawet Jenny nie powiem, nawet jej ojcu. Zawsze mówiłam, że ty jeden ratujesz honor Doliny!

Jakaż była rada ze Slade'a. Ja również. Dexter aż poczerwieniał z uciechy. Nigdy go nie widziałem tak poruszonego.

Podano wieczerzę niezwykle smakowitą, bo Orchardowie trzymali kurczęta. Jeżeli w obejściu roją się kurczęta, znak to prawie niechybny, że ranczer czy farmer kiepsko przedzie.

Za to jaj była obfitość. Dostaliśmy je smażone, z grubymi płatami wędzonki, osmażonej po zachodniemu, to znaczy niezupełnie. Dla zgłodniałego człowieka nie ma zaiste wspanialszego jada.

Oprócz tego uraczono nas jeszcze świeżym chlebem, grubo pokrajanym, gdyż bochenek był jeszcze ciepły i nie dał się podzielić na zgrabne kromki. Masło również było świeżutkie, białe, lecz smaczne, a morelowa marmolada miała wprost nadzwyczajny aromat.

W opisie ta uczta wychodzi blade, ale od wieczerzy w domu sędziego przeszedłem ciężkie przygody i mogę zaświadczyć, że nawet wspinaczka po górach nie pobudza tak apetytu jak przejścia natury moralnej. Popijaliśmy posiłek obficie czarną kawą.

Jeden tylko rys tego posiłku był niezwykle - rozmowa. Księżę Charlie mówił, chór wtórował.

Chór składał się z Jenny, jej rodziców i biednego Slade'a, który od czasu do czasu wtrącił jakieś jęśliwe słowo. Chłopaczysko odzyskało władzę w rękach tak dalece, że choć drżały, mogło utrzymać w obu naraz kubek z kawą, który dzwonił o zęby. Rad byłem, że tak szybko

przychodzi do siebie. On i troje Orchardów nie dawali Dexterowi przełknąć spokojnie jednego kęsa.

Ja milczałem. Klaudia również. Słuchała z takim przejęciem, że aż pobladła. Siedząc prosto, patrzyła po twarzach, ciekawa naszych wrażeń. Gdy wzrok jej spotkał się z moim uśmiechnąłem się znacząco. Zrozumiała i drugi raz na mnie nie spojrzała.

Chcieli wszystko wiedzieć. Książę Charlie opowiadał, jak w straszną noc rzezi kowboj Anson uratował go, jak się nim później opiekował iście po ojcowsku, jak wrócili, bo Anson zdecydował, że już czas...

- Muszę pomścić śmierć ojca, muszę zabić Manly Crowella. Muszę pomścić zagładę rodu na Scorpiu, jeżeli ten arcyszatan jeszcze żyje!

Słuchali z szeroko otwartymi, rozognionymi oczami!

- Muszę odzyskać część rodzinnych włości - ciągnął Charlie. - Wy także odbierzecie to, co było wasze, albo nie nazywam się Dexter!

No, Orchardom nie potrzebował robić przyrzeczeń!

Patrząc na Dextera wśród tych ludzi, doświadczałem szczególnego uczucia, jakby to rzeczywiście był książę krwi, któremu siłą rzeczy należy się wierność i przywiązanie. Nie było w tym żadnej głupiej komedii, ale spokojne, głębokie oddanie. Ród Dexterów musiał się odznaczać jakimś wyjątkowymi przymiotami, bo wolni ludzie Zachodu nigdy by się nie poddali samej sile.

Jeden tylko zgrzyt zmącił miły nastrój wieczoru. Na dworze wiatr ciągle świszczał i wył i w pewnej chwili okiennica otworzyła się z trzaskiem.

Dexter wstał i umocował ją z powrotem.

- Pospieszyles się - zauważył Orchard. - Myślałby kto, że Crowelle, Dinmonty i Bensony czają się za oknem.

Odpowiedź księcia odebrała mi dech.

- Czają się, czają - rzekł z humorem. - Już dawno tu są. Wiedzą, że nie jestem sam!

Strach padł na radosne przed chwilą grono. Na próżno książę Charlie wykrzykiwał, że nie ma się czego bać, że nikomu nic nie grozi, bo Slade wszystkich osłania, że nikomu włos nie spadnie z głowy...

Jenny skoczyła do tapczana, pochyliła się nad Livingstonem z zaciśniętymi pięstkami.

- Slade, jeżeli księciu się coś stanie, nie będę cię chciała znać!

Poznałem po twarzy chłopca, że była to dla niego straszliwa groźba. Nikt się naturalnie nie uśmiechnął. Wszyscy patrzyliśmy na Dextera. Stary Orchard wstał i zdjął ze ściany długą strzelbę, która wisiała na dwóch gwoździach.

XXVII. ZGRAJA

Dopiero teraz dostrzegłem w kącie staroświecki zegar, wysoki, prosty, z okrągłą tarczą, która zdawała się patrzeć na nas niewzruszenie, podczas gdy melodyjne cykanie stało się w ciszy bardzo głośne. Mnie serce biło jeszcze szybciej.

Pierwsza przemówiła Klaudia.

- Skąd wiesz, że oni są przed domem?

- O, bo stąd blisko do zagajnika, skąd zabrałem Slade'a, a tam już na pewno trafili.

- To dlaczego czekałeś, aż przyjdą?

Wszyscy musieli pomyśleć to samo. Wszyscy patrzyli na Dextera.

- Dlatego - odpowiedział z całym spokojem - że jeden tylko pan Dean mógłby poświadczyć, że Dolina dybie na moje życie. Gdyby nas obu sprzątnęli, nikt by nie został, kto by powiedział światu, że tutaj byłem. Teraz mam całą rodzinę Orchardów. Zaraz się przekonacie, co tam się czai na dworze. Proszę odstać od drzwi.

Rozstąpiliśmy się na boki, jak dzieci w szkole. On tymczasem zdjął płaszcz, udrapował na miotle, na wierzch wsadził swoje wysokie sombrero i, otworzywszy drzwi na oścież, wystawił tę śmieszłą kukłę na ciemność.

- Jak się macie, chłopcy!

Jakże ktoś mógłby się dać nabrać na taką głupią sztukę? Jednakże ledwie to pomyślałem, huknęły strzelby, płaszcz zleciał z miotły na podobieństwo chorągwi i kule zabębniły w ścianę.

Księżę Charlie, śmiejąc się trochę, zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz.

- Dla minie były przeznaczone te kule - rzekł, pokazując podziurawiony płaszcz.

Później znaleźliśmy je w ścianie - było sześć. Wszystkie przeszły przez płaszcz. Celnie lotry strzelały. Gdyby Charlie był w tym płaszczu, zostałyby na miejscu.

Stary Orchard kiwał głową.

- Nie mogły czekać - zgłodniałe kojoty! Dawno nie miały świeżego żarła!

Wszyscy bez wyjątku zachowali spokój. Wierzyć mi się nie chciało, bo sam ledwie nad sobą panowałem.

Myślałem, że stara Orchardowa zemdleje. Gdzie tam! Poszła kobieta do ściany i wtykała palce w dziury od kul.

- Świdrem tak równo by nie wywiercił - uśmiechnęła się chwiejąc głową.

- Dzielna kobieta! - przemknęło mi przez głowę. - Czas przygarbił jej plecy, ale ducha nie ugiął!

Jenny zauważyła obojętnie:

- Trzeba będzie zalepić. Głupcy - żeby strzelać do kukły? Orchard potarł się z ukontentowaniem po brodzie.

- Ja to rozumiem. Im grubsza zwierzyna na widoku, tym myśliwemu łatwiej drgnie palec. Nie dziwię się, że się zgapili.

- Podła banda! - zawołał biedny Slade Livingston, unosząc się na drżących łokciach. - Jeżeli wśród nich jest mój ojciec, albo brat...

- Nic nie mów - przerwał Dexter - żebyś potem nie żałował. Dolina ma mnie za śmiertelnego wroga. No, nie ganię ich za to. Chodzi o takie sumy, że z ich punktu widzenia, to już nie mordercze knowania, ale wojna.

Jenny splotła ręce i spojrzała na niego z uwielbieniem.

- Szkoda, że go nie słyszą! Szkoda, że go cały świat nie słyszy. Któż by wtedy nie uwierzył, że jest Dexter!

Stary Orchard rzekł po jakiejś chwili:

- Tak, chłopcze, tak. Teraz wiemy, że chcieli cię zabić. Sprawa oczywista. Ale nie wiemy, kto to.

- Niedługo się to okaże. Tam dużo młodzieży, a głupie młokosy zawsze potrafią coś zmalować. Zaczną sypać przezwiskami... Po głosach byście poznali?

Księżę Charlie sam był młokosem. Mimo to słowa te nie wydały się w jego ustach śmieszne. Przewyższał mądrością własne lata.

- Od razu się czegoś dowiemy - oznajmiła Klaudia.

Z tymi słowy otworzyła drzwi i stanęła w progu w świetle lampy, na cel strzelcom, którzy mogli strzelić bez namysłu, jak przed chwilą.

Oniemieliliśmy z trwogi. Jeden Dexter skoczył za nią ze strasznym zdławionym okrzykiem. Ale ona tylko się do niego uśmiechnęła przez ramię i wyszła na dwór.

Zacisnąłem ręce, aż paznokcie wbiły się w ciało. Jednak spodziewana salwa nie padła. Nauczka poskutkowała. Draby najpierw spojrzały.

Jasna postać nikła w mroku, bo smuga światła z drzwi nie sięgała daleko. Dexter zbladł. Nie widziałem go jeszcze tak poruszonego. Spojrzał na mnie oczyma wystraszonego dziecka.

- Co oni jej zrobią? Na co się poważą?

- Oj, Charlie - powiedział Orchard - nie zapominaj, że tu Zachód. W Dolinie nie ma łotra, który poważyłby się podnieść na nią rękę. Ale co ci to, chłopcze? Podłóści się zląkłeś, czy polubiłeś dziewczynę.

Dexter nie odpowiedział. Dysząc ciężko, ocierał czoło chustką. Klaudia przystanąła na skraju smugi światła z drzwi. Była mało widoczna. Czyn jej nierozważny, a bohaterki, olśnił mnie. Miała dziewczyna charakter. Nie wiedziała, co to strach, nie wiedziała, co to nikczemność. Orchard wyjrzał za nią.

- Szlachetna krew, moi kochani!

Dobrze powiedział.

- Brylant czystej wody - dodał Slade. - Żadna jej nie dorówna! Jenny spiorunowała go wzrokiem, ale nie zauważył tego.

Nagle usłyszeliśmy głos Klaudi, słaby na tę odległość, lecz wyraźny:

- Kto tam jest? Co za tchórze potrafią strzelać w drzwi? Jestem Klaudia Laffitter.

Sądziłem, że nikt się nie odezwie, żeby się nie zdradzić w tak głupi sposób. Ale nie. Znajomy bas odpowiedział:

- Młode osły palnęły do kukły, Klaudio! Nic takiego!

- Nic takiego - zawołała z gniewem i wzdargą. - Nic takiego! Myśleli, że to Charlie Dexter, i nic takiego!

- Słuchaj, Klaudio - rzekł sędzia Benson - przeciwko tobie i Orchardom nie mamy nic. Ale przypuszczamy, że w tym domu jest Slade Livingston z Dexterem.

- Są. Cóż z tego?

- Chcemy się dowiedzieć, czy Slade'owi się coś nie stało.

- To proszę wejść i zobaczyć.

- Co? - pod strzał temu psu Dexterowi?

- Weźcie z sobą najtęższego junaka - syknęła. - W domu są tylko dwaj mężczyźni. Orchard, was nie ruszy, chyba, że zaczepicie go, albo też jego przyjaciół. Dextera się przecież nie boicie. We dwóch go się nie ulękniecie:

- Ja tylko chcę wiedzieć, czy Slade jest cały i zdrowy.

- No, chyba. Dexter - nie jest mordercą!

Z tych słów wynikało, że morderców należy szukać gdzie indziej. Nieustraszona dziewczyna nie wahała się wypalić prawdy złowrogiej szajce w żywe oczy.

- Przyjemnie mi to słyszeć - rzekł sędzia.

- I mnie! - odezwał się Livingston-ojciec.

- No, na dwóch możemy przysiąc - powiedział Orchard. - Może to nie wystarczy, żeby lotrów uwięzić, ale dla utraty dobrego imienia dosyć. W tych stronach dłużej nie wyżyją!

Sędzia tymczasem mówił dalej:

- Nie chcemy niepokoić tego domu, Klaudio. Dla Orcharda żywię przyjacielskie uczucia.

- A, pewnie - odparła dzielna dziewczyna - Wykierowaliście go na dziada!

Orchard uśmiechnął się szeroko. Orchardowa poczerwieniała na wspomnienie starych krzywd.

- Domagamy się tylko, żeby Orchard zabronił Dexterowi wstępu w swoje progi.

XXVIII. DAR BENSONA

Na te słowa księżę Charlie spojrział ku gospodarzowi z podniesionymi brwiami, ale ten, uśmiechając się złośliwie, patrzył w ziemię.

- Tylko tyle? - rzekła Klaudia. - Tylko wymówienia domu gościowi, który przypadkiem zowie się Dexter.

- Taki on Dexter, jak ja - rzekł sędzia. - Bez czułościowych głupstw, Klaudio! Wiem, że masz rozum. Możesz powiedzieć Orchardowi, że nie straci, jeśli mnie posłucha.

- Co zyska, prócz nikczemnego imienia?

- Ziemię, którą postradał, będzie temu osiem lat. Ot, co!

- Za cenę wydania wam Dextera na morderczą śmierć?

- Co znowu? Nie gadaj głupstw, kochaneczko. Czy nie rozumiesz, o co idzie? Chcemy aresztować Dextera, bo to niebezpieczny człowiek.

- O, rozumiem. Chcecie go zabić.

- No, nie! Formalny areszt...

- Formalny? Macie nakaz??

- Dziecko, wiesz, że w tej krainie formalności nie...

- Rozumiem. Wy i wasi sąsiedzi zamordowaliście mojego ojca i - obeszło się bez formalności.

- Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia.

- Ja w każdym razie dowiedziałam się, że wy, sędzio, i Clay Livingston przyszlście napaść na Dextera. Jeśli to nie jest usiłowanie morderstwa...

- Dziecko kochane, czy nie widzisz, że wybryki rozhukanych młokosów zagrażają...

Nie kończąc, dodał:

- Pogadam z Orchardem!

Klaudia zawróciła i szła wolno ku domowi.

- Orchard! - zawołał sędzia.

- Słucham, sędzio?

- Przyjdę do was na rozmowę, jeżeli mi zaręczycie bezpieczeństwo.

- Ja bym wam nie zaufał. Wy - mnie, możecie.

- Ja wam ufam. Wiem, że jesteście uczciwy człowiek.

- Słyszysz, Lizzie? - rzekł Orchard do żony.

Kobieta poczerwieniała jeszcze bardziej i wyprostowała zgięte plecy. Weszła Klaudia, a za nią sędzia. Orchard spojrział na Dextera, Ten skinął przyzwalająco.

- Ha! - powiedział sędzia od progu. - Dawno się nie widzieliśmy. Jak się macie, Lizzy?

Wyciągnął rękę. Kobieta spojrzała mu poważnie w oczy i - nie podała swojej.

Benson zmienił się na twarzy. Uśmiech zgasł wśród zmarszczek. Aż mi go się żal zrobiło. Kobieta, która go znieważyla, stała wyprostowana, odmłodzona rumieńcem gniewu. W młodości musiała być urocza. Sędzia więcej się do niej nie odezwał. Zwrócił się do innych, ale już prawicy nie proponował nikomu. Jedna nauczka wystarczyła.

Przyglądałem mu się z zajęciem i powstrzymywanym uśmiechem. Przez cały czas zachował niewzruszoną godność. Jeżeli się uparł, chyba nic nie mogło go zbić z pantałyku.

Przede wszystkim, jakby z obowiązku, poszedł pochylić się nad leżącym Livingstonem.

- Mój biedny chłopcze, jakże mi cię żal! Ojciec umierał z niepokoju!

Slade patrzył na niego ze ściągniętymi brwiami.

- Nie leżałbym tutaj, gdyby nie wy i nie ojciec; nie tropiłbym człowieka, jak pies, i nie wyszedłbym na durnia.

Sędzia z cudownym spokojem pominawszy pierwszą część tej skargi, zapytał:

- Mój biedny chłopcze, co ci się stało?

- To, że posłuchałem złej rady - odpalił młodzieniec. Przysłuchiwałem się w zdumieniu i zachwycie.

- Zresztą to sprawa między mną i Dexterem - dodał Slade. Sędzia, czerwony jak burak, wykręcił się na pięcie i spojrzał pytająco na Dextera.

- Slade spadł z konia - powiedział księżę Charlie, patrząc mu mocno w oczy.

Sędzia Benson, odpalony w dwóch miejscach zwrócił się teraz do Orcharda.

- Przykro mi, że udzieliliście schronienia złoczyńcom, ptaszkom, poszukiwanym przez prawo.

- Jakie prawo? - wycedził gospodarz.

- Jakie prawo? - pompatycznie powtórzył sędzia. - Chyba prawo zabrania włamywać się do cudzych domów? To mówiąc, uroczyście wskazał na Dextera.

- Jak, jak, co? - zapytał Orchard. - Obrabowałeś sędziego, Charlie?

- A jakże - odpowiedział ku memu zdumieniu Dexter.

- Coś mu zabrał?

- Trochę czasu.

Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem. Napięcie chwili wymagało odprężenia.

- Co więcej? - pytał Orchard.

- Zapytajcie jego.

Sędzia nastroszył się, jak gołąb garłacz, lecz nie powiedział słowa. Zrozumiałem. Nie dziw, że Charlie przyznał się do kradzieży, bo czyż sędzia przyznałby się, że przywiązywał wagę do zabranej fotografii? Najwidoczniej Benson domyślił się, dlaczego Charlie wdarł się do jego domu z narażeniem życia. Wszak mocniejszego dowodu swego pochodzenia nie mógł znaleźć.

- Mniejsza o kradzież - rzekł sędzia ale ci, którzy włamują się do prywatnych domów...

- Zwłaszcza, jeśli dom należy do włamywacza - uzupełnił z grzecznym uśmiechem Dexter i skłonił się, jak szermierz po udanym pchnięciu.

A pchnięcie było udane. Sędzia zwrócił się znów do Orcharda:

- No, sąsiedzie, w ostatnich latach kiepsko wam się wiodło. Bardzo nad tym bolałem. Bardzo. Ale dam wam łatwą możliwość wydzwignięcia się. Wyproście tego łotra z domu. Słyszeliście: przyznał się do włamania! Wyproście go z domu, a sownieście wam to wynagrodzę. Zrozumiano?

- Mówiliście o ziemi...? - bąknął Orchard.

Serce we mnie zamarło. Z twarzy starego ranczera bił głód ziemi.

- Tak! - skwapliwie potwierdził Benson. - Odzyskacie wszystko co do akra. Już ja w tym!

- To szmat ziemi, ale najpierw musiałbym się poradzić żony.

- Radźcie się kogo chcecie, chociaż - powinniście mieć własny rozum.

- To nie tylko moja sprawa, sędzio. Nabiedowałem się przez te dziesięć lat niemało, ale i żona i córka ciężko się naharowały przy kuchni, przy krowach, przy warzywniku, przy domowych robotach. Ręce urobiły, to i one mają głos. Zapytam. Lizzie, sędzia ofiarowuje nam te dwieście akrów, co to wiesz!

- Słyszę - odparła spokojnie kobieta, nie spuszczać oczu z twarzy kusiciela.

- A wiesz, co by to było dla nas? - ciągnął z naciskiem Orchard. - Jenny raz by się ubrała w ładne szmatki...

- Tatku! - krzyknęła dziewczyna.

- Cicho, dzieci o, mówię do matki. Przecież nasza Jenny urodziła się na panią. Przy tym mogłabyś trzymać dużo służby i już do końca życia odpoczywać, a zamiast koło warzyw, chodzić koło kwiatów. Zawsze tęskniłaś za kwiatami. Mogłabyś jeździć co niedzielę do miasta w piękne cugi eleganckim pojazdem, ubrać się przyzwoicie, mieć czas na przeczytanie książki czy gazety... Wszystko to dostaniemy, Lizzie, jeśli tylko wyrzucimy z domu tego chłopca, co podaje się za Dextera, ale nie wiemy na pewno.

Mogły wzruszyć takie słowa. Stara Lizzie patrzyła nie na męża, lecz na sędziego, jakby to on mówił.

Sędzia zaś wtórował Orchardowi ruchami głowy.

- Naszych rąk - ozwała się stara kobieta - nic nie splamiło, czego by nie zmyły mydliny i woda. Niech już tak zostanie.

XXIX. NOWY PRZYBYSZ

Sędzia zrozumiał, że to odmowa. Zresztą Orchard poparł żonę, mówiąc:

- Dziwne to, sędzio, że nieuczciwi ludzie nie wierzą, aby inni byli uczciwi. Ale człowiek człowiekowi nierówny. Wiemy, że już parę razy nastawaliście na życie tego młodzieńca. Wiemy, że go tropiliście. A teraz przychodzicie tu z żądaniem, żebyśmy go wydali na zgubę. Czemu nie powiecie mojej Lizzie, żeby cisnęła córkę wilkom, kiedy wyją z głodu w zimowe noce? Gdzie wy macie rozum, żeby nam ofiarowywać te dwieście czterdzieści akrów za głowę Dextera! Gdyby nawet dłonie tego chłopca były czerwone, jak ręce Livingstonów, Crowellów, Dinmontów i Bensonów, to i tak bym go wam nie wydał!

Myślałem, że sędzia pęknie. Naprawdę się łudził. Gdy odzyskał głos, bo mu na chwilę dech zaparło ze wściekłości, ryknął, aż zadzwoniły naczynia:

- Pożalujecie, Orchard, że dożyliście tego dnia!

- Żałowałem już, że nie umarłem - rzekł ranczer. - Wyście zatruli mi życie, wy, sędzio! Charlie, otwórz drzwi! Sędziemu brak powietrza!

Dexter sunął do drzwi, a sędzia wrzasnęła:

- Mam was w ręku! Mam was wszystkich w ręku! Zgniotę jak robactwo! Jesteście otoczeni! Nikt nie ujdzie!

Już maszerował ku drzwiom. Miałem uczucie, że to już koniec, że jesteśmy zgubieni, że to już wojna, wojna, wojna...

Dexter otworzył drzwi. W progu, na tle aksamitnych ciemności nocnych, stała drobna, śmieszna postać szeryfa Tomma Winchella.

Szeryf, jakby nigdy nic, zawołał:

- A sędzia! Jak się mamy? Zdrogi, czy w drogę? Jak się macie, domowi? Zatrzymałem się w drodze i zobaczyłem światło. Myślę sobie, może dostanę kubek kawy. Późny wieczór, czy wczesne rano?

Spojrzałem w okno. Na wschodzie różowiła się już blada smuga świtu.

Byłem niezmiernie ciekawy, jak się rozwiną wypadki, po czyjej stronie opowie się władza.

Sędzia opamiętał się prędko.

- Jakże się cieszę, szeryfie! Co za pożądaný gość!

- Cieszysz się, przyjacielu? W pierwszej chwili spojrzałeś na mnie wcale nieprzychylnie.

- To ze zdziwienia - rzekł Benson i wspaniałym gestem pokazał na Dextera.

- Oto on, szeryfie!

- Kto? - szeryf zamrugał krótkowzrocznymi oczami i zaraz wyjął z kieszeni swoją wieczną lornetkę. - Charlie Dexter, jak Boga kocham! Wy razem?

- To włamywacz, przypuszczalnie morderca, a już na pewno awanturnik, szeryfie - mówił szybko sędzia. - Wdarł się dziś do mego domu. Przyznał się przed tymi oto świadkami. Żądam, żebyś go szeryf aresztował!

- O? - zawołał szeryf. - Co tak srogo? Biedny chłopak!

- Szeryfie, jesteś sługą prawa, a ja żądam sprawiedliwości!

- O! - powtórzył szeryf. - Sprawiedliwość cię nie minie, nie bój się! Czy to twoi ludzie czekają przed domem?

. Sędzia chwilę milczał.

- Tak. Przyszli pomóc schwytać włamywacza.

- Myślałem, że się zbliża napad Indian, czy coś takiego. Albo że goście walą do Orchardów. A, Jenny! Nie zauważyłem cię. Wyładniałaś, turkaweczko! Oczęta jakie niebieskie! A mówiłem, że zbłękitnieją, skoro tylko spojrzysz dwa razy na jednego chłopca. Na kogo spjrzałaś, Jenny?

Jenny nie słuchała. Za bardzo była zdenerwowana.

- Po drugie - wrzeszczał sędzia - ten obwieś o mało nie zamordował Slade'a Livingstona...

- Nieprawda! - krzyknął Slade.

- Ty głupi smarkaczu! - ryknął na niego sędzia.

- Ty stary łotrze! - równie głośno odciął się Slade.

- Cicho, cicho, cicho! - uspokajał szeryf. - Co Charlie Dexter ukradł ze swego, chciałem powiedzieć z twego domu, kochany sędzio?

Sędzia, jak poprzednio, nie znalazł odpowiedzi. Ratując się, przeszedł do kontrataku:

- Szeryf obstaje za tym oszustem! Szeryf przeciwko - Dolinie! Dobrze, zobaczymy, czy szeryf tego nie pożałuje.

- Ja za nikim, ani przeciwko nikomu. Ja bronię prawa, a coś mi się zdaje, że sędzia uwziął się na ludzkie życie.

Szeryf mówił łagodnie, mrugając oczami. Benson pierwszy raz zmilczał. Opanowawszy się, powiedział:

- Widzę, że się nie dogadamy.

- Nie wiem. Jeszcześ mi nie zaproponował dwustu czterdziestu akrów.

A więc słuchał za drzwiami? Benson struchlał.

- Szeryfie, jeżeli to się źle skończy, to nie z mojej winy!

- Ja się nie uchylę od odpowiedzialności - odpowiedział szeryf Winchell i nagle zwrócił się do Dextera: - Podajesz się za Dextera, młodzieńcze. Być może, jesteś nim. Ale czyś Dexter czy Smith, powiedz, co masz przeciwko sędziemu Bensonowi?

Sędzia znów struchlał. Nawet spojrzął szybko na drzwi, jakby pożałował, że wszedł pod ten dach.

- Szeryfie - rzekł Orchard - ja mu zaręczyłem bezpieczeństwo. Szeryf potrząsnął głową.

- Ale ja nie. Coś mi się zdaje, że tu się zanosilo na mord. I coś mi się zdaje, że sędzia dużo wie, co, jak, gdzie i dlaczego.

Nie sądzę, żeby w jakiejś innej cywilizowanej części świata przedstawiciel prawa mógł się odezwać w ten sposób, ale tu był Zachód, w czasach gdy duch Zachodu jeszcze nic nie utracił ze swej siły. Szeryf był człowiekiem do gruntu szczerym.

- Mów, chłopcze - rzekł do Dextera. - Masz coś przeciwko sędziemu Bensonowi?

Z oczu mego przyjaciela strzeliły błyskawice.

Sędzia był duszą i głową wrogiego młodzieńcowi gniazda. Gdyby nie on, farmerzy z Dexterskiej Doliny nie byłiby tak groźni. Osądziłem go, na zasadzie tego, co widziałem, jako człowieka bardzo inteligentnego, lecz pozbawionego cienia skrupułów i stosującego w życiu zasadę, że cel uświęca środki. Czekałem więc na srogie wyzwanie z ust Dextera.

O! dziwo! na twarzy chłopca odbiła się walka. Przeniósł oczy z Bersona na szeryfa.

- Mój przyjaciel, gospodarz tego domu, zaręczył mu bezpieczeństwo - rzekł Dexter. - Póki jest pod tym dachem, nie powiem przeciwko niemu ani słowa, szeryfie!

XXX. BOCZNA ŚCIEŻKA

Myślę, że sędzia wolałby wprost iść do więzienia, niż zawdzięczać coś łaskawości swej ofiary i swego wroga. Stary Orchard zakrzyczał:

- Słyszysz, szeryfie? Dexter to, czy nie?

Winchell wpatrywał się w księcia głępszym wzrokiem, niż kiedykolwiek. Benson ruszył ku drzwiom bez słowa. Wyglądał jak zbity pies i na chwilę zdjęła mnie litość. Był już blisko progu, gdy Slade Livingston zawołał:

- Charlie, jesteś szlachetny, jesteś wielki!

Sędzia, jak rażony w plecy, wykręcił się błyskawicznie i rzucił Slade'owi spojrzenie, które musiało się chłopakowi wryć w duszę na wieki. I już go nie było.

Rzecz nie do wiary; łotr był w naszych rękach, więcej, był w rękach prawa, a przecież pozwolono mu odejść bezkarnie, bez niczego. Szeryf zwilżył językiem blade, spierzchnięte usta. Musiał się czuć, jak kot, któremu umknęła tłusta mysz.

Spojrzał na Dextera.

- Teraz mi chyba powiesz?

- Po co? - odparł ku memu nowemu zdziwieniu książę Charlie. - Gadanie nie rozstrzygnie sprawy.

Winchell skręcił papierosa i przysiadł z westchnieniem na brzeżku krzesła.

- Nie znajdzie się tu jakieś legowisko dla zmęczonego człowieka, pani gospodyni? - zapytał.

Przy domu zadudniły kopyta. W pierwszej chwili pomyślałem: szarża na dom! Jednak nie, tętent słabnął. Oddalali się. Podjechali cicho jak duchy, odjeżdżali otwarcie.

Spojrzelśmy jedni na drugich, nikt się nie odezwał. Potem zakrząt-nęliśmy się przy noclegu. Byliśmy okropnie znużeni. W starym, zrujnowanym domostwie znalazło się miejsce dla wszystkich. Wychodząc, usłyszałem, jak Charlie powiedział do Klaudii:

- Klaudio, gdyby nie twoja odwaga, me wyszłoby na jaw, kto był w tej szajce i sędzia by się nie zdradził ze swoimi zamiarami. W życiu nie spotkałem takiej kobiety, jak ty. Mnie dodałaś odwagi.

Klaudia splonęła ciemnym rumieńcem i w oczach jej zagrała radość. Nocowałem na tapczanie, owinięty w derkę, w izbie od frontu. Nawet nie zdjąłem butów. Ledwie się ułożyłem i zamknąłem powieki, już spałem. Pierwszy raz mi się to zdarzyło od czasów dzieciństwa. W sennych rojeniach widziałem ciągle postać dziewczyny, odchodzącej w dal, widmowo mglistą, a przecież widoczną jasnością, która biła nie z drzwi domu, lecz od niej samej.

Obudziłem się po południu z ciężką głową, ale lodowata woda postawiła mnie z miejsca na nogi. Poczułem się niezwykle rześki i głodny jak zwierz.

Gospodyni dała mi jeść. Dextera nie było. Pojechał na spacer z Jenny, Klaudią i - Slade'm Livingstomem!!!

- Wielkie nieba! - zawołałem. - To on już zdrowy? Potrafił dosiąć konia?

- Trochę tam pojeździł, ale wsiadł. Co mu się stało?

Potrząsnąłem głową, uśmiechając się.

- Co by Dexter powiedział, gdybym się wygadał?

- Prawda! - pokiwała głową. - Niektóre rzeczy mają prawo wiedzieć tylko królowie i książęta. Co się tu dopytywać? Ale on wczoraj mężnie stawał, jak bohater! I są tacy, co śmia wątpić, że to nie książę Charlie!

Ja przynajmniej przestałem wątpić, bo instynktownego niedowierzania nie biorę pod uwagę.

Oczywiście, w domu panowało poruszenie. Orchardowie rzucili Dolinie rękawicę, która została podjęta, i trudno było przewidzieć, co z tego wyniknie.

Orchard nie przyznawał się do żadnych obaw. Stara Lizzie przeciwnie; dowodziła, że sędzia Benson nigdy jeszcze nie skapitulował, że w swej zaciętości nie zostawi kamienia na kamieniu... Ludzie, którzy nie cofną się przed morderstwem, mają straszliwą przewagę nad tymi, którzy grają w odkryte karty. Mieliśmy jednakże tę pociechę, że szeryf choć nie uznał wyraźnie Dextera, to przecież sprzyjał raczej jemu, niż Dolinie. Strach przed prawem, którego

sędzia dotąd nie miał nigdy przeciwko sobie, mógł też dużo zdziałać. Ja sam zwróciłem na to uwagę i domownicy byli skłonni przyznać mi słusność.

Szeryf odjechał tropić Scorpia, czy też anonima, podszywającego się spod krwawą sławę tego groźnego mordercy.

Znaleźć Scorpia było dla szeryfa najważniejszym zadaniem, dla Dextera również. Charlie przysiągł, że nie będzie zabiegał o swoje sprawy, póki nie pomści Ansona i zaiste można było wierzyć, że dotrzyma przysięgi. Do domu sędziego wdarł się jedynie w celu zdobycia dowodu i jakichś danych, które by go naprowadziły na trop Meksykanina.

Młoda czwórka wróciła o trzeciej z wieścią, że Dolina jest w pogotowiu bojowym, wszędzie kręcą się jeźdźcy, wszędzie widać jakąś czujność, jakby się czegoś obawiano, czy coś knuto.

Charlie powziął decyzję dla mnie szczególnie ważną. Oświadczył, że skoro szerszenie się ruszyły, powinien mnie odstawić do Monte Verde. Próbowałem go przekonać, że pojedę chętnie sam - nie chciał słuchać. Pewnie wyczuł, że w głębi duszy byłem w strachu. Ostatecznie rozumiałem, że zbyt ściśle zawikłałem się w jego sprawę, żeby nie obudzić nieprzychylnego zainteresowania Doliny..

Za dużo już wiedziałem. Za dużo widziałem. Wymknąwszy się w bezpieczne miejsce, mogłem narobić szkody samym opowiadaniem o przejściach swoich i Dextera, a może nawet wywołać okropny skandal nieobliczalny w skutkach dla Bensona i spółki. Dostatecznie już ich poznałem, żeby mieć pewność, że mnie zastrzelą.

Sprawa leżała w znacznej mierze poza zasięgiem prawa. Charlie Dexter nie miał dość przekonujących dowodów swojej tożsamości dla sądu, chyba, żeby wymusił zeznania od któregoś ze sprawców rzezi sprzed lat dziesięciu. Aby do tego nie dopuścić, podła zgraja była gotowa zamordować nas obu i potem zaryzykować przeprowadę z władzami. Przecież byłiby sądzeni w hrabstwie, gdzie większość sędziów przysięgłych jest spośród ich popleczników.

Mord był dla nich poniekąd czymś łatwiejszym od kradzieży! Ku mej radości Dexter nie zgodził się puścić mnie samego. Oddaliśmy swoje konie Orchardowi, a on w zamian wybrał dla nas dwa najlepsze podjezdki, jakie miał. Ludzie Zachodu zapatrują się na ogół na konie swoiście, nie jako na piękne, mądre zwierzęta, godne miłości, ale jako na maszyny, utrzymywane nie dla wygody lecz w celu walki z ciężkimi drogami. Stary Orchard żywił te same zapatrywania, toteż jego stajnia zawierała bez wyjątku brzydkogłowe, twarde w pysku munstangi o wypukłych grzbietach i owczych szyjach. Wąskie, spadziste zady i duże brzuchy nadawały im w dodatku do wyżej wymienionych cech wygląd karykatur.

Dwa najlepsze, wybrane dla nas, odznaczały się taką samą urodą, tylko, że były szczególnie wytrzymałe i rączne. Musiałem powiedzieć Dexterowi, że jeżeli draby sędziego natkną się na nas na drodze, to na tych szkapach im nie ujdziemy. Przyznał mi, że możemy się spotkać z niebezpieczeństwem, ale bronił szkap.

- Lepsze one, niż się zdaje na oko.

Pożegnaliśmy się ze wszystkimi na ranczo prócz Klaudii, która zabrała się z nami. Klacz jej, śliczna, gniada, ognista, szła całą drogę w lansadach. Jednak nim powiem, co było dalej, muszę się jeszcze zatrzymać na scenie pożegnania.

Orchardowie, Jenny i Slade wyściskali mnie mocno za ręce, wśród wynurzeń radości, że mnie poznali i zaproszeń jak najczęstszego nawiedzania ich progów. Serdeczność ich naprawdę szczerą wydała mi się zagadkowa. Dopiero na drodze w siodle przyszło mi na myśl, że zasłużyłem sobie na te przyjacielskie objawy tym, że stanąłem po stronie Dextera, który niewątpliwie powiedział im o mojej bezinteresowności.

Jechałem z pochyloną głową i zasepionym czołem. Żał mi było, że jadę z Dexterem ostatni raz i że go prawdopodobnie więcej nie zobaczę.

Poradził mi - i mądrze radził - żebym wyjechał z Monte Verde, żebym w ogóle wrócił na Wschód. Gotowałem się go posłuchać, ale serce bolało mnie z niewiadomego powodu.

Charlie był dla mnie świeżym znajomym, ale patrzyliśmy razem w twarz śmierci, a to zbliża ludzi. Przywiązałem się do niego. Przywiązałem się również do Klaudii.

Oglądając się na młodą parę, dostrzegłem coś, co mnie jeszcze bardziej zasmuciło. Rzecz była oczywista. Charlie zakochał się. Patrzył na nią głębokim, rozradowanym wzrokiem, pieścił spojrzeniem, tulił pragnieniem.

Kludia, szczerą i otwartą, jak to szlachetna dziewczyna, nie udawała fałszywie obojętności, nie grała roli ściganej zwierzyny, po to właśnie, by ją goniono, nie robiła oka, nie flirtowała głosem, uśmiechami i spojrzeniami. Patrzyła mu prosto w oczy, nie kryjąc się z tym, co czuła. Była, rzecz można, nieustraszoną. Podziwiałem ją, jak nigdy żadnej kobiety. Miała w sobie siłę górskiego potoku i kryształową czystość jego wód.

W pewnej chwili, gdy Charlie strzelił dowcipem, zaśmiała się serdecznie i wyciągnęła do niego rękę i przez jakiś czas jechali strzemię w strzemię złączeni dłońmi, tak jak byli już złączeni duchem.

A mnie było smutno, bo przecież nad tym chłopcem wisiała ciemna chmura, która mogła go pochłonąć lada godzina, w pierwszym dniu wyznanej i odwzajemnionej miłości.

Droga szła pod górę i Kludia zaczęła nastawać, żebyśmy skręcili w jakąś boczną ścieżkę, wijącą się przez pola i prawie całkowicie osłoniętą drzewami, a więc bezpieczniejszą od gościńca.

- Ależ oni muszą wiedzieć o tej ścieżce i wiedzą, że ty o niej wiesz - powiedział książę Charlie.

Dał się jednak przekonać, choć dowodził, że właśnie najbezpieczniej na otwartej drodze, bo nieprzyjaciel zawsze liczy na ukradkowe metody.

Wjechaliśmy w dość wąski parów o spadzistych ścianach, wysokich na jakieś dwanaście stóp. Dziwny niepokój ścisnął mnie za serce. Ledwie ujechaliśmy kilkadziesiąt kroków, koń jakiś zarżał za nami i raptem umilkł, jakby ręka jeźdźca zdusiła go za chrapy.

XXXI. PUŁAPKA

Dexter szybko się zorientował co się stało.

- Prędko, Klaudio, prędko! pnij się na krawędź! Zamknęli oba ujścia, wąwozu!

Zahuczało mi w głowie. Zamknęli oba ujścia wąwozu! Zaiste nie mogli wymyślić lepszej pułapki! Klaudia nie krzyknęła, nie postawiła się okoniem. Nie, posłusznie, jak żołnierz, wykręciła klacz do ściany.

Lecz stok był zbyt stromy, by można się było wspiąć w prostej linii. Klacz, zwinna jak kot, jęła się drapać powoli na ukos. Klaudia przechyliła się zrećznie, by jej to ułatwić. Nagle, obejrzawszy się, zobaczyła, że nie jedziemy za nią.

Chętnie byłbym za nią podążył, lecz Dexter przytrzymał mnie za cugle.

- Będą strzelać za nami. Niech ona będzie bezpieczna!

Nie byłem taki rycerski ale choć dygotałem ze strachu, nie okazałem nieposłuszeństwa.

- Z powrotem! Szybko! Jedyna nasza nadzieja! Początku wąwozu nie obsadzili tak silnie, jak końca! Za mną, przyjacielu!

Chcąc nie chcąc, musiałem jechać za nim. Mój mustang, widząc, że towarzysz pod siodłem Dextera, zawrócił, rzucił się w pościg tak gwałtownie, że o mało mnie nie zrzucił. Uchodziliśmy z życiem. Kula świsnęła mi nad głowę, ramiona zgarbiły się tchórzosko, serce zmartwiało.

Trzymając się mocno kolanami, nachyliłem się ku grzywie. Dexter siedział prosto, kierując konia jedną ręką, bo w drugiej trzymał ciężki kolt. Taka odwaga natchnęłaby męstwem kłoc drzewa. Nabrałem słabej nadziei, że zdołamy ująć. Raptem, w ślad za pierwszym, huknęło sześć strzałów.

Jazda za Klaudią, czy też w górę wąwozu skończyłaby się dla nas niechybną śmiercią. Wiedzieliśmy, że do dziewczyny nie będą strzelać, że dadzą jej wspiąć się po osypującym się zboczu i puszczą wolno do Monte Verde.

Zakręt parowu skrył nas przed oczami zasadzki i poza zasięgiem strzelb. Echa salwy jeszcze grały wśród wysokich ścian. Konie gnały w dół z przyśpieszoną szybkością. Może właśnie ta szybkość mogła nas jeszcze uratować.

Nie wiem, czemu to przypisać, ale w tej ciężkiej chwili, myśl moja była zajęta wyłącznie sędzią Bensonem, Widziałem przed sobą jego twarz w dużym powiększeniu, niby ogromną, szkarłatną wizję, naznaczoną na czole symbolem Skorpia. Może mi się to przywidziało, może był to objaw telepatyczny z dziedziny zjawisk dotąd niewyjaśnionych. Wiem tylko tyle, że przesłoniło mi to wzrok na podobieństwo czerwonego oparu i znikło w pędzie, równym szybkości mego konia.

Rzeczywistość pochłonęła widmo. Skały i zarośla przed nami zionęły ogniem.

Użyłem błędnego wyrażenia, bo w zasadzce było niewielu ludzi. Ilu - dotąd nie wiem, ale na pewno znacznie mniej, niż się mogło zdawać.

Niewątpliwie byli zaskoczeni. Gwałtowna strzelanina w górze wąwozu musiała im dać do myślenia, że chcemy się tamtędy przedrzeć. Może biegli zobaczyli nasz koniec, bo gdyśmy minęli ostatni zakręt, zza skały wypadł człowiek i zaczął się pospiesznie spuszczać na dno parowu. Drugi już pędził prosto na nas.

Może strzelanina zagłuszyła tętent naszych koni, W każdym razie obydwaj wrzasnęli na nasz widok ze strachu i zdziwienia i rzucili się szukać kryjówki.

Jednocześnie, jak już powiedziałem, z krawędzi otworzono na nas ogień.

Dexter strzelił, i kolba szarpnęła od siły wybuchu. Na pół stał w strzemionach, widocznie dla łagodzenia podrzutów. Ja, gnając za nim bez broni, w śmiertelnej trwodze, uczepiony kurczowo cugli, pomyślałem mimo woli, że ten człowiek urodził się za późno, że powinien być żyć w wiekach średnich i przewodzić w bitwach szeregom zakutych w stal rycerzy.

W odpowiedzi na jego strzał rozległ się wrzask, podobny do skowytu trafionego kojota.

Dexter strzelił drugi raz i nagle zza głazu podniósł się wysoki człowiek i, o dziwo! zaczął schodzić po pochyłości wielkimi krokami, wyciągając przed siebie ramiona, jak ślepiec. Pomyślałem, że zwariował. Wyglądał, jak opętaniec-czarownik, rzucający uroki. Miał góralską modą długie włosy, które powiewały na wietrze. Długa sekunda upłynęła, nim pojąłem, że to druga kula Dextera tak mu dogodziła. Nie wiedział, co czynił. Rzecz by można, szedł na spotkanie śmierci.

Widziałem, jak pochylił się w przód i więcej nic, gdyż rozpęd mustanga poniósł mnie dalej.

Strzały umilkły. Myśliwi zlekli się zwierzyny. Nigdy nie spotkałem lepszego strzelca od Dextera, nigdy nie słyszałem o świetniejszym. Gnając co koń wyskoczy, umiał trafić celnie w każde ramię, czy nogę, która wychyliła się zza skały.

Wypadliśmy z wąwozu na bezpieczne faliste pola.

Czyżby bezpieczne? Wszystko zależało od szybkości naszych rumaków. Wymknęliśmy się z pułapki cudem. Gdyby nie to, że koń zarżał, gdyby nie to, że Dexter umiał się błyskawicznie orientować w niebezpieczeństwie, gdyby zamiast zawrócić, gnał dalej albo próbował się wspiąć na stok za Klaudią, byłoby po nas.

W parowie świeciło słońce, a przecież, gdyśmy wypadli na otwarte pole, wydało mi się, że zostawiłem za sobą mroczny tunel. Pęd wiatru w twarz powitałem jako największe szczęście, jakie mnie dotąd spotkało.

W mgnieniu oka przelecieliśmy pół mili. Obejrzałem się, i jęk wydarł mi się na usta. Sześciu jeźdźców pędziło za nami w dół pochyłości, a zza drzew ukazywało się ich coraz więcej. Miałem dziwne uczucie, że jesteśmy dwoma silnymi magnesami, za którymi suną żelazne opilki.

Piękny to był widok, jeźdźcy na świetnych koniach, migający na tle zieleni, z pasmem gór w głębi. Widok, który niósł zgubę. Zwłaszcza szybkość długonogich wierzchowców pogoni ścięła mi serce zimnym strachem.

Spojrzałem na Dextera. Zwalniał biegu!!! Uczyniłem to samo, bo wiedziałem, że on wie, co robi i że w takiej opresji lepiej zaufać jego głowie, niż swojej. Mimo to zląkłem się, że oszalał.

Obejrzawszy się za siebie kilka razy, kiwnął głową.

- Przytrzymamy ich.

- Nie dościgną nas? - zapytałem trwożnie, jak dziecko.

- Nie. Mają zmachane konie.

Jak mógł poznać na taką odległość?

Skręcił między skaliste wzgórza, gdzie jechało się strasznie ciężko. Mustangi to wpadały w wyrwy, to wyskakiwały na skały, niby łodzie na wzburzonym morzu. Teraz dopiero oceniłem ich nadzwyczajną wytrzymałość. Okropny ten teren nie przeszkadzał im ani trochę. Po półgodzinnej jeździe pościg zaczął zostawać w tyle.

Doznałem szczególnego uczucia. W ciągu godziny dwa razy uznałem się za zgubionego: raz w parowie, raz na błoni. Teraz poczułem nagle, że jesteśmy niezwycięzeni, a raczej, że Dexter jest niezwycięzony, a ja pod jego skrzydłami najzupełniej bezpieczny. W tej chwili byłbym z nim wstąpił śmiało w jaskinię lwów.

Charlie nie okazywał szczególnego rozradowania. Nawet się nie zarumienił. Ciągnęliśmy cierpliwie zbałwanionym morzem pagórków, wolnym kłusem.

- Powiedz mi, Charlie, po czym poznałeś, że ich konie już się zdążyły zmęczyć?

- Ależ to proste! Migotały w słońcu jak metal, to znaczy, że były zgrzane, a zatem musiały odbyć długą drogę - w marszu do parowu. No, jakże, zostały tak prędko w tyle!

- Tak, ale oddaliliśmy się od Monte Verde, a jak tu wracać gościńcem?

- Nie da się. Pociągniemy okrężną drogą górami. Widzisz pan tamtą rozpadlinę?

XXXII. UJEŹDŹACZ

Między szczytami znaczyła się rzeczywiście wąska wklęsłość, której jednak nigdy bym nie wziął za przełęcz. Charlie wyjaśnił mi, że się nie mylę, że to nie przełęcz, lecz po prostu dostępniejsza połąć gór.

Krajobraz zmieniał się charakterystycznie. Na bujnej łące pasły się stada krów. Tu i ówdzie w kotlinach, a nawet na stokach rosły gajami piękne drzewa. Na lewo w dole płynęła rzeka niewiarygodnie srebrzysta. Przeciwległa strona doliny tonęła w delikatnym cieniu. Błękitna

mglistość wypełniała doliny i parowy; wyniosłe wierchy jaśniały w górze na podobieństwo wieżyc.

Długo jechaliśmy, nim nam się nadarzył człowiek. Okrążaliśmy wysoki las, gdy nam się ukazał jeździec, borykający się z koniem.

- To dopiero patałach! - zauważyłem.

Koń dawał susy w górę i opadał ze straszną siłą, jeździec chybotął się na boki wśród wstrząsów. Zdawało się, że lada chwila wyleci z siodła.

- Ty byś tej bestii dał radę, jak nic - rzekłem do Dextera. Potrząsnął głową.

- Podłe konisko, okropne - odpowiedział - a ten jeździec niezwykle człowiek. Założyłbym się.

Zrobiłem wielkie oczy. Czyżby się chłopcu zmąciło w głowie? Było to całkiem możliwe. Starszy mógł oszaleć po takich sukcesach.

- Skąd wiesz, że on niezwykle człowiek?

- Proszę mu się przypatrzeć?

- Przecież patrzę - fuknąłem.

- I cóż pan widzi? Łachmaniarza na rumaku wartości dwóch tysięcy dolarów?

Dobrze powiedział. Jeździec rzeczywiście wydawał się obdartusem. Na plecach płowego kubraka między łopatkami widniała duża ciemna łata. Co do konia, to było to rzeczywiście olśniewające cudo.

- Jakim sposobem taki człowiek znalazł się na grzbiecie takiego konia?

- Może ukradł - odrzekłem.

- Koniokradzy rzadko zaglądną do Dexterskiej Doliny. Kto by zresztą kradł konie w biały dzień? Takiego ogiera nikt by nie trzymał na otwartym pastwisku.

Zbliżaliśmy się prędko, gdyż ogier kręcił się w kółko. Siłę zdawał się mieć niespożytą, wściekłość jego wzrastała. Ale kiedy byliśmy już na odległość rzutu lassem, stanął nieruchomo, jak posąg, tylko lśnienie migotliwej jedwabistej sierści zdradzało że drży. Spłaszczony uszy upodobniły szlachetny łeb do węzowego. Czart to był w końskiej skórze, ale zaraz spojrzawszy na jeźdźcę, zapomniało się o koniu.

Zdarzają się ludzie ohydnie brzydacy. Każdy prawie chowa w pamięci jakąś poczwagę, która go nachodzi w myślach, jak mara. Jedni nie znoszą wiedźm z orlimi nosami, inni znów małych rysów. Ale pewnie gdyby sto osób, mężczyzn, kobiet i dzieci ujrzało naraz tego człowieka, każde okrzyknęłoby go najwstrętniejszą maskarą, jaką świat widział.

Jednak po pierwszym wrażeniu, może dlatego, że tak gwałtownym, strach mijał. Nie chciało się wierzyć, że taka okropność mogła być człowiekiem.

Patrząc, doszedłem do przekonania, że to nie wrodzona brzydota, że może on kiedyś był całkiem przystojny. Aż mnie dreszcze przeszły, gdy to pomyślałem, co się z nim porobiło! Najwidoczniej koń kopnął go w twarz, lub stratował. Kopyto złamało nos i zmiażdżyło usta. Z nosa została krótka, skręcona chrząstka, jak po jakiejś strasznej chorobie, z ust czerwonobiaławe strzępy, bo wargi pościągały się w białawe, miejscami zgrubiałe blizny. Końce podkowy ugodziły obok lewego oka i pod prawym. W policzku było jeszcze widoczne głębokie wgniecenie. Oczu nie sposób opisać. Jedno otwierało się nadmiernie szeroko, wprost wyskakiwało z orbity; drugie, skrzywione ukośnie, było przymknięte i tylko chwilami mętnie błyskało. Widocznie powieka nie mogła się podnosić.

Jednym słowem ludzka twarz zamieniła się w ohydłą maskę. Czuję, że nie oddałem grozy tej szpetoty. Nie potrafię. Powiem tylko, iż przechodziła ona wszelkie pojęcie.

Włosy miał ten człowiek białe. Nic dziwnego, że przedwcześnie osiwił. Mieć taką twarz, Boże! Za to reszta ciała była wspaniała, młoda, atletyczna! Takich ramion, tak pięknie sklepionej klatki piersiowej można było szukać i nie znaleźć. Trzymał się na koniu, jak posąg. Nie wiedziałem, czart to, udający człowieka, czy człowiek, udający czarta. W obu wypadkach z powodzeniem.

Dexter pozdrowił go skinieniem ręki i słowem zachwyty dla ogiera, który, zlany potem, błyszczał w słońcu, jak bajeczny twór, utkany z blasku.

- Cudna bestia! Brzydal wzruszył ramionami.

- Koń, jak to koń - powiedział.

- O, nie! on wart dziesięciu!

Nieznajomy uśmiechnął się, jeżeli skurecz tak potwornie pokiereszowanej twarzy można nazwać uśmiechem.

- Bywa taki, co wart dziesięciu diabłów. Ten jest diabeł, syn diabła i będzie płodził diabły.

- Syn diabła! To znasz, przyjacielu, jego rodowód?

- A jakże. Miałem jego rodzica.

- Rasowy koń?

- Gdzież tam. W nim nie ma kropli szlacheckiej krwi. Mustang, zwyczajny mustang, tak jak rodzic.

- Dziki, schwytany?

- A jakże. Nie żadna oswojona hołota. Do licha z kowbojskimi chabetami!

Pokazał na nasze podjezdki. Myślałem, że Charlie się obruszy, ale on się tylko uśmiechnął.

- Nam one wystarczą. Czymże się różni dziki mustang od oswojonego?

- Czym się różni więzień od wolnego człowieka? - odparł brzydal.

- Może to i tak jest!

- Nie może, a z pewnością!

- No, zgadzam się.

- Chwytałeś kiedy konie, bracie?

- Nie. Tyś chwytał.

- Zgadłeś, przyjacielu. Miesiące całe tropiłem diabelstwo. Za jednym uganiałem się półtora roku.

- Nie wzbogaci się człowiek na tym chlebie!/? - rzucił pytająco Dexter.

Nieznajomy uniósł się. Musiał być w gorącej wodzie kąpany.

- Wyglądam to na bogacza? Charlie badawczo mu się przypatrywał.

- Nie. Na bogacza nie wyglądasz.

Tak zaczepny był ten bezceremonialny wzrok, że nieznajomy mógł się obrazić. Jednak nie. Oczy jego duszy wyczarowały obraz dzikiego tabunu na prerii, straszna twarz zagrała życiem.

- Półtora roku goniłem za jego rozwianym ogonem, jak za chorągwią. To był właśnie rodzic tego szatana. Chciałem mieć z niego potomstwo czystej dzikiej krwi. Pół roku zbierałem pogłoski i szukałem, szukałem, robiąc tysiące mil. W końcu trafiłem na trop siwej, klaczy. Widzisz, wziął maść po matce! Nogi stalowe, barwa srebra. Goniłem za nią tylko miesiąc, ale zajeździłem pięć koni!

Nieznajomy zaśmiał się.

Nie jestem czułościowy. Widziałem w życiu dużo nieszczęść i osobiście tyle wycierpiałem, że mogłem się stać samolubem. Kiedy ujrzałem tę twarz, potwornie wykrzywioną od śmiechu, gdy usłyszałem ten śmiech szczery, łzy rzuciły mi się do oczu. Musiałem spuścić głowę.

- Więc zdobycie pary do rozplodu zajęło ci przeszło dwa lata - zauważył Dexter.

- Tak, a na źrebię znów czekałem półtora roku, podczas gdy dłużnicy ścigali mnie po całej krainie!

Mówił przez zęby, jakby warczał.

We mnie zaś wezbrał szacunek. Wydał mi się mniej poczwarny. Serce ludzkie wrywa się do bliźniego, który goni za pięknym zwidem, tak jak ten człowiek gonił za ideałem konia. Był karykaturą ludzką, ubranie wisiało na nim w strzępach, a przecież mu zazdrościłem. Ogier, choć nieokiełznany, przedstawiał wartość skarbu. Ten wędrowiec, ten nędarz, opętany jednym pragnieniem, sprawił, że cudna bestia ujrzała światło dzienne.

Dlatego mu zazdrościłem. Dexter, jak mi się zdawało, spoglądał na niego ze szczególnym respektem.

Przyjacielu, potrzeba nam dobrego, rączego konia. Jak ten się nazywa?

- Compadro.

- Łagodne miano dla takiego czarta. Jest cena na niego?

- O, na wszystko na świecie jest cena - odpowiedział koniarz. - Daj mi diament tak wielki, jak on, a będzie twój!

XXXIII. OPOWIEŚĆ NIEZNAJOMEGO

Ja się uśmiechnąłem. Charlie nie.

- Słuszna cena - powiedział - jeżeli człowiek musi powierzyć życie czterem kopytom. Ale wiesz, przyjacielu, on może ci kiedyś uciec.

- Może. O! wtedy nikt go nie schwyta. Za dobrze zna ludzi, żeby wpaść znów w ręce, gdyby raz się wyrwał na wolność. Widziałeś jego oczy?

Bestia miała ślepią jastrzębia. Czy uniosła powieki, czy spojrzała ukradkiem, dzikie źrenice miały żywy ogień.

- Zawsze wierzga w galopie - rzekł nieznajomy.

- Ale nigdy cię nie zrzucił?

- Setki razy - w korralu. Ale przejrzałem jego sztuczki i daję mu radę. Chociaż jak zacznie szaleć, muszę z nim walczyć.

- To widać - potaknął Charlie.

Stał z podniesioną głową, patrząc na piękne zwierzę, jak na cudną kobietę. Nigdy nie widziałem w jego twarzy takiego pożądania.

- Możesz sam polować na dzikie konie - rzekł nieznajomy.

Charlie kiwnął głową, pytając:

- Mieszkasz tu w dolinie?

- Co, ja bym się dusił w takim podwórku?

- Przeciągasz tędy?

- A ty po co tu ściągnąłeś - zapytał kowboj.

- Co to ma do rzeczy? - ostro odrzucił Dexter.

- To, przyjacielu, że jedna przyczyna sprowadziła nas w te strony.

Podskoczyłem w siodle. O! bo było się czego zdumieć. Ja wiedziałem, co sprowadziło Dextera.

- Jakaż to przyczyna? - pytał Charlie.

- Jesteś Dexter?

- To mnie znasz?

- Na kogo innego polowałyby Dexterska Dolina?

- No, więc, zasłyszaleś o mnie, ale skąd wiesz, że dziś na mnie polowali?

- Wasze konie ociekają potem, a na twarzy maluje się triumf.

Ta naiwna przebiegłość zrobiła na mnie silne wrażenie.

- Umiesz patrzeć - uśmiechnął się Charlie.

- Dziękuję - odparł nieznajomy i ziewnął, jakby mu się nagle znudziła rozmowa.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, co mnie sprowadziło w te strony.

- Scorpio - rzekł koniarz.

- O!!! A co ciebie obchodzi Scorpio?

Nieznajomemu twarz dziwnie się wykrzywiła. Rzecz nie do wiary, ale zrobił się jeszcze brzydszy.

- Co mnie obchodzi szatan? To chciałeś powiedzieć? Chciałem się go pozbyć. Nadaremnie. Chciałem się trzymać od niego z daleka... Teraz gonię za nim, żeby go zabić... Ale cóż, gdy się spotkamy, uśmiechnie się łotr anielskim uśmiechem i znów mu się oddam w niewolę.

Gorączkował się, Oczy dziwnie mu błyszczały. Znów mi się wydało, że końska mania musiała mu się rzucić na mózg.

- Powie czarownik: „Tonio, amigo mio! “ i zapomnę mu mordów, rabunków, kłamstw i obludy. Znów mu zaufam, a on znów ze mnie zrobi durnia. Chyba, że strzelę do niego, nim zdąży otworzyć usta!

Nie, on naprawdę postradał zmysły - myślałem.

Barwa strasznej twarzy stała się jeszcze okropniejsza. Oczy rozplómięte patrzyły na nas, jakby błagały o litość.

- Tak - powiedział Charlie. - Scorpio mnie tu głównie sprowadził. Jedni o tym wiedzą. Inni się domyślają. Ty skąd wiesz?

- Od samego Scorpia. Inaczej bym nie wiedział.

- Oczywiście - pomyślałem.

- To on wiedział od dawna, że ja wrócę? - pytał Dexter.

- O, od wielu dni. Wiedział wszystko. Wiedział, dokąd się udasz.

- Do Monte Verde?

- Tak.

_ To dziwne. Przecież ja powziąłem to postanowienie w sam dzień podróży.

- On tak powiedział: „Przybędzie na skraj doliny i spojrzy na swoją ziemię, jak koń, wytykający łeb nad ogrodzenie pastwiska. Jak koń, co stojąc na nagim gościńcu, patrzy przez ogrodzenie na bujne pastwiska, amigo. On to uczyni. Uda się do Monte Verde, skąd roztacza się widok na Dexterska Dolinę.

- Powiedział ci to?

- Tak, tymi samymi słowy. I pośpieszył do Monte Verde, by cię wyprzedzić.

Dexter spojrzał na mnie bacznie, ja na niego. Sprawa wymykała się z ram zdrowego rozsądku i wiarygodności. Jednak ten człowiek - szalony czy nie - mówił na pozór dorzecznie - mówił o Scorpiu!

- Może pojedziemy kawałek razem? - zaproponował Dexter. - Chyba, że ciągniesz w inną stronę?

- O, mnie wszystko jedno. Po cóż miałbym się z tobą rozstawać? Ty szukasz Scorpia, a on z pewnością ciebie. Jeżeli będę ci towarzyszył, spotkamy się teraz twarz w twarz, a wtedy nie zawiedzie mnie ręka!

Sięgnął błyskawicznie do boku. Jednak Dexter go uprzedził. Koniarz, jakby nie widząc wymierzonej w siebie lufy, strzelił celnie do drzewka, oddalonego o jakieś dziesięć kroków. Nie był to wyczyn magiczny, ale mnie zaimponował. Pień drzewka miał ze trzy cale średnicy, a serce ludzkie jest większe!

Zawstydzilem się trochę, że mój przyjaciel Dexter nie prędzej schował rewolwer, aż uczynił to Tonio.

- Rad będę - rzekł Charlie - zwłaszcza gdy razem spotkamy Scorpia. Czemu go tak nienawidzisz?

- Posłuchaj - odparł tamten i zniżając chrapliwy głos, rozpoczął swoją opowieść, przy czym głowę przechylił w tył i przymknął oczy, jak doświadczony bajarz.

Byłem tak zaciekawiony, że przestałem się niemal oglądać na lasy i wzgórza, z których, jak się obawiałem, mogła wypaść na nas każdej chwili wściekła szarża.

- Widzicie, czym jestem teraz? - zaczął Tonio. - Przed niewielu laty byłem człowiekiem! O, wierz mi, señor, warto wtedy było na mnie popatrzeć. Byłem wysoki, prosty, urodziwy. Kobiety goniły za mną oczami. Mężczyźni mnie lubili. Miałem huk przyjaciół. Nie piłem. Grałem w karty rzadko, raz na miesiąc w dzień wypłaty. Ludzie, gdy do nich szedłem, machali rękami, wołając; „Hej! Tonio idzie Tonio! Będzie wesoło!“ Taki byłem. A teraz - widzicie!

Zwrócił się do nas z wyciągniętymi rękami szczególnym gestem próżnego pytania, jakby wszystkie oczy mogły widzieć straszliwą przepaść, w którą się stoczył. I rzeczywiście. Dziecko mogło to widzieć.

W owe dni szczęśliwe - ciągnął Tonio - moje serce było czułe i łagodne, amigos. Teraz mam stwardniałą dłoń, ale serce jeszcze twardsze. Z winy Scorpia. O, bo to szatan w ludzkiej postaci! Jakże mu mogłem nie uwierzyć, gdy się opowiedział moim przyjacielem? Uśmiechał się uśmiechem dobrego człowieka. Gdyśmy pili razem, mescal smakował mi, jak miód, zaprawiony ogniem. Gdyśmy gawędzili, świat stawał się dla mnie świątynią przyjaźni. Rozumiecie?

- Tak - rzekłem.

Dexter milczał, wpatrzony w ohydną twarz Tonia trochę nieprzytomnymi oczami.

- Nawet moja dziewczyna więcej mnie kochała, gdy Scorpio był ze mną - ciągnął Tonio. - Nie dziwię się. Scorpio był sławny. Zabijał. Przelewał krew ludzką... I nazywał mnie przyjacielem, klepał po ramieniu, wychwalał przed nią. Mówił, że od czasu, gdy mnie poznał, otworzyły się przed nim nowe światy. Słuchałem tych pochwał ze łzami w oczach. Przy tym nie szczędził pieniędzy...

- Krwawe to były pieniądze - sennym głosem wtrącił Dexter. Tonio uderzył się po twarzy, a mnie znów się zrobiło wstyd zachowania się Dextera. Po cóż było ranić serce biednemu Toniowi!

- Krwawe! Ano, krwawe! - dodał ze zgrozą. - Teraz wiem. Wtedy byłem młody, głupi, niedoświadczony! Wtedy widziałem tylko jego wielkość, jego sławę, ludzki podziw... „Jesteś przyjacielem Scorpia“ - mówiono do mnie. „Napij się i opowiedz nam coś o nim!“ Piłem więc i chełpiłem się. Scorpio dawał mi moc pieniędzy. Mogłem go prosić o wszystko, taki był hojny. Nawet mi doradzał co kupować. Moją narzeczoną obdarzałem pięknymi mantylami, brylantami, pierścieniami, wszystkim, czego może pragnąć serce dziewczęcia. Za każdym razem, gdym jej przynosił nowy podarek, pytałem: „Kochana, kiedy się pobierzemy?“ A ona odpowiadała: „Jak wuj Egberto wróci z miasta“. Albo: „Biedna matka chora. Nie wolno mi myśleć o własnym szczęściu“. I tak ciągle odwlekała ślub. Jakież ja byłem głupi! Jaki ślepy! Łzy przyjaźni przesłaniały mi wzrok. Wszystko miałem jak na dłoni, a nie widziałem nic. Zauważyłem tylko, że gdy sam ją odwiedzałem, bywała często milcząca, małomówna... Gdy przychodziłem ze Scorpiem, śmiała się i paplała... W końcu jednego dnia nie zastałem jej. Uciekła. Uciekła ze Scorpiem. Zabrał mi ją. Ukradł mi ją. Złamał mi życie. Złamał mi serce. Cudna jej twarzyczka zaszła mi, jak słońce konającemu, na zawsze!

Mówiąc to, bił się rękami po strasznej twarzy i łzy zalewały mu policzki.

XXXIV. RUMAK

Mniej jest bolesny płacz tłumu kobiet i dzieci, niż rozpacz jednego mężczyzny. Mniej bolesne zawołanie setek kobiet, niż szloch jednego dorosłego mężczyzny.

W Toniu było tyle męskości, taki nadmiar dzikiej odwagi, że gdy taik płakał, prosiłem oczami Dextera, żeby jakoś uciszył tę okropną żalność.

Charlie zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic przykrego czy wstrząsającego. Miał oczy rozmarzone, jakby słuchał baśni.

Bardzo mnie to poruszyło. Miałem znów wątpliwości co do jego osoby. Za dużo w nim było stalowej twardości, za mało ludzkich uczuć. Raptem pożałowałem serdecznie ślicznej, szlachetnej Klaudii.

Tonio opanował swój ból, ale dopiero gdy miu oczy obeschły, zwrócił się do mnie i mówił dalej.

- Oczywiście poprzysiągłeś mu śmierć - wtrąciłem.

- Tak. Ale gdyśmy się znów spotkali, zbyłem wszystko uśmiechem.

- A ona? Była z nim?

- O, nie. Kobieta mnie wyżyje długo z szatanem Uciekła od niego - daleko - sam nie wiedział, dokąd. Rozumiesz? Puścił ją od siebie. Palcem nie ruszył, żeby ją ratować... Ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Powiedział, że nie ma to jak męska przyjaźń, że w porównaniu z tym kobiety są niczym. Z przyjaznym uśmiechem - zaprawiłem mu jadło trucizną. Szatan przestawił talerze, skosztowałem śmiertelnej stawy i o mało nie umarłem. Wtedy poznałem, że w nim jest coś z diabła, że to nie człowiek, jak inni! Ale później znów go polubiłem. Byliśmy ciągle razem. Ludzie zaczęli się mną znów interesować, jako jego przyjacielem. O! całą ncc mógłbym opowiadać o jego czynach i sławie!

- Opowiadał kiedyś co urządził w Dexterskiej Dolinie przed dziesięciu laty? - zapytał Charlie.

- Tysiące razy! - wykrzyknął Tonio. - Opowiadał, jak znaczył drzwi swoim symbolem, ile mu zapłacono, jak po kolei zabijał Dexterów. Naturalnie, że i to opowiadał!

- Dziwne! Nigdy bym nie przypuścił, że Scorpio będzie rozpowiadał o swoich zbrodniach!

- Ha! Co ty o nim wiesz? Jak długo z nim żyłeś? Ile razy siedziałeś z nim przy jednym stole? Ile razy z nim piłeś? Ile razy radowałaś się jego śpiewem?

Dexter skinął ręką, ale twarz jego zdawała się wyrażać powątpiewanie.

- Grywaliśmy w karty - ciągnął Tonio. - Jemu mało było jasnego dnia, przesiadywał nocami. Sypiał dwie - trzy godziny na dobę i miał dosyć. Ciągał mnie za sobą, ale ja zasypiałem przy grze. Przegrałem wszystko, co posiadałem. Ziemię, konie, siodła, odzienie... Raz mówię do

niego: „Manuel, widzisz jak stoję. Mam kubrak na grzbiecie, ale zapłaciłem zań krwawym groszem. Mam pieniądze w kieszeni, ale to krwawe pieniądze. Przecież wiem, jak się bogacisz!“ Bo wciąż mnie wspomagał. Roześmiał mi się w twarz: „Pij, Tonio“ - odpowiedział - „Pij na naszą przyjaźń!“ Cisnąłem szklanką o ziemię, że rozprysnęła się na kawałki, schowałem twarz w dłonie i zapłakałem jak dziecko. Scorpio położył mi rękę na ramieniu, „Jeżeli ja wymówię ci przyjaźń, Tonio, to kto ci będzie przyjacielem?“ - zapytał, Zerwałem się i popatrzyłem po izbie. Wszyscy szyderczo na mnie spoglądali. Wiedzieli, że brałem zapomogi od mordercy, że jadłem, piłem, ubierałem się za jego pieniądze. Byłem w ich oczach gorszy od Scorpia. Jego, choć mordercę, mieli za człowieka godnego poważania. Najwięcej kobiety za nim szalały. Takie są kobiety. W ten dzień poznałem, że jestem osamotniony. Scorpio zniechęcił do mnie ludzi. Zostałem sam! Wyrwałem nóż zza pasa i z wrzaskiem rzuciłem się na niego. „Zabiję cię, Scorpio!“ On tylko się roześmiał. Ba! ręce ma twardsze od żelaza. Uderzył mnie po ramieniu, poczułem dźgnięcie w gardło...

Tu Tonio rozpiął koszulę i pokazał na szyi nad obojczykiem wielką wypukłą białawą bliznę.

- Powiniennem być umrzeć i byłbym umarł z radością, ale Scorpio do tego nie dopuścił. Siadywał przy mnie całymi godzinami i opowiadał o kwiatach, o wiosnie, o dalekich, księżycowych szlakach, o kobietach, tańcu, pięknych koniach, cudnych koniach, wspaniałych koniach, które widywał dzikimi tabunami w górach Meksyku. Znów pokochałem życie. Postanowiłem, że nie umrę, więc nie mogłem umrzeć. Odzyskałem zdrowie, odzyskałem siły. Scorpio zabrał mnie ze sobą i nauczył polować na dzikie konie. Zbudowaliśmy korral. Stało się nieszczęście. Dzikie mustang powalił mnie na ziemię, skopał mi twarz. Scorpio mnie ratował. Opatrzył rany, pozaszywał skórę... Czyniąc to, śmiał się, śmiał, śmiał, jak szalony, konał ze śmiechu...

- Wielkie nieba! - przerwałem. - To rzeczywiście wcielony diabeł.

- Ha! Co ty wiesz? Czyś go widział? Ja go znam. Całą noc czuwał przy moim legowisku. Widziałem go w słońcu i o zmroku i wiem, czym on jest. Wiem, co to gorycz, bo znam Scorpia. Gorączka, którą ani zaszczepił, została w mej krwi na zawsze. Myślałem, że umrą, albo że przynajmniej znieawidzę go raz na zawsze, jego i dzikie konie. Nic podobnego... Pokazał mi cudnego dzikiego ogiera. Świtało, ale poranne blaski nie były tak jasne, jak srebrzysty rumak na szczycie wzgórza. Polowałem na bestię, jak rzekłem, półtora roku.

- Scorpio ci towarzyszył?

- Akurat! Po cóż miałby się obijać po górach urodziwy Scorpio, kiedy mógł adordować, rabować, pić i hulać, a ja cierpiałem głód, zimno i żar słońca. Ale gdy wróciłem z łupem, nie omieszkał się zgłosić.. Zachwycał się koniem, wykrzykiwał, że prócz mnie nikt by nie wytrzymał na szlaku półtora roku. Patrząc mi w twarz, mówił, że przy ludziach powinienem nosić maskę, on jednak nie czuje do mnie odrazy, bo czyta w moim sercu. O! że też niebo zesłało takiego człowieka na ziemię, na moją mękę, na moje nieszczęście! Z jego namowy wyruszyłem zapolować na klacz, bo mnie chwalił, nazywając największym łowcą koni na świecie. Upolowałem klacz, sprowadziłem, cierpliwie doglądałem, póki w końcu nie przyszedł na świat ten oto źrebiec. Podczas gdy ja się trudziłem w korralu, Scorpio, wystrojony jak król, jeździł na moim ogierze, wdzierząc się do kobiet. A one nie miały dla niego słów zachwyty. Łotr! - mówiły - ale wspaniała łotr! Wreszcie doszło między nami do straszliwej kłótni. Kazałem mu się wynosić w świat, krzyczałem, że chcę być wolny, że chcę mieć czyste ręce. Wyśmiał mnie, ale obiecał, że ruszy w świat, tylko pożegna się z przyjaciółmi. No, uwolnił mnie od siebie, ale i mój ogier przepadł.

- Jak to, ukradł go?

- Ludzie przybiegli z krzykiem... Pośpieszyłem na miejsce... Nie chciałem wierzyć... Nie mogłem uwierzyć. Na to nie ma słów... Pobiegłem na miejsce: mój cudny srebrzysty siwek leżał nieżywy. Usiadłem, wziąłem łeb na kolana... Ślepie, choć martwe, jeszcze grały ogniem...

- Wtedy przysięgłeś, że zabijesz Scorpia?

- Tak... Dosiadłem młodego ogiera, choć nieujeżdżonego... Widzisz, jaki jeszcze dziki! Ojciec patrzył tak samo dziko, ale pod koniec już zaczął się do mnie przywiązywać, Przychodził mi do ręki, wspierał łeb na mym ramieniu...

Tonio mówił jak człowiek, który pamięta niebo. Mnie serce się krwawiło nad tym biedakiem, prostakiem, półwariatem...

Spojrzałem spod oka na Dextera. Słuchał z przechyloną niedowierzająco głową, marszcząc czoło.

Naraz stało się nieszczęście, padł grom z jasnego nieba. Biedny Tonio dobrze przepowiedział i słusznie się obawiał. Siwy ogier miał dziką krew.

Na ścieżce podniósł się nagle tuman kurzawy i gdy wpadł w nozdrza siwkowi, ten dał szalonego susa w bok. Tonio, pochłonięty szczęśliwymi wspomnieniami, których miał zaiste niewiele, znalazł się w jednej chwili na ziemi w pozycji siedzącej.

Nawet głupiec by się nie roześmiał, widząc, jak srebrzysty ogier uchodzi cwałem bez jeźdźca, wolny, niedościgły... Wszak Tonio sam powiedział, że skoro raz ucieknie, będzie stracony.

XXXV. KSIĄŻĘ NA KONIU

W chwili gdy ogier porwał się do ucieczki, Dexter krzyknął mi w ucho stłumionym głosem: „Uważaj na Tonia!” i nagłąc mustanga ostrogami, rzucił się w pogoń, odczepiając od siodła prawą ręką zwinięte lasso.

Bezcenny koń Tonia skoczył przez niskie krzaki, mustang za nim. Z ręki Dextera wystrzelił długi, wężowy cień lassa. Pętlica już, już opadała na łeb uciekiniera, gdy ten uratował się zręcznym skokiem w bok. Mustang został beznadziejnie w tyle. Rzec by można pociąg uciekł piechurowi. Gdyby nie Tonio, byłbym pękał ze śmiechu. Ale ten koń był dla niego wszystkim. Podniósł się nieborak z ziemi i stał z dobytym rewolwerem.

- Bacność, Tonio! - Wrzasnąłem, - Nie strzelaj! Jeszcze trafisz w Dextera!

Odwrócił głowę i rzucił mi przelotne spojrzenie, które mogło oznaczać wiele lub nic. Patrzył tak, jakby mnie nie widział.

Tymczasem Charlie ścigał ogiera. Dziki koń, uciekając, trafił na swej drodze na gęsto rosnące topole i raptem skręcił. Może pnie były za blisko siebie, może działała instynktowna końska

nieufność do lasów, może wreszcie płochliwa bestia zlekła się srebrzystego lśnienia liści... Jakkolwiek było, ogier skręcił pod kątem prostym i Dexter, który mimo pierwszego niepowodzenia nie zaniechał pogoni, zawrócił w prawo, żeby mu przeciąć drogę.

Dziki koń gnał z szybkością błyskawicy. Widziałem go w dwóch miejscach naraz, wyciągał się jak długi. Ale mustang, biegnąc krótkim ukosem, dopędzał go. Znów świsnęło łąso. Mustang przysiadł na zadzie, pętlica spadła na łeb i szyję ogiera. Powstrzymałem oddech. Siwosz szarpał wyprężoną linę, która stała się skutkiem wibracji niewidoczna i trzasnęła z hukiem, podobnym do wystrzału.

Ogier się przewrócił, mustang również; trzy ciała, jedno ludzkie, dwa końskie, kotłowały się na ziemi. Myślałem, że jeździec skręcił kark i konie również. Ale nie. W jednej chwili Charlie był na nogach i pędził prosto do ogiera. Ten już się podnosił. Mustang również dźwigał się ciężko z ziemi. Zdawało się, że i człowiek i koń mieli zamiast kości fiszbiny, a zamiast mięśni - gumę. Ogier zdążyłby ujść, gdyby nie to, że był trochę ogłuszony. Potrząsał łbem jak mocno zdzielony bokser. Gdy Charlie go dopadł, dał susa w bok. Mój przyjaciel nie pozwolił się oszukać. W całym pędzie skoczył na siodło.

Naturalnie nie zdążył wsunąć nóg w strzemiona. Ogier prysnął straszliwie wysoko w górę, a mój Charlie wyleciał jeszcze wyżej w powietrze. Ogier grzmotnął kopytami w ziemię, mój Charlie, przypadkiem czy umiejętnie, opadł na siodło.

- Cud! Cud! - wrzeszczał Tonio, odchodząc od zmysłów.

Z mego punktu widzenia był to cud, ale żeby taki zawołany ujeźdźca jak Tonio zdumiewał się... Od tego momentu patrzyłem to na walczącego konia, to na właściciela. Przypomniałem sobie, że Dexter kazał mi uważać na Tonia. Rzeczywiście zachowanie się Meksykanina było godne uwagi. Szalejący siwek posuwał się w naszą stronę. Tonio znów dobył rewolweru.

- Słuchaj, Tonio! - wrzasnąłem. - Nie strzelaj! Zamiast w konia możesz trafić w Dextera a zresztą widzisz, że bestia nie da rady!

- Koń go zabije! - wydzierał się Tonio. - Patrzaj! Och! Patrzaj! Ogier zataczał niewiarygodnie szybkie koło. Siła odśrodkowa mogła w każdej sekundzie rzucić jeźdźcem o ziemię. Czort koń, nim by pomknął w góry, mógłby go najpierw wziąć pod kopyta.

W końcu Charlie zolał jakoś odzyskać pozycję pionową. Wtedy ogier stanął dęba i runął w tył, by go przygnieść. Straszliwy to był widok, jakby się góra waliła. Myślałem, że z mego przyjaciela zostanie miazga.

Nie! Cudowny chłopak zdążył zeskoczyć i gdy koń się zrywał, Skoczył znów na siodło. Była to zaiste walka tygrysa ze smokiem czy innym potworem z baśni!

Jednak jak już mówiłem, nie mogłem poświęcać temu niepowszedniemu widowisku całej uwagi. Tonio też był godny ciekawości. Biedaczysko miotał się w ataku, bliskim hysterii. Jego skarb, jego bezcenny koń walczył o wolność z człowiekiem, którego mimo wszystko nie mogłem jako jeźdźca postawić wyżej od Tonia. Meksykanin znał sztuczki i kruczki swego ulubieńca i najoczywiściej nie wierzył, aby inny człowiek mógł na nim długo usiedzieć. Więc choć kochał dziką bestię, nie chował rewolweru. Parę razy myślałem, że strzeli, by uratować Dextera od strasznej śmierci, ale go zawsze powstrzymywałem krzykiem. Gdy kłęb

kurzawy przybliżał się ku nam, Tonio rzucał się naprzeciwko, jakby mógł coś pomóc gołymi rękami.

W końcu wybuchnął modlitwą, inwokacją i hymnem pochwał i rad.

- Trzymaj się, amigo! Wywróci się! O! Boże na wysokościach, miej go w swojej opiece! Zrzuci cię! Nie! Wszyscy święci ratujcie go! Hej! silniej! Pysk do piersi! Odwagi! O, dzielny młodzieńcze! Pies Compadre - morderca! hiii! juuuz! Nie, nie! Ostroga! Ostroga! Naprostuj go! Chce kołować! O! dzielny chłopcze! O! królewski synu! Patrzaj, patrzaj! No!

Przy ostatnich słowach Tonio, upuściwszy rewolwer, zwrócił się do mnie z podniesionymi rękami, jakby z błaganiem o zachwyt. Wreszcie puścił się w tany, wydając istic obłąkańcze wrzaski.

Dexter najwyraźniej przełamywał opór straszego hamana. Nie wątpię, że walka wzięłaby inny obrót, gdyby siwy czart nie zmęczył się zapasami ze swoim prawdziwym panem. Teraz siły go opuściły, albo iaczej zaniechał na chwilę szamotania w oczekiwaniu lepszej sposobności.

Zlany potem, zbliżał się do nas, wcale nie potulnie jak jeniec, a jakby z przyczajoną furią. Pomyślałem, że gdybym miał do wyboru jego i bengalskiego tygrysa, to naprawdę nie wiedziałym, co wybrać.

Dexter zsiadł, oddał cugle Toniowi i poszedł schwytać swego wierzchowca, co zrobił bez trudu. Następnie otrzepał się z kurzu i trawy... Był blady, z nosa ciekła krew, ale na twarzy malowało się zwykle opanowanie. Dziwił się gwałtownym pochwałem Tonia.

Ten, znów siedząc w siodle, szczęśliwy, jakby się dostał do nieba, klepał konia po mokrej szyi, kłął, wzywał świętych, obiecywał bestii baty i furę owsa. Nie wiem, czy więcej się cieszył z odzyskania konia, czy z jego wspaniałej walki o wolność.

Jeszcze dziwniejsze było zachowanie Dextera, który w dalszym ciągu trzymał się od nas z daleka i spoglądał na Tonia z jeszcze większą podejrliwością.

Szczęśliwy Tonio, przesadzając w pochwałach, nazwał Dextera jedynym caballero na świecie. Charlie w odpowiedzi wzruszył ramionami i dalej patrzył na niego jak na dziwoląga. Pod wrażeniem, że przyczyną tego jest brzydota biedaka, wrzałem prawdziwym gniewem.

Dzień miał się ku schyłkowi. Krowy stały w rzece po brzuchy. Słońce skryło się za szczyt góry, ale do zachodu miało jeszcze godzinę z okładem i niebo jaśniało gorącym błękitem.

Dexter zatrzymał się, żeby przyciągnąć popręgi. Na jego ukradkowy znak i ja wstrzymałem konia. Tymczasem Meksykanin śpieszył przodem.

Majstrując przy rzemieniach, Charlie mówił z pośpiechem:

- Dean, na wieczór chciałbym zostać w tej dolinie. Zdaje się, że wyduszę z niego opowieść o rzezi sprzed lat dziesięciu, ale potrzebuję świadka i pan nim będziesz. Tylko w tym sęk, że wobec ciebie Tonio nie będzie chciał nic mówić.

-Dotąd się nie krepował.

- Nie będzie mówić. Możesz mi pan wierzyć. Niedaleko stąd jest szałas. Zaproponuję mu wspólny nocleg. Zgodzi się. Panu poradzę jechać do Monte Verde. Wyruszysz, zawrócisz, zajedziesz za szałas, podkradniesz się na odpowiednią odległość. Masz ołówek i papier. Jeżeli się jeszcze nie ściemni, będziesz pisał, co usłyszysz.

Otworzyłem szeroko oczy, ale skinąłem głową. Dexter wsiadł i zrównaliśmy się z niecierpliwie wyczekującym TONIEM.

XXXVI. NA PODSŁUCHACH

Kręte plany mają to do siebie, że wydają się co najmniej z lekka podejrzone, toteż żądanie DEXTERA sprawiło mi dużą przykrość. Tak się już zaplątałem w jego sprawy, że nie mogłem się cofać. Postanowiłem więc słuchać go, nie bacząc na swoje uczucia.

Jechaliśmy dalej, ja byłem zły. Niebawem różowo-złote blaski na zachodzie obwieściły nam koniec dnia. Rozważając w myśli wszystko, co mi mówił CHARLIE, coraz mocniej się do niego rozczarowywałem. Nie miałem zacięcia do knoń i szpiegostwa i nie pragnąłem takich zdolności. Lubiłem ludzi otwartych i szczere postępowanie. Czułem, że chłopak pakuje mnie w brzydką awanturę i gniew mój wzrastał.

Dojeżdżaliśmy do umówionego szałasu, stojącego między dwoma pagórkami, na tle ciemnego gęstego lasu, z chryzą potokiem z boku. Kiedyś prawdopodobnie ktoś tu chciał założyć ranczo, gdyż w pobliżu wałały się resztki ogrodzenia i czerniała plama pogorzeliska po spalonej szopie. Jednak ta ruina nie była w oczy, tak bujnie krzewiły się zarośla. Ziemia nie poznała pługa. Nawet niewiele bydła pasło się w tej stronie. Toteż las zagarniał, co było jego.

Dexter natychmiast zwrócił się do TONIA z propozycją zanocowania w tym miejscu. Meksykanin zgodził się z ochotą, chyba dlatego, że me miał żadnych zapasów żywności. Ledwieśmy zsiadli, Dexter zaczął mnie naglić do dalszej drogi, żebym przed zapadnięciem nocy przebył przełęcz i już dalej jechał spokojnie do Monte Verde. Dowodził, że będę bezpieczniejszy, mając go na tyłach, bo jeśli nas tropią, to on jest bardziej pożądaną zwierzyną, niż ja. Popatrzyłem ku złowieszczemu szańcowi górskiemu, ku przełęcz, która wznosiła się tuż nad nami i, jak było postanowione, zgodziłem się.

Pożegnaliśmy się...

DEXTEROWI wyraziłem głośny, jak najgłośniejszy żal, że jestem zmuszony opuścić go, nim się uporał ze swymi wrogami. On, uroczy, młody obłudnik, wygłosił do mnie całe przemówienie, wysławiając moją odwagę, niezapomnianą dobroć, poświęcenie i inne cnoty... O mało się nie rumieniłem za niego.

Za chwilę kłusowałem ku góróm.

Bez wstydu przyznam się, że kusiło mnie naprawdę jechać prosto do Monte Verde. Póki miałem księcia za uczciwego chłopca, niewiele sobie robiłem z niebezpieczeństw, na które się dla niego narażałem, ale teraz, kiedy, jak podejrzewałem, wszczął z biednym TONIEM fałszywą grę, nabrałem do niego głębokiej niechęci. W dodatku nie rozumiałem jego manewru i nie pojmowałem, żeby TONIO mógł budzić inne uczucie prócz litości. CHARLIE był

innego zdania i spodziewał się po nim wiele, ja zaś przyrzekłem mojemu księciu potajemną pomoc. Słowem była to wyraźna intryga. Zły byłem, że się w nią zaplątałem, cóż kiedy musiałem dotrzymać przyrzeczenia. Kłusowałem krętą ścieżką z pół godziny, wreszcie zawróciłem.

Uwiązałem konia na skraju lasu i dalej już podkradałem się pieszo. Było mi obrzydliwie nieswojo. Dexter w razie czego z pewnością by mnie obronił, ale Tonio zbyt pochopnie brał się do rewolweru i gdyby dostrzegł podkradający się cień, palnąłby bez namysłu, a celnie, jak w owe drzewko.

Na szczęście grunt był osłonięty, pełen rumowisk skalnych, za którymi się czołgałem oraz gęstych zarośli, stanowiących dostateczną ochronę. W ten sposób dostałem się bezpiecznie pod samą ścianę budy.

Tonio i Dexter nie siedzieli wewnątrz, lecz przed wejściem. Rozpalili ognisko, które obstawili wysoko głazami, żeby nie było widoczne ze szlaku, i gotowali wieczerzę. Przypelzłem do węgla, rozplaszczylem się na ziemi i wyjąłem notes z ołówkiem, który z przyzwyczajenia zawsze miałem w kieszeni.

Było jeszcze dość jasno. Do zupełnego zmierzchu brakowało trochę czasu.

Nadstawiłem uszu. Tonio opowiadał o pościgu za dziką klaczą. - Prędko ją upolowałem, nie tak jak ogiera, ale co miałem kramu, to miałem.

Od ogniska dolatywał zapach kawy. Mdło mi się robiło z głodu, a tu jeszcze kant kołnierza tarł boleśnie o spaloną skórę na karku. Trudno. Musiałem czekać.

Za chwilę Charlie naprowadził rozmowę na pożądane tory:

- Wiesz, Antonio, co mógłbyś zrobić?

- Mów, przyjacielu!

- Mógłbyś, mając przeciwko Scorpioni dość dowodów, posłać go na szubienicę.

- O, szeryfowie od dawna go poszukują, ale zjedzą diabła!

- O?

- Nie inaczej. Nie pochwycą Scorpia, nie. Za chytry dla nich. Wiesz, señor, tylko jeden człowiek na świecie mógłby go upolować - ja!

- Muszę ci wierzyć, ale nie widzę, czemu ktoś inny nie mógłby dokazać tej samej sztuki!

- Nie zrozumiałbyś - powiedział Meksykanin.

Skończył jeść i wziął w rękę blaszany kubek z kawą. Blask ogniska, z bliska jaśniejszy od gasnącego światła dnia, odbijał się w srebrzystej powierzchni naczynia.

- Głupi on, że ci wyznał wszystkie swoje tajemnice – zauważył Charlie.

- Musiał wyznać.

- Jak to musiał?

- Bo ja wyznałem mu swoje.

Naiwność czy nawet głupota tej odpowiedzi pogłębiła we mnie litość dla Tonia i wzdargę dla Dextera.

- Musiał ci się odplacić sprawiedliwie - ciągnął Charlie.

- A pewnie! Nie można się dostać do serca człowiekowi, jeżeli w zamian nie otworzy się swego.

- Możliwe, chociaż nie uwierzę, żeby Scorpio przyznał się przed tobą do rzezi Dexterów.

- Nie uwierzysz, señor? Señor Dexter chcesz mnie rozgniewać, chcesz mnie obrazić? Czyżbyś sądził, że kłamię?

- Spokojnie, Tonio - zaśmiał się książę Charlie. - Możliwe, że Scorpio po prostu żartował. Kto może wiedzieć? Przecież ludzie nie przechwalają się sprawami, za które grozi szubienica.

- Tak, jakby Scorpio bał się stryczka! - wykrzyknął Meksykanin. - Widzę, że go wcale nie znasz!

- Ależ znałem go i podejrzewam, że ktoś inny poznał drzwi i czoła zabitych. To był chłopak łagodny jak dziewczątko, wesoły jak ptak. Najweselszy z naszych kowbojów. Ojciec najwięcej lubił jego.

- Dlatego właśnie wzdragał się zabić twego ojca.

Zacząłem pisać z pośpiechem. W swoim zawodzie nabyłem w tym kierunku wielkiej wprawy. Choć Charlie badał Tonia z przestankami, musiałem dobrze się zwijać, żeby nadażyć piórem za ich rozmową. Robiło się ciemno, biel papieru szarzała, musiałem bardzo wyęczać oczy. W końcu już pisałem prawie na ślepo.

Początkowo powodowało mną przyrzeczenie, dane Dexterowi, ale w miarę jak Tonio mówił, zapragnąłem gwałtownie dostarczyć władzom dokumentu, który pozwoliłby wymierzyć sprawiedliwość sprawcom piekielnej zbrodni.

XXXVII. SZERYF

- A im przede wszystkim chodziło o zabicie mego ojca - rzekł Dexter.

- Właśnie. Wiedzieli, jaki to był dzielny człowiek.

- Tak. Zaczynam wierzyć, że Scorpio trochę się przed tobą wygadał.

- Trochę? Wszystko mi powiedział.

- Jednej rzeczy z pewnością ci nie powiedział.

- Jakiej? - rzucił wyzywająco Tonio.

- Dlaczego wolał zamordować Marshalla i Vincenta Dexterów, niż mego ojca, chociaż właśnie z rąk mego ojca wycierpiał chłostę.

Tonio wybuchnął śmiechem, od którego przeszły mnie zimne dreszcze.

- To myślisz, że on mścił się za tę chłostę?

- A za cóż innego, Tonio?

- Morderstwem mściłby się za chłostę?

- No, to nie wiem, co on mógł mieć przeciwko nam?

- Nic. On tylko chciał dokazać czegoś wielkiego i strasznego.

Oszlupiałem. Jednakże sama potworność rzeczy była przekonująca.

- Czy chcesz powiedzieć - pytał niskim, rozedrganym głosem księżę Charlie - że on po prostu dogadzał swojej naturze?

- Tak, naturze i kieszeni. Sam mi to mówił. „Tonio“ - powiada - „nie ma większej rozkoszy jak mord i łup“. Dlatego mordował. Ale twój ojciec był dla niego tak dobry, że jego nie chciał dotknąć. Mówił, że chcieli mu zapłacić dwa razy więcej, byle tylko zaczął od Jeffersona Dextera.

- Kto płacił?

- Don Manly i drugi, taki wielkolud - zapomniałem nazwiska.

- Sędzia?

- Señor Benson. On.

Usłyszałem, jak Dexter zachłusnął się.

- Wiedziałem! Domyślałem się! Sędzia... On! Oh wynajmował morderców! On, tylko on!

- On - potwierdził Tonio. - On i Don Manly przyszli do Scorpią i powiedzieli mu, że wiedzą o jego śmiertelnej urazie do Dexterów.

- I ofiarowali mu pieniądze?

- Tak, dziesięć tysięcy dolarów.

- Mógł był zażądać więcej - rzekł gorzko Charlie. - Mógł był zażądać dużo więcej.

- Toteż nie przyjął pierwszej oferty. Za to naopowiadał cudów, jak kocha señora Dextera, sławnego Don Jeffersona. Nazajutrz znów przyszli i przypomnieli mu ową chłostę, przy czym ofiarowali dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce.

- Wierzył, że mu je wypłacą. O, święta naiwności!

- Wciąż go masz za głupca! Zażądał zapłaty z góry. Zgodzili się na tysiąc dolarów zaliczki. Zażądał pięciu tysięcy. Wypłacili z miejsca.

- Dobry interes - warknął Charlie. - Na świecie już tak jest: zysk za gotówkę. Po tym, co się stało... To jest, co Scorpio mówił, że się stało, bo przecież całej prawdy nigdy by ci nie powiedział.

Tonio krzyknął ostro i przeraźliwie;

- To myślisz, że kłamię?

- O, nie, ale wiem, że Scorpio nigdy by ci nie powiedział całej prawdy. Taki szalony nie był.

- Może i był, bo powiedział. Słuchaj, czy nie rozpoznasz czystego dźwięku prawdy. Prawda ma swój własny ton, który pochwycisz, señor, w słowach Tonia. Ha! myślisz, señor, że bym cię okłamywał, po tym coś dla mnie dziś uczynił!

- Słucham, Tonio, słucham. Nawet kłamstwa, nawet wielkiego kłamstwa wysłucham.

- Przede wszystkim postanowiono, że Manly sprzątnie twego ojca. Ten pierwszy strzał miał być hasłem dla straszliwego Scorpia. Oznaczyli dzień rzezi. Przez tydzień, który go poprzedził, Scorpio był tak szczęśliwy, że budził się nocami, bo przez sen wybuchał radosnym śmiechem... Nadzieja na trupy i dolary upajała go narkotycznie.

- Rozumiem - powiedział wolno Dexter. - Tak, tak... On miał pociąg do krwi.

- O, nie. Fałszywie go sądzisz. On nie znosi krwi. Na sam jej widok jeszcze dziś mdleje. Ale lubi patrzeć, jak giną silni ludzie, wielkie konie... To jest największa radość jego życia.

- A! - Charlie zachował twarz przedziwnie spokojną. - Więc czegoż on dokazał w ową straszliwą noc?

- Po porządku, señor. Czekał w sieni. Na huk wystrzału wybiegł Marshall Dexter i Scorpio położył go na miejscu. Uczyniwszy to, poszedł szukać Vincenta Dextera. Ten, choć zobaczył rewolwer, nie zrozumiał, że Scorpio chce jego zabić, i zawołał: „Scorpio, nie tędy! Tam strzelają, za domem!“ Gdy go mijał, pędząc na miejsce zajścia, dostał kulę w plecy. Tymczasem obudziło się całe sąsiedztwo, obojście zapełniło się zbrojnymi ludźmi, lecz Scorpio był wśród nich bezpieczny. Nikt nie wiedział, że to on morduje. Manly Crowell, zabiwszy twego ojca, ukrył się. Pozostawało jeszcze uśmiercić młodziutkiego syna Jeffersonowego, to jest ciebie. Kowboj Anson porwał chłopca, Scorpio ruszył w pogoń. Niewiele brakowało, żeby was wytropił. Diatęgn ukrywałeś się przez te dziesięć lat. Scorpio więcej dokazał w ową noc. Na przykład zabił Laffittera, z czego się bardzo, ach! bardzo cieszył. Ale tobie chodziło o krewniaków. Teraz wiesz, jaki był ich koniec.

Pisałem z gwałtownym pośpiechem, wyteżając oczy boleśnie, bo już papier ledwie, ledwie biał w mroku. Po krótkim milczeniu Dexter rzekł:

- Wiesz, Tonio, jednak Scorpio strzelił byka.

- Jak to, señor? Czy dlatego, że paru strzałami zarobił dwadzieścia tysięcy dolarów?

- Nie, że ci to powiedział.

- A ja tobie? Czy tak?

- Właśnie.

Tonio zaśmiał się śmiechem tak okropnym jak jego szpetota

- Ty Scorpia nie zabijesz, señor!

- O!?

- Nie. Ty jego nie zabijesz, tylko on ciebie, gdy uzna. że przyszedł czas.

- Skąd ta pewność, Tonio?

- Stąd, że on zaprzedał duszę diabłu. Señor nie zrobisz mu krzywdy. On ma zaczarowane życie. On śmieje się z takich jak ty.

- To i ty byś mu nie poradził?

- Nie, ja mogę go zabić - powiedział Tonio głosem rozpaczony. Mnie jednego na świecie Scorpio się boi.

- Dobrze strzelasz, Tonio, to prawda, ale to nie powód, zebys był dla niego straszny!

- Zawsze mnie się bał. Po cóż zabiegałby o moją przyjaźń?

- To, co mówiłeś, nie świadczy o prawdziwie przyjacielskich uczuciach do ciebie.

- Co ty o nim wiesz? - zniecierpliwiał się Meksykanin. - Powiadam ci: Scorpio się mnie boi, bo wie, że ja jeden mogę go zabić

- Wbrew diabłu?

- Ach, głupi! Dlatego, że gotów jestem zginąć razem z nim, zapłacić swoim życiem za jego. Ta moja wola odbiera siłę diabłu, który go broni. Zresztą nie boję się. Wszyscy ci, których Scorpio wymordował, byli dla niego niczym, ich się nie lękał. Przede mną albo ucieka, albo stara się mnie zjednać obietnicami i kłamstwami. Wyczerpały się już jego kłamstwa. Nie ujdzie mi już. Możesz mi wierzyć, señor, że Scorpio tyle wart co trup.

- Chciałbym wierzyć. Musisz wiedzieć, co mówisz. Wiem, że go się nie boisz, ale przecież on strzela jak piorun i zaszedłby cię z tyłu!

- Co to, to nie - zaprzeczył z przekonaniem Tonio. - Innych on może podchodzić indiańską modą, mnie stanie twarz w twarz. Bo musi. Pięknie strzela. Tym gorzej dla niego, tym łatwiej go zabiję.

Pisałem, pisałem, jak wściekły, aż mi palce cierpły z pośpiechu. Już me wątpiłem, że Tonio mówi w obłądnie. Omyliłem się. Mówił prawdę, która niebawem sama się okazała. Jednak gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że zagadka jest do rozwiązania, byłbym go nazwał półgłówkiem.

Akurat skończyłem pisać i dla ulżenia wzrokowi podniosłem oczy znad notesu. Nagle od pobliskich zarośli oderwała się ciemna postać i zaczęła iść ku siedzącym.

Chciałem wrzasnąć. Mógł to być ktoś z Doliny Dexterskiej, albo tajemniczy szatan, Scorpio, którego kroki były ciche jak spływ cienia. Ale nie. Podchodząca postać ozwała się znanym, przeciągłym głosem:

- Serwus, chłopcy! Nie wypiliście wszystkiej kawy?

- O! szeryfie! - jęknąłem z ulgą. Przystałem pisać i przy warowałem bezpiecznie w gąszczu, już spokojny i szczęśliwy. Maleńki olbrzym prawa budził we mnie zaufanie bez granic!

XXXVIII. DZIKI SKOK

Na głos szeryfa Tonio i Dexter chwycili w jednej chwili za broń. Tak działa zaskoczone wojsko. Każdy zachował się inaczej. Tonio dał susa w górę niczym postrzelony kot, Dexter rzucił się na ziemię.

Poznawszy gościa, schowali rewolwery.

Szeryf, ubawiony ich przestraczem, chichotał cicho:

- Myślałem, że ogień sygnałowy, czy co, a tu Charlie Dexter grzeje ręce. Z przyjacielem jesteś? Co to za jeden?

- Tonio - rzekł Dexter, stojąc sztywno w pozie obrażonej dumy. - Założę się, że szeryf nie mógł dojrzeć blasku tego ogniska z odległości stu stóp.

- Nie, synku, ale dostrzegłem jasną smugę na ścianie szałasu i zaraz zamarzyło mi się ciepło, pieczone jabłka i kartofle. Serwus, Tonio. Zdaje mi się, że cię już gdzieś widziałem.

- Nie, señor. Kto mnie raz spotka, nie zapomina dnia i miejsca.

- E, widzialem cię - rzekł szeryf. - Charlie, poczęstujesz mnie kawą?

Dstał umyty kubek świeżej kawy. Mnie znów głód ścisnął dotkliwie. Dowiedziałem się niesłychanych rzeczy, ale płaciłem za nie zbyt drogo.

Tom Winchell, przysiadłszy na piętach, jak to czynią Indianie, chlupał głośno gorącą kawę.

- Co słyhać, Charlie, co mu powiesz?
 - Wszystko dobrze.
 - Nie tknęli cię?
 - Mam w kurtce parę nowych dziur, ale to nic.
 - Tak bywa, gdy koń pod strzelcem za szybko pędzi. Gorączka chwytą myśliwego. Lufa skacze, bo serce szaleje. Inaczej powinni cię byli dziś upolować, synku.
 - I ja tak myślę.
 - Idę spać - ozwał się Tonio. - Odwałem dziś świat drogi!
 - Daleko jeździłeś, Tonio? - wycedził przyjaźnie szeryf.
 - Osiem godzin w siodle.
 - O, to nie żarty - osiem godzin w siodle jednym ciągiem. Trzeba dobrego konia, żeby wytrzymał.
 - Mam dobrego konia. Dobrej nocy, przyjaciele!
 - Minutę, Tonio. Chciałbym chwilę z tobą pogadać.
 - Ja tam nigdy nie tracę czasu na mielenie językiem.
- Zdziwiła mnie szorstkość Tonia. Szeryf go bynajmniej nie dotknął.
- Ja chciałem ci powiedzieć - ciągnął Winchell - że sam dziś tkwiłem w siodle dziewięć godzin. O tym chciałem z tobą pogadać.
 - Co tu jest do gadania?
 - Moglibyśmy sobie powiedzieć, gdzieśmy jeździli.
 - Nigdy nie opowiadam o przebytej drodze - rzekł Tonio szorstko.
 - To bardzo źle robisz, synu. Powinieneś rozumieć, że droga, która cię czeka, może być podobna do już przebytej. Przezorny człowiek wyciąga z wczoraj naukę na jutro.
 - Nie rozumiem, señor. Spać mi się chce.
 - Mógłbym cię otrzeźwić.
 - Jak, señor?
 - Mógłbym ci powiedzieć, kogo tropiłem.
 - Masz tu señor przyjaciela, który gotów cię słuchać. Mnie to nie obchodzi.

- Scorpia tropiłem, Tonio. Musiałeś o nim słyszeć.

Tonio milczał chwilę.

- Tak - słyszałem o nim. Niech szcześnie!

- O, słusznie go przeklinasz! Ale jeszcze łotr nie wisi i ja, szeryf, muszę się nim interesować.

- Szeryf go nie powieszisz - jeszcze wolniej powiedział Meksykanin. - Nigdy!

- Już mi to mówiono - odparł szeryf - ale stary lis lubi tropić z nawyku. Ty sam polujesz, Tonio?

- Polowałem.

- Na jelenie, sarny...

- Tak.

- I na konie też.

Tonio drgnął.

- Kto szeryfowi powiedział?

- Domyśliłem się. Sądząc po twoich łachmanach, nie kupiłbyś takiego rumaka, jaki tam jaśnieje w mroku. Wobec tego alboś go upolował, albo wyhodował.

- Po cóż miałbym hodować señor? - pytał Tonio, podchodząc bliżej do ognia, którego blask objawił szpetotę jego twarzy bardzo wyraźnie.

- Mogłeś, po prostu mogłeś... Tylko, że ja bym się po tobie spodziewał innej hodowli.

- Jakiej? Co ja miałbym wyhodować? - pytał zdziwionym głosem Meksykanin.

- Kaina, przyjacielu!

Tonio znów- milczał dłuższą chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

- Stary jesteś, señor, i gadasz po staremu. Mogę odejść?

- O, nie chciałbym cię zatrzymywać, ale o tych szlakach dałoby się więcej powiedzieć.

- Cóż takiego? - rzucił Tonio podniesionym głosem.

Nie dziwiłem się jego zdenerwowaniu. Natręctwo Winchella drażniło i mnie.

- Polowałeś na sarny, jelenie, konie, Tonio. Ja również, ale ja prócz tego tropiłem ludzi. Może i ty uganiałeś się za dwunogą zwierzyną. Ciekaw jestem.

- Po co ja miałbym tropić ludzi? Ja?

- Pytam, nic więcej.

Tu zabrał głos księżę Charlie.

- Szeryfie, ręczę wam, że lepszego człowieka nie mogliśmy spotkać. On goni za Scorpiem, tak jak my!

- Co?! Za Scorpiem goni, tak jak my?

- Tak, szeryfie.

- To założyłbym się, że go nakryje prędzej od nas.

- O, señor! - wykrzyknął Meksykanin. - Nie wiesz, czy jestem dobrym tropicielem!

- Wiem, dobrze wiem. - Mówiąc to, szeryf postawił kubek na ziemi obok siebie.

- Wie szeryf, co ja mogę dokazać? - słusznie zdumiał się Tonio.

- Wiem. Widzisz, zasięgałem o tobie języka! Tropię cię od dziesięciu lat - Scorpio!

Słowo to zahuczało mi w głowie echem grzmotu. Jednocześnie zobaczyłem, że zamiast kubka od kawy szeryf trzyma w ręku długi kolt i celuje spokojnie w Meksykanina.

Scorpio!

Scorpio stał skamieniały i patrząc w wylot lufy, podnosił wolno ręce na wysokość piersi - ramion - głowy... Ta powolność lepiej od najgwałtowniejszych słów oddawała burzę, szalejącą w jego sercu. Każdy cal w górę umniejszał możliwość, jaka może jeszcze istniała, zdobycia broni, zaskoczenia szeryfa...

- Scorpio! - zakrzyczał Dexter. - Na Boga przedwiecznego! Przeczuwałem, przeczuwałem! Łąd mi majaczył na widnokręgu, a nie wiedziałem, czy to nie złuda!

Przypomniałem sobie, jaki był na drodze roztargniony. Jasna rzecz! Coś mu chodziło po głowie... Postać Meksykanina musiała w nim obudzić wspomnienia z dzieciństwa. Postać albo może głos.

W głowie mi się kręciło. Nie mogłem nadążyć za tymi ludźmi.

- Czemu do mnie celujesz, señor? - pytał Tonio. - Czemu nazywasz mnie Scorpiem? Ten oto mój przyjaciel zaręczy ci, że ja nie Scorpio. Ja Tonio, Scorpia nienawidzę. Nienawidzę nade wszystko w świecie!

- Oczywiście - odpowiedział zamiast szeryfa Dexter. - Nienawidzisz go, bo ty tylko wiesz o nim prawdę, ty jesteś jedynym swoim przyjacielem, swoim kusicielem i swoim pocieszycielem. Oczywiście ty byś go nakrył przed innymi i ty byś mu w końcu zadał śmierć. Dziwię się, że dotąd wyżyłeś ze swoimi wspomnieniami, że się nie otruleś... Przecież już raz próbowałeś podciąć sobie gardło, jakieś się przyznał alegorycznie.

- Co to ma znaczyć? - zapytał szeryf.

- Opowiadał nam bajki o strasznym Scorpiu, człowieku, który sprzedał duszę diabłu! Prawdę mówiłeś, Scorpio. Jesteś, jego przyjacielem, bo jesteś swoim przyjacielem. Nienawidzisz go, bo znasz siebie. Rozumiecie, szeryfie? On jest rozdwojony. Jedna osoba w nim to zacy Tonyo, który kocha konie i żyje uczciwie, tyle tylko, że brata się z mordercą Scorpiem i wydaje jego pieniądze. Druga osoba to sam wielki Scorpio. Rzadkie połączenie, co?

- O, rzadkie! - zgodził się szeryf. - Pokazał on by ci tej nocy Scorpią, Charlie. Usnąłbyś na wieki!

Dexter pokiwał głową.

- Z pewnością. Wszak chciał mnie sprzątnąć. Dziwię się tylko, że nie strzelił do mnie, gdy walczyłem z jego koniem. Powiesz mi, Scorpio, dlaczego tego nie zrobiłeś? Czy ze względu na mego przyjaciela Deana? Miałem jakieś przecucie, bo kazałem mu, żeby miał na ciebie oko.

- Ze względu na niego? - szyderczo zasyczał Scorpio. - Tego cherlaka, co by mi trzasnął w rękę, jak krucha łupina? Nie! Bałem się o konia.

- A, bałeś się, że zamiast we mnie trafisz w konia, albo że go nie schwytasz, jeżeli ja wylecę z siodła? Nie ufasz swemu oku?

- I to nie. - Scorpio już się więcej nie wypierał. - Kocham konia i człowieka, który potrafił na nim usiedzieć, napełnił moje serce zachwytem. W chwili gdy zwisłeś z łęku na rękach - tu wyciągnął przed siebie ramiona - i Compadre dał susa w niebo...

Tu Meksykanin sam dał potężnego susa w przód w ten sposób, z-przeskoczył przez przygarbionego czujnie szeryfa.

XXXIX. NADZIEJA SCORPIA

Szeryf, najzupełniej zaskoczony, strzelił. Najprawdopodobniej czuł się całkowicie panem położenia i pozwolił sobie na minimalne roztargnienie, z którego zbrodniarz potrafił skorzystać.

Dexter również błyskawicznie dobył broni i zaczął strzelać, ale Meksykanin uciekał zygzakiem z zadziwiającą szybkością

Charlie, przestając strzelać, rzucił się za nim. Szeryf pobiegł ku koniowi. Scorpio, skręciwszy, pędził prosto na mnie.

Pojąłem mętnie, że niebezpieczeństwo wali się na mnie, że rola widza nie wystarczy. Charlie gnał jak piorun, lecz nie mógł doścignąć Scorpią, nim by ten dopadł do mej kryjówki i jednym celnym strzałem strzaskał mi czaszkę lub kręgosłup.

To jest, nie zerwałem się, tylko poderwałem - (od nieruchomej pozycji byłem cały zdrtwiałły)
- i w tej chwili Scorpio w rozpędzie wpadł na mnie.

Runąłem jak od ciosu, a on na mnie. Wrzask mój przeraźliwy mógł przebudzić umarłych. Zza szalasu wypadł Dexter i rzucił się na niego ruchem pływaka, który daje nurka.

Taczali się po ziemi.

Ja drżąc, podźwignąłem się na nogi. W trawie coś błyszczało. Schyliłem się i podniosłem rewolwer. Trzymając za lufę, czekałem na sposobność zdzielenia Scorpią w głowę ciężką kolbą. Obydwaj walczyli ze sobą, jak dzikie koty, błyskawicznymi ruchami. Zresztą było już całkiem ciemno i nie bardzo ich rozróżniałem.

Szeryf na mój straszny wrzask już nadbiegał, gdy usłyszałem głos Dextera:

- Mam cię, Scorpio. Spróbuj się ruszyć, a ramię trzaśnie. Mówił to spokojnie zwyczajnym głosem.

Scorpio odpowiedział tak samo spokojnie:

- Nie ruszę się. Przygwoździłeś mnie. Charlie,

Strasznie zabrzmiało to imię w mych uszach. „Charlie!“ Za dawnych dni na ranczo przed zapłaconą rzezią Scorpio musiał wołać na panicza, syna swego chlebobdawcy, tym zdrobnieniem.

- Dajcie światło - rzekł Dexter. - Nie ruszę się, póki go nie zwiążemy.

Szeryf zapalił zapalną.

- No, no, chłopcy, me można powiedzieć, że Tom Winchell - szeryf i stary wyga jest obeznany z przestępcami. Ja pytluję, jak stara baba, a on skacze w ciemność! Dopiero trzeba było, żeby człowiek wyrósł z ziemi i zatrzymał go. Jak się masz, panie Dean? Spodziewam się, że nie przetrącił ci żadnej kości!

Gawędząc w ten sposób, szeryf podawał Dexterowi kawałki sznura, używanego przez kowbojów do pętania bydła. Charlie skrępował ręce Scorpiowi w tyle, po czym pozwolił mu wstać. We dwóch zaprowadzili go do ognia i tutaj przeszukali hycła od stóp do głów.

Znaleźli sporo rzeczy godnych uwagi. Wyliczę je po kolei.

Sztylecik z wąziutkim ostrzem i rękojeścią z perłowej masy, inkrustowanej złotem. Diabelskie to cacko nadawało się do wbicia w serie słabiotkim pchnięciem.

Ciężki nóż o długim, wykrzywionym ostrzu i szorstkiej rękojeści dla pewności chwytu. Nigdy nie widziałem praktyczniejszej broni. Scorpio nosił ją w cienkim pokrowcu za paskiem od spodni.

Rewolwer z pięcioma korbami na kolbie. Scorpio ukrywał go pod lewą pachą.

Tak zwany derringer, broń mniejszą od rewolweru, o dwóch lufach nie dłuższych od mego małego palca, lecz dużego kalibru. Szeryf powiedział, że na mały dystans można z niej zabić człowieka równie dobrze jak z kolta. To cacko Scorpio nosił w wewnętrznej kieszonce kurtki. Mógł, udając, że szuka zapalek, niespodziewanie strzelić.

Woreczek do tytoniu, z miękkiej, mocnej skórki, zamykany na pierścień. Szeryf wymacał wewnątrz kapsułkę metalową z dwóch mocno do siebie pasujących połówek, w której znajdowała się odrobina białego proszku. Przyjrzał się temu starannie, niemal bojaźliwie; podnosząc oczy na Meksykanina, zapytał:

- Proszek na ból głowy, Scorpio?

Scorpio tylko wykrzywił się ohydny grymasem uśmiechu.

Portfel z mocnej świńskiej skóry, zawierający igielnik z zapasem różnej wielkości igieł i niewielkie szydło, używane zapewne przy reperacji butów oraz upręży; podobiznę zdumiewająco ładnej Meksykanki o powłóczystym spojrzeniu, z różą w ustach; wreszcie zwitek banknotów, które szeryf przeliczył na miejscu. Było tego trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt dolarów.

Ogromna apaszka z dobrego jedwabiu.

Bibułka do robieniu papierosów.

Zapałki w stalowym, nieprzemakalnym pudełku. Dobry scyzoryk o trzech ostrzach. I inne drobiazgi.

Wypisałem listę tych przedmiotów nie dla ich ważności, bo nie wszystkie były ważne, lecz dlatego, że w owej chwili wydały mi się wymownymi przyczynkami do charakterystyki Scorpio. Poza tym chwila była uroczysta: zamknięcie dziesięcioletniego okresu niepewności, wyczekiwania i walki, wyroku śmierci na Scorpio. Spokój, z jakim ci trzej rozmawiali, nie zamydlał mi oczu. Rozumiałem, co się w nich działo.

Jednak więcej się oglądałem na ciemne zarośla i skały niż na nich. Spodziewałem się, że lada moment wypadnie na nas zbrojna banda Bensonów, nie-Bensonów...

- Powiedz mi, Scorpio - rzekł Dexter do wroga tonem bynajmniej nie wrogim - powiedz, dlaczego opowiedziałeś mi tak dokładnie, coś robił w noc rzezi?

- Dlatego, że przeczułem twoją podejrzliwość - od razu na szlaku - i chciałem cię zbić z tropu. Udało mi się!

- Czy te pieniądze to zaliczka na moją głowę? - Meksykanin wzruszył ramionami.

- Nic więcej nie powiem. Może mnie zabijesz, a może oddasz szeryfowi. W każdym razie nie ma powodu, żebym gadał. Jeżeli stanę przed sądem, małomówność będzie dla mnie korzystna.

- Scorpio, ty naprawdę ludzisz się, że uratujesz życie?

- Nadzieja jest jak plewy - odparł Meksykanin. - Dostać jej za tani grosz! Niejeden przeżył srogą zimę na samej nadziei. Dlaczegoż ja nie miałbym się ludzić?

- Bo mamy przeciwko tobie twoje własne słowo.

- Jakie słowo? Opowiadałem baśnie, a wyście słuchali. Nie możecie dowieść, że jestem Scorpio. Przysięgniecie, że się przyznałem. Ja przysięgnę, że nic podobnego nie miało miejsca. Ot co! Przysięgli mogą równie dobrze uwierzyć waszym zapewnieniom jak mojej twarzy. Zresztą przyjaciół mi nie zabraknie.

- Prawda, Bensony, Crowelle i inni staną za tobą. No, tak, możesz na nich liczyć. Ale co powiesz... panie Dean, spisałeś pan jego zeznania?

Ogólne zaciekawienie skierowało się na moją osobę. Wyjąłem z zadowoleniem swój notes i przy blasku ognia odczytałem wszystko, co napisałem, pod koniec przerywając co chwilę z powodu nieczytelnego pisma.

Gdy skończyłem, Dexter powiedział:

- Widzisz, Scorpio. Od tego się nie wyklamiesz!

- Naprawdę? Ech, bracie, bez mego podpisu ta bazgranina niewarta funta kłaków.

- Słuszna uwaga - wtrąciłem mimo woli.

- Dexter, mógłbyś go poprosić, żeby się podpisał? - zapytał szeryf.

Charlie z twarzą nagle kurczowo wykrzywioną odpowiedział:

- Zostawcie go ze mną samego dziesięć minut, zobaczycie. Szeryfie nie ma się co uśmiechać.

Szeryf potrząsnął głową.

- Nie, synku. Ten człowiek jest moim więźniem. Wolałbym go powierzyć wygłodzonemu tygrysowi niż tobie. Nie, nie wypuszczę Scorpię spod opieki.

Księżę Charlie zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Scorpio mądrze się postawił. Sąd musiałby się odbyć w Dolinie, a tam wpływ jego protektorów zaważyłby na sumieniach przysięgłych. Fakt, że go pochwyciliśmy, nie miał właściwie znaczenia. No, może niezupełnie, bo skoro by się okazało, że to naprawdę Scorpio, a mój protokół był wcale nie do pogardzenia, to mogło dojść do linczu.

Jednak Charlie nie cieszył się z udanego polowania. Obecność szeryfa gasiła jego triumf. Rozpatrując sytuację wszechstronnie, wyrwałem się:

- Charlie, co byś powiedział na kompromis? Zwrócił się ku mnie ostrym półobrotem.

- Wiem, wiem! Czyż nie widzisz, że nad tym się głowię?

XL. NOWY PLAN

Niesamowity to był obraz: my czterej w ciemnościach wokół dogasającego czerwonego ogniska, które już nie oświetlało naszych twarzy, ukazując nas sobie nawzajem jedynie w postaci mrocznych sylwetek. Jeszcze dziwniejsza od obrazu była rozmowa, a bardziej dziwne od rozmowy nasze uczucia.

Ujęliśmy słynnego mordercę. Łotr był w naszych rękach bezbronny. Prawo było po naszej stronie. Lecz to samo prawo broniło go przed nami. W razie sprawy sądowej przysięgli mogli go uniewinnić. Jednym słowem ujęcie Scorpia nie przyniosło nam nic prócz prawdy,

Przez jakiś czas siedzieliśmy leniwie, gawędząc o rzeczach nieważnych.

Zapytaliśmy na przykład szeryfa, jak trafił na trop Scorpia. Scorpio sam był tego mocno ciekawy. Ale szeryf tylko się śmiał, nie odpowiadając.

Raptem Charlie zawołał:

- Ech, szeryf natknął się na Scorpia, jadąc za mną!

Szeryf, śmiejąc się, przyznał, że tak w istocie było. Cudowny na pozór spryt okazał się prostą rzeczą. Szeryf ciągnął za Dexterem, rozumiejąc że prędzej czy później Scorpio zechce rozprawić się z nim, tak jak rozprawił się z Ansonem.

Następnie pytaliśmy Scorpia, dlaczego znaczył czoła swych ofiar. Ale Meksykanin milczał, zwiesiwszy głowę, jak gdyby zatopiony w zadumie.

O! miał się w czym zatapiać ten zbrodniczy człowiek, ten srogi obłąkaniec!

Nie pojmowałem, jak taki człowiek mógł się rozdzielać we własnej świadomości na dwie istoty, w rodzaju Jekylla i Hyde'a, jedną dobrą lecz słabą, drugą podłą i potężną.

Wściekłość mnie ogarnęła, że mamy go w swojej mocy, a nic z nim nie możemy zrobić, wbrew dowodom, wbrew przekonaniu. Ta wściekłość natchnęła mnie myślą, że moglibyśmy zrobić czarta użytek wbrew jego woli.

Wziąłem księcia na stronę.

- Charlie, wiesz, może ja bym znów pojechał do Bensona! Mój młody przyjaciel zaśmiał się cicho.

- Przyjacielu, zostawiłbyś dla nas jakieś dowody?

- To on by mnie zamordował z rozmysłem?

- Człowieku, jeszcze wątpisz? Nie rozumiesz, co to za zbrodnicza dusza?

- Jednej rzeczy trzeba, żeby go unieszkodliwić

- Jakiej?

- Podpisu Manuela Scorpio pod tym oto protokółem.
- To niewiele. Winszuję przenikliwości, panie Dean.
- Dziękuję, Charlie. Proszę cię, wstrzymaj się jeszcze z szyderstwem.
- Ja nie szydę, przyjacielu.
- Powiedziałem, że potrzeba mi podpisu Scorpio, nie powiedziałem, że własnoręcznego.

Zrozumiał.

- A, żeby sędziego wprowadzić w błąd.
- Właśnie.

Świetna myśl, ale jak tu dostać próbkę jego pisma?!

Zaczęliśmy go nagabywać, ale on już odszedł w głąbie swych myśli tysiące mil i nie chciał wrócić. Patrzył tylko na nas swymi strasznymi, czerwonymi od ognia oczami i milczał.

- Charlie, czy za twoich dziecinnych lat Scorpio mówił ci, że był w szkole?
- Nie przypominam sobie, żeby w ogóle wspominał o szkole. Może wcale nie chodził... Czekał pan! Może nawet nie umie się podpisać. Dużo ludzi nie umie się podpisać.

Tu Charlie poprosił o notes i przy nieco rozdmuchanym ognisku pisał na ostatniej stronie wiecznym piórem. Gdy mi pokazał co napisał, zdumiałem się. Na białej kartce widniał podpis Manuela Scorpio, nie płynny i zamasysty, lecz krzywy, niepewny, wypisany pracowicie litera po literze, istna gryzmoła niewprawnej, dziecinniej ręki.

- Połknęliby to? - zapytał.
- Jeżeli widzieli kiedy jego pismo, to nie. Jeżeli nie widzieli, powiedzą, że to jego podpis. Jeżeli nam się podpisał raz - tak będą rozumowali - to znak, że się załamał, że się podpisał pod czymś, że będzie gotów świadczyć przeciwko nim. O to panu przede wszystkim chodzi, nieprawdaż?
- Tak. Zaczny sędzia mniej by się zląkł lufy, przyłożonej do potylicy, niż takiej niespodzianki. O! już byśmy go wtedy nakłonili do ustępstw.

Dexter jęknął.

- Od dziesięciu lat - rzekł - przysięgam sobie, że pomszczę ofiary Scorpio i ukarzę tych, którzy go kupili, a pan mi tu radzisz kompromis?
- Czyż to będzie zemsta, jeżeli cię powieszają za zabicie Bensona i Manly'ego Crowella? Scorpio? Nie, za niego nic by ci pewnie nie zrobili, ale jak wydrzeć Scorpio szeryfowi? Benson wolałby może zginąć niż zrzec się połowy majątku. Ty nie masz nic na dowiedzenie swego pochodzenia prócz wiadomości, które jak oni mówią, mogłeś zebrać od ludzi i prócz spłowiałej fotografii rodzinnej. Mogą jeszcze powiedzieć, że Anson zajął się tobą z powodu

tego podobieństwa do owego chłopca na fotografii i wyuczył cię potrzebnych rzeczy. Nie, sąd nie miałby się bardzo o co zahaczyć, gdybyś wystąpił o swoje!

Charlie zadumał się nad ogniem.

- Powiedz, przyjacielu - zapytał w końcu - czyś i ty miał z początku takie podejrzenia?

- Tak - odparłem szczerze.

Na to on, zaprzestawszy wahań, wstał, a gdy i ja się podniosłem, położył mi dłoń na ramieniu.

- Naprawdę chciałbyś jeszcze raz narazić dla mnie życie, przyjacielu?

- Tak, Charlie.

Co prawda nie tylko o niego mi chodziło. Teraz miałem z Bensonem osobiste porachunki i chciałem się pomścić również od siebie.

- Ale, ale, jeżeli przypadkiem znają prawdziwy charakter pisma Scorpia, to - co będzie z panem?

Strach mnie obleciał...

Wzruszyłem ramionami.

- Ech, nie sądzę, żeby oni do siebie pisywali. Sędzia za mądry, żeby zostawiać listy w rękach znanego mordercy, a morderca też pewnie do niego nie pisywał. Nie ma się o co trapić.

Tak rozumowałem.

Ponosiła mnie gorączkowa niecierpliwość. Nie chciałem nawet słuchać, żeby zaczekać do rana. Na przełaj od gościńca nad rzeką miałem do domu sędziego niecałą godzinę jazdy. Musiałem tylko jeszcze zapytać Dextera, co mam od niego powiedzieć tamtej stronie.

- A! Dobrze! O zagrzebaniu siekierki wojennej nie wspominać. Z sędzią i Manlym Crowellem rozprawię się według sumienia. Z praw do ziemi ojców nie zrezygnuję. Zgodzę się nie stawiać Scorpia w sądzie przeciwko nim. Zgodzę się puścić go wolno, a raczej oddać szeryfowi. Niech sędzia skrzyknie swoich pacholków, to żadne więzienie w Dexterskiej Dolinie nie zatrzyma Scorpia! Ziemi oddadzą mi połowę, co do akra, ale co się tyczy budynków, stad i narzędzi, to żądam tylko rancza po ojcu. Grunt - akry! Trzymali się w Dolinie tak długo, że będą wyć. Wiedzą, że w sądzie byłoby mi trudno dowieść moich praw, ale może będą woleli zapłacić, niż wisieć.

Sytuacja była jasna.

Osiodłałem zmęczonego mustanga. Co prawda już trochę wypoczął od zachodu słońca. Przez całą drogę do domu sędziego szedł równym, łagodnym klusem.

Noc była piękna. Jadąc nad rzeką między drzewami, podnosiłem często głowę i wypatrywałem gwiazd przez gąszcz rozłożystych koron. Wiatr niósł z sobą bujne, bogate wonie zielonych rozłogów.

Czy w taką noc Scorpio i zbrojni dzierzawcy wyprawili rzeź Dexterom?

Gdzieś tu nad rzekę uciekali zbiegowie i ich obrońcy przed pościgiem wrogów. Według legendy zarówno Scorpio jak księżę Charlie zostali zabici i wrzuceni do wody.

Niewesołe to były rozmyślenia, toteż nim dobiełem do domu sędziego, cudna noc straciła dla mnie wszelki urok.

Jechałem podjazdem już nie z tą odwagą co na początku i długo się wahałem nim zastukałem w drzwi.

Otworzył ogromny parobek, syn Bensona. Chwilę gapił się, wreszcie, ujawszy mnie za kołnierz, wciągnął do izby.

- Hej! patrzajcie no, co mi się napatoczyło! Ojciec!

XLI. JASKINIA LWÓW

Ogromna jadalnia pełna była drabów, uzbrojonych od stóp do głów. Jedni oparli strzelby o krzesła, inni trzymali je na kolanach. Wszyscy mieli na sobie ładownice. Groźniejszej bandy nie widziałem w życiu.

Był Manly Crowell, był Steven Dinmont, był Clay Livingston, był sędzia. Ta czwórka reprezentowała główne rody w Dolinie. Prócz nich oraz młodego Bensona i Dandysa Bullena nie zauważyłem znajomych twarzy.

Pani domu wniosła dopiero co kubek kawy, którą rozlewała w ogromne blaszane kubki. Część piła czarną, część dolewała po parę kropel zgęszczonego mleka, prawie wszyscy sypali cukier.

Moje pojawienie się zrobiło wielkie wrażenie, ale ceremoniał picia kawy odbywał się w dalszym ciągu. Gospodyni obejrzała się na mnie nieprzyjaźnie i znów napełniła kubki.

Żaden z mężczyzn nie ruszył się z miejsca, choć w pierwszej chwili myślałem, że sędzia skoczy na równe nogi. Często słyszy się, że z gniewu ludzie bledną lub czerwienieją, ale żeby ktoś zrobił się w jednej chwili purpurowy, żeby mu żyły na skroniach nabrzmiały w oka mgnieniu jakby miały pęknąć, to już jest rzadki widok. Sędzia nienawidził mnie straszliwie i radość jego, że mnie dostał z powrotem w ręce, była zaiste żywiołowa. Zdaje mi się, że mnie nienawidził jeszcze więcej, niż Dextera. Ja zresztą odpłacałem mu się pięknym za nadobne. Nie rozumiem doprawdy, co nas tak od siebie odrzucało. Może po prostu mieliśmy sprzeczne natury.

Sędzia, siny na twarzy, rozparł się znów w krzesło.

- Dawaj go tutaj! - rzekł do syna. - Tylko nie uduś - jeszcze!

Chłopak puścił mój kołnierz, bo rzeczywiście byłem bliski uduszenia i pchnął mnie z taką siłą przed oblicze ojca, że o mało nie upadłem jak długi.

To przyjęcie, jak też srogie śmiechy szajki nie wprawiły mnie w dobry humor. Byłem wściekły, ale strachu nie czułem. Raz już miałem z nimi do czynienia i jakoś wierzyłem, wbrew obawom Dextera, że dadzą się nabrać na sfałszowany podpis Scorpia. Wtedy miałbym ich w rękę. Choć słaby i sam jeden przeciwko gromadzie, doświadczałem zdumiewającej, zwycięskiej pewności siebie.

Poprawiłem kołnierz i trochę zadyszany lecz nie do wiary spokojny, czekałem, żeby się któryś odezwał. Naturalnie sędzia pierwszy otworzył usta.

- Znów goniec - rzekł. - Czego żąda samozwaniec? Uśmiechnąłem się, a jemu górna warga drgała nerwowo ze wściekłości i nienawiści.

- Przysłała mnie ze złagodzonymi warunkami, z ostatnim słowem.

- Patrzajcie go! - parsknął sędzia. - Ty durniu, skąd wiesz, że my jeszcze chcemy się z nim układać?

Urwał, bo jak na sam początek, zanadto podniósł głos. Zaraz dodał ciszej:

- Dexter cię przysłał? Z czym? Gadaj prędko!

- Żąda połowy gruntów, co drugiego łanu przez całą długość Doliny.

Sędzia zaśmiał się, jakby wilk zaszczekał.

- Żąda połowy gruntów! Oszalał młokos! Słyszycie sąsiedzi? Clay Livingston przyglądał mi się ze srogim grymasem. Ręce jego, splecione na kolanie, drgały nerwowo.“

- Żąda i zabierze. To jego ostatnie słowo - powiedziałem.

- I tyś tu przyjechał z tym poselstwem? - pytał sędzia.

- Tak. Ale to jeszcze nie wszystko, dalibóg! nie wszystko!

- Jak to nie wszystko? Gadaj, bo my także mamy ci coś do powiedzenia.

- Nie! - krzyknąłem w nagłym triumfie. - Ja dziś gadam. Ja! Wy podwińcie ogony i słuchajcie, psy, nikczemne psy!

Jakże się przerazili! Nie wierzyli własnym uszom. Młody Benson zamierzył się na mnie pięścią, ale nie uderzył. Nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Nędzny Dean stroił żarty z groźnej bandy niby ptak, który trzepocze skrzydłami pod nosem wężowi.

- Gadaj - rzekł sędzia. - I tak nie uchylisz się od tego, co cię czeka. Gadaj, Dean!

- Ja posłuję nie tylko od Dextera.

- Od kogóż więc jeszcze?

- Od Scorpia!

Piorun w nich trzasł. Piorun!

Clay Livingston pierwszy odzyskał głos.

- Ty, głupcze, Scorpio nie żyje od dziesięciu lat! Ktoś inny użył jego znaku w Monte Verde. Dla żartu!

- Może wy w prostocie ducha wierzycie, że Scorpio nie żyje. Ale spojrzycie na sędziego. On wie...

Benson w istocie był bliski ataku sercowego. Te dziesięć lat bezpieczeństwa oraz straszliwie zmieniona twarz Scorpia utwierdziły go w przekonaniu, że tożsamości mordercy nie da się odkryć. Więc na tak straszliwą wieść struchlał, jakby zobaczył upiora, i twarz jego z purpurowej zrobiła się biała.

Efekt, gdy pokazałem na niego wyciągniętymi rękami, był bardzo melodramatyczny.

- Sędzio, co to ma znaczyć? - zapytał Clay Livingston.

- Sędzio, mówcie! - zawołał Steven Dinmont, wstając. Benson oblizał zbielełe wargi i z trudem dobył głosu:

- Kłamstwo, kłamstwo...

Nie zdobył się na siłę przekonania i słowo to zabrzmiało, niby to grzmiąco, a przecież martwo i fałszywie. Musiał to czuć, bo szybko rzucił okiem po twarzach sąsiadów. Ci patrzyli na niego z przerażeniem i zdumieniem.

Jeden tylko krzyknął:

- Brednie! Scorpio nie żyje od dziesięciu lat!

Obejrzałem się. Z krzesła wstał barczysty drab z zaczepnie pochyloną głową, z twarzą zawodowego zapaśnika, pokiereszowaną i zniekształconą, i szedł ku mnie.

.Coś mnie tknęło.

- Wy jesteście Manly Crowell?

- Co... - zaczął i umilkł, zaskoczony.

- Wy, Crowell, i sędzia - mówiłem - macie powód, żeby ukrywać Scorpia. Obaj wiecie doskonale, że on żyje. Wiecie, że od czasu, gdy go koń kopnął w twarz, nie sposób go poznać. Tym wygodniej dla was. Tym bezpieczniej - ze względu i na przeszłość, i na przyszłość.

Manly Crowell miał dosyć. Mruknął jeszcze coś o „bredniach“, ale już się do mnie nie przybliżył. Sędzia przychodził do siebie powoli.

Zrozumiałem, że nie wszyscy tu wiedzieli o Scorpiu. Musiałem tych nieświadomych oświecić co prędzej. Wyjąłem notes i zacząłem czytać. Słuchali w osłupieniu. Przy każdej wzmiance o Scorpiu czy o kimś z Doliny, głowy się poruszały i oczy spotykały porozumiewawczo.

Sprawa była jasna, jak słońce. Gdy skończyłem, sędzia, którzy nabierał tchu, którego dobre imię nie mogło już ożyć nawet w Dolinie, ryknął:

- Intryga! Protokół podrobiony! Łgarstwo od początku do końca. Scorpio, gdyby nawet żył, nie zeznałby czegoś podobnego nawet na mękach! Nawet gdyby to była prawda. Bez jego podpisu ten protokół nie wart nic! Dawaj no notes, kanalio!

- Proszę. Oto podpis!

Odwrociłem ostatnią kartkę. Światło lampy padło na papier, ukazując wyraźnie wielkie, niezdarne litery podrobionego podpisu. Sam dziecinny charakter pisma był przekonujący. W pierwszej chwili zląkłem się, że sędzia pozna fałsz, ale próżne były moje obawy.

- Miłosierny Boże! - jęknął, osuwając się ciężko na krzesło, które aż zaskrzypiało.

Strzał był celny!

By go dobić, dorzuciłem:

- Mamy go w rękach, sędzio. Wszystko nam powie. Akurat wydawał współników przed szeryfem. Wobec tego wpadłem tu zapytać, czy wolicie się ułożyć z Dexterem czy wisieć?

XLII. KAPITULACJA

Niemily to widok złamany człowiek. Sędzia opuścił brodę na piersi. Wyglądał jak pijany.

Steven Dinmont wstał, podszedł do sędziego.

- Wiedziałem, że z tą rzezią Dexterów było bardzo podle. Wszyscy to zresztą wiemy. Ale żeby Scorpio za zapłatą... Wiedziałem, żeś ty twardy człowiek, Benson, ale żebyś mordował podstępnie... Nie!

Wykręcił się na pięcie.

- Ha! Red, za mną!

Wstali dwaj urodziwi młodzieńcy i wyszli za ojcem. Za chwilę rozległ się tętent koni.

Rozbiłem siły nieprzyjacielskie na dwa obozy.

Pod wrażeniem tej klęski sędzia powoli się opamiętał i wstał. Inni, czując, że jego przegrana ich dotyka, obserwowali go z trwogą i zdumieniem.

- Przypuśćmy, że Scorpio żyje i że Dexter dopnie, to czego żąda - połowę gruntów w Dolinie to wtedy co?

- Wtedy, sędzio, puścimy Scorpia na wolność. Będzie miał za co wynieść się w dalsze strony. Byliście hojni dla niego!

+++

Szeryf, na moim mustangu, cwałował przez polankę ze sztywno przed siebie wyciągniętym ramieniem, strzelając do drzew. Wyglądał jak postać z porywającego obrazu batalistycznego, przedstawiającego bohaterską szarżę na przemożne siły.

Nieprzyjaciel nie czekał. Słyszałem wściekły tętent, który się oddalał.

Drugi jeździec minął mnie z szybkością błyskawicy: Charlie na ogierze Scorpia. Compadre, nieporównany Compadre niósł się powietrzem, ledwie, ledwie muskając kopytami ziemię. Myślałem, że rozbije się o drzewa. Już, już słyszałem trzask... Nie, rozplynął się w cieniach i tylko równy rytm jego galopu dzwonił wśród nocnej ciszy...

Zemdlałem.

Po jakimś czasie spostrzegłem, że Klaudia zmywa mi z twarzy krew.

- Odsuń lampę, Klaudio - szepnąłem. - Świeci mi prosto w oczy. Księżyc - to był księżyc, nie lampa. Roześmiała się, płacząc. Myślała, że nie żyję.

- Nie umrę, drogie dziecko. Najpierw się nauczę rozumu. Jechali za nami - oczywiście - a potem, gdyśmy skręcili, nie dali się zbić z tropu. Pojechali prosto, wyprzedzili nas i czekali. Dlaczego uciekają? Przecież Charlie ważniejszy dla nich, niż ja!

- Oni tylko chcieli zabrać panu papiery, a uciekli, bo zlekli się szeryfa. Szeryf i Charlie na nich dwóch - woleli nie ryzykować. Sędzia i Manly Crowell. Poznałam obydwóch. Będę mogła przysiąc!

- Oby uciekli! Oby Charlie ich nie dognał! Będą się bronić, jak wściekłe psy! Niech Bóg ma ich w swojej opiece!

Klaudia miała w sobie ducha Zachodu. Nie powinienem był więc przerazić się jej odpowiedzi.

- Jeżeli Bóg jest w niebie - powiedziała - to wymierzy im sprawiedliwość jego ręką!

Nie wątpiła, że Charlie ich dogna. Nie wątpiła, że ich pokona.

Scorpio cicho zajęczał. Zdumieni, poszliśmy go ratować. Mnie się w głowie kręciło, bo straciłem dużo krwi, nim mnie Klaudia obandażowała. Kula przejechała mi po czaszce od czoła do tyłu, a taka szeroka powierzchowna rana zawsze bardzo krwawi.

Ułożyliśmy Scorpia na wznak.

Kula przeszła go na wylot, przy czym przeszła tuż pod sercem. Choć nie znam się na ranach, od razu zgadłem, że nie ma dla niego ratunku. Klaudia potwierdziła mój cichy domysł skinieniem. No, ale mogliśmy mu osłodzić ostatnie chwile. Wlałem mu w usta wódki z

metalowej flaszki, którą w ostatnich latach stale przy sobie nosiłem i straszne oczy otwarły się.

- O, Klaudeczko, w skoku nie trzeba ściągać cugli.

Myślałem, że bredzi w agonii. Klaudia załkała. Później dowiedziałem się, że na jej widok Scorpio zahaczył pamięcią o dawne czasy kiedy, jako kowboj na ranchu Dexterów, uczył małą Klaudię jazdy konnej.

- A, pamiętam. - Przycisnął rękę do rany i kiwnął głową. Nie potrzebowaliśmy mu mówić, że z nim źle.

- Klaudio, usiądź tak, żebym cię mógł widzieć!

Posłuchała. Siedziała nieruchomo. Dałem mu znów wódki, za co obdarzył mnie spojrzeniem. Nie wiem, co się działo w duszy tej dziewczyny, kiedy tak pozowała wdzięcznie przed oczami mordercy ojca, ale szlachetna dusza potrafi przebaczyć, kiedy wybije taka godzina.

Z wielkiej litości Klaudia drżała.

- Pamiętasz, jak zatknęliśmy na stodole nową chorągiewkę? - zapytał Scorpio.

- Pamiętam. Stałeś na szczycie dachu i machałeś do mnie ręką.

Uśmiechnął się i patrzył na nią, patrzył do ostatniej chwili. Długośmy nie czekali. Usiadł, chwycił się za gardło obiema rękami... Dziwne przywidzenie podwójnej duszy wróciło. Wykrztusił: „Scorpio, Scorpio, zadławisz mnie - szatanie!“ skręcił się, upadł na bok i skonał. Siedzieliśmy długo w milczeniu.

Goniłem myślą uciekinierów i ścigających. Wiedziałem, że szeryf na mustangu w końcu zostanie w tyle i Dexter, na dzikim mustangu, sam jeden... Nie mówiąc nic, czekałem z brodą wspartą na dłoni.

W lesie rozległ się tętent, zaszeleściły gałęzie...

Dexter i szeryf, czy tamci dwaj?

- Charlie, Charlie! - krzyknęła Klaudia.

Wyjechał spomiędzy drzew - sam - powiał ku niej kapeluszem, wypadł z cienia na blask księżyca... Przypomniał mi się obraz - Henryk IV pod Ivry.

Zsiadł. Koń stał za nim potulnie. Ten koń, dzieło życia nieszczęśliwego Scorpio, jedyna jego zasługa.

- A szeryf? - przeraziła się teraz dopiero Klaudia, gdy jej bohater wrócił cały.

- Został - załatwić formalności - odparł książkę Charlie. - Mnie kazał wrócić, żeby wam powiedzieć. Jak Scorpio?

Kludia pokazała ręką równocześnie ze mną. Charlie długo stał nad ciałem z kapeluszem w rękę, z głową pochyloną uroczyście. Ja sam myślałem z cichą, smutną czcią o lepszej połowie duszy Scorpia.

KONIEC